

# Nurek z Wieży Eiffla

CAMI

waldi0055



## Zwłoki z Sekwany.

Wieżę Eiffla otwiera się dla publiczności dopiero o godzinie 10-ej zrana, lecz już znacznie wcześniej liczny personel uwija się gorliwie przy sprzątanu platform. Dostawcy restauracyjni zwożą wiktuały z hal targowych, sprzedawcy pamiątek porządkują swoje kioski, a zamiatacze, wśród grubych żartów, usuwają śmieci, pozostałe z dnia poprzedniego.

Rankiem, dnia 10 maja, około godziny 9-ej, Fanfan, siedemnastoletni goniec w restauracji na wieży Eiffla, kręcił się jak zwykle po platformie pierwszego piętra wieży Paradował w swoim opiętym, służbowym mundurku, a był w towarzystwie swego kolegi, Juljusza Lanoix, pomywacza z tejże restauracji.

Przyjaciele żywo omawiali niedawny tragiczny wypadek:

Poprzedniego wieczora, z nastaniem ciemności, rzucił się jakiś młody człowiek do Sekwany.

Na lewo od mostu Jena skoczył nieborak w mętną toń rzeki, u stóp wieży Eiffla.

Z pierwszego piętra wieży, na którym pełnili swą służbę, Fanfan i Lanoix z zapartym oddechem śledzili przez lornetkę podjęte natychmiast próby ratunku. Lecz mimo wysiłki policji nadbrzeżnej ciała samobójcy nie znaleziono.

Z kolei doniosły poranne dzienniki, że topielcem był pewien dwudziestopięcioletni Anglik. chory na spleen; rodzice jego zamieszkali w eleganckim pałacyku przy rue Rivoli.

— Powiedz, czy to nie skandal? — mruzczał Lanoix — być synem boga czy, którzy opływa ją w funty szterlingi, a mimo to topić się w Sekwanie?

Obaj chłopcy wychylili się przez balustradę naprzeciw Trocadero.

Na brzegu Sekwany, na lewo od mostu – dokładnie w miejscu, gdzie poprzedniego dnia rozegrał się ów dramat – jęli się znowu gromadzić ludzie.

– Spójrz! – zawołał Fanfan – tam znowu coś się stało!

– Może znaleziono zwłoki?

– Idźmy popatrzeć.

Zbiegli szybko schodami dla służby i po kilku minutach wmieszali się w gromadę ciekawych.

Żelazna drabina, sięgająca dna rzeki, stała oparta o obmurowanie brzegu. Kilku urzędników z poważnymi minami, otaczało nurka, któremu dwaj pomocnicy dopomogli już włożyć skafander i obecnie dopinali hełm na głowie.

Nurek dał znak, aby pompa powietrzna rozpoczęła swe działanie, zgrabnie umocował linę sygnałową i zaczął ciężkimi krokami schodzić po drabinie, zagłębiając się w ciemną toń. Wkrótce zniknął pod powierzchnią wody.

Minęło dziesięć minut.

Nagle, tłum na brzegu drgnął. Lina, leżąca na bruku, poruszyła się.

Obaj policjanci, towarzyszący komisarzowi, z trudem powstrzymywali napór publiczności, cisnącej się ku brzegowi rzeki.

Znowu kilka minut milczącego oczekiwania.

I oto z wody wynurzył się hełm nurka, mozolnie wlokącego za sobą zwłoki o konwulsyjnie wykrzywionem, okropnem, zielonem obliczu.

Policjanci podbiegli natychmiast, aby przyjąć z rąk nurka znalezione zwłoki, nad którymi szybko pochyłili się komisarz i towarzyszący mu lekarz policyjny. Fanfan i Lanoix wywalczyli sobie łokciami miejsce w pierwszym szeregu rozgorączkowanych widzów.

Nurek, ledwie zeń zdjęto hełm, natychmiast złożył meldunek:

– Znalazłem zwłoki wcale niedaleko stąd, leżały

twarzą w szlamie.

Komisarz rozłożył na bruku gazetę, i ukląkł na niej, obok zwłok:

– A to co znowu? – mruknął.

Podniósł prawe ramię topielca, i ukazała się długa puszka miedziana przymocowana łańcuszkiem do ręki zmarłego.

– Ta puszka da się łatwo otworzyć – zauważył lekarz.

Odkręcił przykrywkę i wyjął z puszki arkusz pergaminowy, który podał komisarzowi.



Tłum gapiów stłoczył się dookoła.

Komisarz przeczytał papier i potrząsnął głową.

– Nie, coś podobnego! Ten biedak pozwolił sobie na

prawdziwie makabryczny żart! Może pan zechce to zbadać, doktorze?

Lekarz policyjny założył szkła i dokładnie ją oglądać pergamin.

W lewym kącie arkusza, gdzie zazwyczaj przedsiębiorstwo umieszcza swój znak Firmowy widniał rysunek, przedstawiający okręt z czarnymi żaglami. A na głównym żaglu bielila się czaszka ponad skrzyżowanymi puszczelami. Powyżej, napis w półkolu staroświeckimi ułożony literami opiewał:

*„Latający Holender”*

Lekarz zwrócił się do komisarza:

- Jeszcze po śmierci pragnie, aby o nim mówiono!
- Niech pan tylko dalej czyta, doktorze]
- Zaraz!

Lekarz poprawił okulary i czytał głośno tekst tajemniczego dokumen nakreślony wyblakłym atramentem:

*„Ja, Piotr Maus, kapitan „Latającego Holendra”, na siedem lat, licząc od dnia dzisiejszego, zaciągam jako marynarza Anglika Karola Smitha. Werbu nek ów, jeśli mi się tak spodoba, może być przedłużony na dalszych siedem lat, albo zgoda na całą wieczność. Żołd otrzyma Smith po ukończeniu czasu służby, jeśli w ogóle może być mowa o jej końcu, o czym stanowić władny jest wyłącznie Wielki Admirał.*

*Dane na pokładzie „Latającego Holendra”,  
Piotr Mata.*

– Nie!... tego już doprawdy zawiele!... – zdumiony lekarz obracał niezdecydowanie w palcach dziwaczną umowę.

– Zupełne warjactwo! – burknął komisarz.

Opanowawszy swe zdumienie, zaczęli również inni widzowie wśród tłumu wymieniać swe przypuszczenia:

– Błazen! Przypiął sobie ten świstek, za nim skoczył w wodę.

- „Latający Holender”? Ki djabeł?
- Niedorzeczność, nieprawdaż?

– Oczywiście! Legenda, którą w Bretanji stare baby snują przy kominku.

– A ja już coś podobnego czytałem w jednej sensacyjnej powieści...

– Ów nieborak nie był chyba przy zdrowych zmysłach?

Nagle usłyszano jakiś poważny głos:

– Mylicie się, moi panowie: „Latający Holender” nie jest baśnią.

### Co ujrzał nurek?

Ów spokojny, głęboki głos miał w sobie coś zniewalającego. Nasłucha cisza i wszyscy spojrzeli na mówiącego, który wcale nie zakrawał na żartownisia.

Był to bardzo blady, czarny jegomość, w wieku około 45 lat, którego oczy kryły się za niebieskimi okularami w zardzewiałej oprawie z pradziadowskich bodaj czasów.

Miał na sobie ciemne, przyciasne ubranie. Czarny filcowy kapelusz, o formie dziś już nieużywanej, i mocno nadszarpnięty zębem czasu, dopełniał jego nieco dziwnego stroju. Komisarz obejrzał go od stóp do głowy, i oświadczył:

– Nie możemy zajmować się głupstwami.

– „Latający Holender” nie jest baśnią, moi panowie – powtórzył czarny pan z naciskiem. Jestem tego najzupełniej pewny, ponieważ – widziałem go na własne oczy.

Oto, co znaczy moc słowa! Tłum, przed chwilą zainteresowany tylko topielcem, teraz zwarł się dokoła mówiącego.

– Było to koło przylądka Horn, na najdalszym krańcu Ziemi Ognistej. Miałem jeszcze wówczas wzrok doskonały, i możecie być państwo pewni, ani trochę nie wierzyłem w zabobony.

Było nas dziesięciu na pokładzie „Ave Maria”, sami

młodzi i dzielni chłopcy. Właśnie weszła pierwsza gwiazda. Wówczas (widzę wszystko przed sobą tak dokładnie jakby się to wczoraj wydarzyło! ) ujrzeliśmy nagle, w odległości nie większej niż sto metrów mijający nas z wielką szybkością holenderski trójmasztowiec, którego czarne żagle i splątane liny żałośnie zwisały ze skrzypiących masztów. Na pokładzie nie było żywej duszy, lecz z głębi statku doszedł nas śpiew umarłych który nam zmroził krew w żyłach.

To był ów okręt duchów, moi państwo, ów „Latający Holender” od dwu stuleci krążący po morzach i werbujący swoją załogę z pośród ofiar oceanu!

...Tejże nocy utonął nam jeden z majtków. Odnotowała księga okrętowa. Ale ja jestem głęboko przekonany, że to kapitan „Latającego Holendra” chciał uzupełnić swą załogę i przybył, aby topielca zabrać na pokład.

Obcy umilkł. Nastąpiła cisza. Nawet Fanfanowi i Lanoix odeszła ochota do żartów. W tym zabrał głos starszy, poważny pan z rozetką Legji Honorowej w klapie surduta:

– Jestem urzędnikiem ministerstwa marynarki. Proszę, niech mi będzie wolno wyjaśnić panu, że ów tajemniczy okręt duchów, był po prostu porzuconym przez załogę wrakiem, którym fale miotają po różnych morzach.

– Czyż na żaglach takiego statku wymalowana jest trupia głowa? I czy może płynąć... pod wiatr?

– Hm, a czy pan przypadkiem wówczas zbyt gorliwie nie zatruwał robaka?

Ta ostatnia uwaga przyniosła nareszcie odprężenie. Nieznajomy wzruszył tylko ramionami, i cofnął się.

Policjanci nakryli zwłoki topielca, a obaj pomocnicy nurka uwolnili go do reszty z jego ciężkiego ubioru. Ciekawi poczęli się rozpraszać. Fanfan i jego kolega stwierdzili nagle ze strachem, że wybiła godzina dziesiąta i szybko pospieszyli z powrotem na Wieżę.



Komisarz kazał zatelefonować po trupiarkę. Spacerując tam i z powrotem, zaczął wraz z lekarzem filozofować na temat dziwnego stanu psychiki owego samobójcy, który jeszcze po śmierci pragnie świat sobą interesować...

Nagle jakiś szmer i plusk.

Komisarz, lekarz i policjanci odwrócili się natychmiast i stanęli jak wryci: topielec zsunął się i wpadł w wodę.

– Kto go wrzucił?! – krzyknął wściekły komisarz.

– Prócz nas i policji nie było tu nikogo zauważył lekarz.

Jeden z policjantów potrząsnął głową:

– To nie był wypadek przyrodzony.

– Ależ do diabła, czyż powarjowaliśmy wszyscy?!

Kto się ośmielił zrzucić zwłoki do wody?!

– Nurek!... Gdzie jest nurek?!

– Siedzi w winiarni, tam na rogu, panie komisarzu.

– Proszę iść po niego i natychmiast go tu sprowadzić! To niebywałe! Cóż pan na to, panie doktorze?

– Myślę, że zwłoki złożono na samym skraju...

– I ja nie znajduję innego wytłumaczenia.

Powrócił policjant, z żywo gestykuującym nurkiem, panem Walentym Moufflard.

– Cóż to za żarty? Nie mnie brać na kawał! – krzyczał. – Mam uwierzyć, że topielec sam się stoczył z powrotem do tej brudnej wody?! Bajeczka dobra dla dzieci, nie dla mnie!

Komisarz przerwał mu:

– Uspokój się pani. Zostanie pan za wszystko wynagrodzony. Niech się pan ubierze i znowu topielca wyciągnie.

– Sam się stoczył?... Pan mówi, że on całkiem sam wrócił do wody?... Czemu pan raczej od razu nie przyzna, że...

– Proszę tyle nie gadać, i zabrać się do swej roboty.

Słowa odpowiedzi nurka zginęły pod przykręcanym hełmem.

Jak za pierwszym razem, upewnił się co do sprawnego funkcjonowania linki sygnałowej, dał znak swym pomocnikom, by wprawili w ruch pompę, i zaczął coraz głębiej schodzić w brudną toń, póki w niej nie zniknął zupełnie...

Na brzegu zebrał się znowu tłum gapiów.

Jeszcze nie zadrgał sygnał, gdy jut woda zakotłowała, a z toni wyłonił się miedziany hełm.

Lecz tym razem nurek powracał z próżnymi rękoma. Jego zachowanie się przytem było zadziwiające, wykonywał rękami niezrozumiałe, gwałtowne ruchy.

Zatrzymano go na brzegu, ale ledwie poczuł twardy grunt pod stopami, wyrwał się, usiłując zbiec, mimo ciężkich ołowianych butów na nogach

Obłądnym wzrokiem wpatrywał się w Sekwanę. Przez szkło hełmu można było dostrzec rozszerzone przerażone oczy. Udało się na koniec powstrzymać go i rozebrać.

– Czy panu słabo? – zapytał komisarz spoglądając na trupio bladą twarz.

Wówczas Walenty Moufflard odpowiedział głuchym, bezdźwięcznym głosem:

– Ów topielec... zobaczyłem go... zobaczyłem go, jak odchodził... pomiędzy dwoma nurkami...

– Ależ to szaleństwo! – wykrzyknął komisarz – pan jest pijany!

– Możliwe! – szczekał zębami Walenty Moufflard – ale to nie przeszkadza, te widziałem topielca tak jak pana teraz widzę, odprowadzanego przez dwu nurków. A na dowód, żem nie majaczył: poszedłem za nimi, sądząc, że to koledzy wysłani mi z pomocą Ale nagie... gdy się ku nim zbliżyłem... odwrócili się obaj... i oto... zobaczyłem... to było okropne!... zobaczyłem... myślałem, że oszaleję!...

– Ale cóżeś pan zobaczył?! – krzyczał komisarz.

– ... Przez szkła ich hełmów... ujrzałem ich głowy...  
ich głowy... Potworne! nie z tego świata!

– Pan zwarjował!

--- Możliwe! może mi pan nie wierzyć, ale już tam  
nadół nie zejść za żadne skarby świata! Szukajcie sobie  
innych! Dwa razy nie przeżywa się takich wrażeń, panie  
komisarzu!

Walenty Moufflard drżał na całym ciele w najwyż-  
szym napięciu:



– Nie dwa razy nie przetrzyma się czegoś  
podobnego... Och, te zęby, te zęby w ustach bez warg,  
wyszczerzone z trupiego oblicza!

## Oczy marynarza.

Z ust jednego kelnera restauracji dowiedzieli się Fanfan i Lanoix o drugiej nieudanej próbie Walentego Moufflarda Komisarz, wzburzony do najwyższego stopnia, zarządził natychmiast, aby sprowadzono nowego nurka, który dno Sekwany gruntownie przeszukał, jednak zwłok młodego Anglika już nie znalazł.

Minęła pora obiadowa i Fanfan nie miał już nic do roboty. Oparł się o balustradę na przeciw Trocadero i zamyślił się, patrząc na mały parowczyk na Sekwanie. Nie mógł zapomnieć o niedawnych wydarzeniach Niepokoiły go. Nie przejął się co prawda, opowieścią marynarza fantasty, którego uważał, słusznie zapewne, za blagiera lub przynajmniej za żartownisia, ale te zwłoki, same powracające na dno rzeki i których żaden nurek nie potrafił już powtórnie odnaleźć!...

Z rozmyślań wyrwał go kelner, wręczając mu pieniądze i każąc skoczyć po dwa pudełka papierosów.

Gwiżdżąc i skacząc, zbiegał Fanfan ze schodów Na dole zderzył się z trzymającym jakiś arkusik posłańcem radjostacji

– Stój! – wołał Fanfan – sińca mi nabiłeś! – gnasz jakby się paliło.

– Muszę ważną wiadomość zanieść redakcjom.

– Oho, pewno jakaś bujda!

– Gdybyś wiedział co, zgłupiałbyś do reszty.

– No to pokaż!

Fanfan zajrzał do kartki i zdumiał się:

– Nie do wiary!

– Prędko oddaj papier! Inżynier kazał mi się bardzo spieszyć.

I chłopiec radjostacji oddalił się z wielkim pośpiechem.

Fanfan stał jak przygwożdżony.

– Bujda niemożliwa!

Depesza brzmiała następująco:

*„Nowa Funlandja. – Wczoraj, o zmierzchu, dwa francuskie statki rybackie „Rosaire” i „Saint Brieux”, stojące na kotwicy w Zatoce Krętej, zostały zatopione przez jakiś staroświecki statek o czarnych żaglach i pozbawiony przepisowego oświetlenia. Sześciu rybaków, którzy się zdołali uratować, stwierdziło, że na głównym maszcie statku widniała trupia głowa. Pokład był zupełnie pusty, a statek płynął pod wiatr”.*

\*\*\*

Fanfan i Lanoix kończyli swą służbę o wpół do ósmej. Wieczorem za chodzili stale do małej knajpki przy Avenue de Suffren, oddalanej o dwie minuty od hoteliku, w którym mieszkali.

Tego wieczoru, w drodze do swej restauracyjki, kupili jeden z wieczornych dzienników. Na czołowym miejscu widniał długi artykuł: "Samobójstwo pod mostem Jena", poczem następował nowofunlandzki radjotelegram, zaopatrzony w złośliwy dopisek:

*„Latający Holender” staje się modny. Mówią o nim w Paryżu i spostrzegają go w Nowej Fundlandji. Mamy jednak nadzieję, że przynajmniej naszym statkom na Sekwanie oszczędzone będzie tak groźne spotkanie”.*

– Uważasz – powiedział Fanfan – nikt nie chce tej bzdury traktować poważnie.

Weszli do knajpki.

Do pięciu, sześciu stałych gości właśnie jakiś człowiek, oparty o ladę bufetu, wygłaszał dłuższe przemówienie. Był to nurek Walenty Moufflard.

– Ależ tak! – krzyczał wysokim, już prawie załamującym się głosem – przysięgam wam, że dobrze widziałem!

– Zdaje się nawet, że podwójnie widział – mruknął Fanfan.

– Uprawiam swój zawód już od trzydziestu lat. i przeżyłem wszystko możliwe. To ja wyłowilem w roku

1902 parę narzeczonych, którzy z Pont des Arts skoczyli w wodę. Zna lażłem ich tuż przy filarze mostu obejmowali

się w uścisku jak para żywych kochanków. Widziałem to..... i wiele jeszcze innych rzeczy. Ale tych dwóch nurków, których dziś spotkałem, nie zapomnę nigdy. Świat się kończy! Tak, porzucę swe zajęcie, nie mam ochoty dostać się do szpitala warjatów.

Fanfan i Lanoix przysłuchiwali się z otwartymi ustami.

Podniecony uwagami słuchaczy, krzyczał Moufflard w coraz większym wzburzeniu:

– Komisarz powiedział, że majaczyłem. Nie miewam nigdy złudzeń, istnieją dla mnie tylko fakty. Lecz to, co widziałem, było tak rzeczywiste, jak to, że tu stoję.

– No tak, ale w rzeczywistości był pan dziś zrana jedynym nurkiem, który zszedł na dno Sekwany. – odezwał się Lanoix – skądże więc wzięli się dwaj tamci?

– Alboż ja wiem! Wiem tyle, że przyszli z bardzo daleka, na to daję słowo...

Lanoix odciągnął dobrze podpitego już nurka na bok:

– Czy pan już słyszał, że pański kolega nurek, który przybył po panu, zwłok nie znalazł?

– Jakże je mógł znaleźć, skoro widziałem, jak odchodziły pod ramię z okropnymi towarzyszami.

– Ale, czy pan może nie łyknął nad miarę dziś zrana, zanim pan wszedł do wody?

– Nie! Gotów jestem przysiąc, że nie. Zresztą trza wam wiedzieć, że pókim nie wlał w siebie bodaj czterech, pięciu litrów wina, nie czuję ducha w sobie i jestem trzeźwy jak nowonarodzone dziecko. Ale, panie gospodarzu, nalejno pan ćwiartkę tego samego. Ten młody pan płaci!

– Z przyjemnością! – żywo odpowiedział Fanfan, pragnąc usłyszeć od nurka jakieś dalsze szczegóły niezwykłej przygody, Ale, proszę pana. wiadomo, że w wodzie wszystko przedstawia się w odmiennym,

wykrzywionym kształcie. Może pan uległ złudzeniu?

– Zanadto dobrze znam się z wodą. Widzę pod wodą równie dobrze, jak na lądzie.

– A gdy owi dwaj obcy nieznani nurkowie odwrócili się, ujrzał pan ich twarze?

– Gdyby można nazwać twarzami to, com zobaczył! Powiadam panu, ujrzałem trupie głowy. A nawet gorzej! Bo one żyły i wykrzywiały się i patrzyły na mnie tak okropnymi oczami, że jeszcze teraz ciarki mnie przechodzą.

Ze słów nurka była taka szczerłość i pewność, że Fanfan nie wiedział, co o wszystkim sądzić.

Wtem otwarły się drzwi od ulicy i powoli wszedł jakiś jegomość w niebieskich okularach.

– Spójrz, Fanfan! – trącił Lanoix łokciem kolegę – ależ to nasz poranny opowiadacz bajek.

– Który widział „Latającego Holendra”!

Przybyły zbliżył się i ujawniał widoczną chęć wmieszania się do rozmowy.

Lanoix, który niczego sobie więcej nie życzył, dopomógł mu:

– Ten pan był również rano nad Sekwaną. Nieprawdaż, to pan opowiadał o „Latającym Holendrze”?

– Tak, mój młody przyjacielu, a pan, jeśli się nie mylę, jest tym dzielnym nurkiem, który wydobył topielca?

– Tak, to ja. Ale wydobyłem go. Gdym pierwszy raz zeszedł w wodę. Za drugim razem...

– Wiem – powiedział poważnie nieznajomy – byłem przytem, jak pan powracał. Jestem sobie skromnym profesorem filozofji i wielce mnie cieszy rozmowa z ludźmi, którzy dążą do zrozumienia przyczyny wydarzeń. Czy panowie sądzicie, że te fakty które się dziś rozegrały pod mostem Jena, były tak zwyczajne, że im nie warto paru słów poświęcić?

Fanfan i Lanoix milczeli.

Pouczający ton profesora onieśmielił ich. Nadstawili

uszu, aby nie stracić sensu ani jednego słowa.

Nawet Walenty Moufflard przysłuchiwał się, nie przerywając.

– Pewien człowiek, zniechęcony do życia, skacze w wodę... Wypadek jest banalny i o podobnych samobójstwach można, niestety, codzień słyszeć.

Ale czy ów desperat rzeczywiście sam przyczepił sobie puszkę z pergaminem, którego materia i pismo pochodziło z przed dwu wieków? Wykluczone. Nie mogę w to uwierzyć.

– Ja również – wtrącił Lanoix.

– Czyż da się ta sprawa wyjaśnić w sposób naturalny? Nieprawdaż, że nie? Musimy zatem klucza tajemnicy poszukać gdzieindziej.

Wszyscy goście poczęli się przysłuchiwać profesorowi. Nawet gospodarz przerwał swe zwykłe zajęcie i przystanął, z flaszką w ręku.

– Że „Latającego Holendra” widziałem, o tem państwo już wiecie. Gdybym nie był kiepskim rysownikiem, mógłbym wam jeszcze dzisiaj cały okręt najdokładniej wyrysować. Jak bądź, gdy ujrzałem winietę pergaminu, trzymanego przez komisarza, mrowie mnie przeszło, ów rysunek był ścisłą podobizną tamtego statku upiorów. Mógł go wykonać tylko ktoś należący do jego załogi. To jasne. Widziałem tesame żagle śmierci i białą czaszkę ponad skrzyżowanymi pieszczelami.

Panowała głęboka cisza. Profesor, pogrążony we wspomnieniach, spoglądał nieruchomo ku ziemi. Jakiś głos spytał:

--- Lecz czemże jest, pańskim zdaniem, ów statek upiorów?

– Właśnie chcę to panom opowiedzieć. W szesnastym stuleciu miała flota holenderska przewagę na morzach, a jej rozliczne statki rozwoziły po całym świecie wielce poszukiwane towary krajowe. Kapitan Piotr Maus słynął jako szczególnie sprawny żeglarz. W porcie amsterdamskim każdy znał jego postać, wysoką i



kościstą. Ale gdy chciał zwerbować marynarzy, z wielkim trudem znajdował potrzebnych ludzi, ponieważ nikt nie chciał się dostać pod jego żelazną rękę. Był srogi i żądał od swej załogi nieomal niemożliwości. Pewnego wieczoru, o zmroku, znalazł się „Latający Holender” (tak się nazywał jego statek) w strefie niebezpiecznej gdy wybuchła gwałtowna burza. Majtkowie już chcieli zwinąć żagle, gdy kapitan rozkazał: „Niech się dzieje co chce, przejadę tędy!”

– Ależ to nasza śmierć!“ – wołał sternik.

Piotr Maus zaśmiał się przeraźliwie i kazał się przywijać do mostku kapitańskiego

Nastała zupełna noc, olbrzymie fale nieustannie przewalały się przez pokład.

„Przedrę się tędy” – ryczał Holedender – „przedrę się tędy... choćby djabłu naprzeciw”.

Olbrzymia fala podniosła statek ku czarnym, chmurom, rzuciła, go w odmęt, aby go znowu wznieść wysoko. Majtkowie, powiązani linami, padli na kolana i modlili się.

„Przejadę tędy” – wył kapitan, pieniąc się z wciekłości – „przejadę tędy, choćby Bogu na przekór, jeśli tak być musi”.

Straszliwe uderzenie piorunu nastąpiło natychmiast po owym bluźnierstwie. Okręt runął w wirującą otchłań, poczem rozdarły się chmury i ustał nagle wiatr, jakby powstrzymany czarodziejskim zaklęciem.



Ale dokładnie z miejsca, w którym zniknął "Latający Holender", wynurzył się okręt widmo, trójmasztowiec grozy, statek upiorów!...

Opowiadający przerwał na chwilę. Słuchacze z napięciem oczekiwali dalszego ciągu.

Profesor mówił dalej:

– Kapitan Piotr Maus został przeklęty, skazany na wieki na krążenie po morzach ze swoim statkiem śmierci, wszystkim ku nauce, że imieniu Wszechmogącego nie można bluźnić bezkarnie.

Jedną mu tylko otwarto drogę zbawienia co siedm lat może kapitan statku upiorów iść na ląd. I jeżeli uda mu się zdobyć miłość kobiety i jej dożywotnią wierność, może wówczas umrzeć spokojnie, jak również wszyscy ludzie jego załogi. Ale dotychczas nie spotkał jeszcze takiej kobiety i przerażający okręt trupów wciąż krąży po morzach w swej bezkresnej podróży.

– No, dobrze – zapytał Lanoix – przypuśćmy, że ów okręt istnieje; ale cóż ma wspólnego z samobójcą z mostu Jena?

– Załoga „Holendra” składa się z samych topielców. Jeżeli z tego, czy owego powodu zabraknie jakiegoś marynarza, wysyła się zaufanych, aby sprowadzili zastępcę.

– Takimi zaufanymi byli pewnie owi nurkowie – zawołał Moufflard.

Goście już się rozeszli. Tylko profesor, Walenty Moufflard i obaj chłopcy z Wieży Eiffła tkwili jeszcze w szynku. Nagle ulicą powiał silny wiatr.

– A to co znowu? Zdaje się, te będzie burza – burknął gospodarz. – Franek, wnieśno stoły do środka! Służąca otworzyła drzwi.

Na chodnik spadły pierwsze, ciężkie krople.

– Ojej! – zawołała służąca zanosząca się na porządną burzę.

W tym momencie wszedł jakiś marynarz. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Osobnik, długi i chudy jak deska; na chudych członkach wisiało o wiele za obszerne ubranie. Oczy błyszczały nienaturalnie w głębokich oczodołach. Brudne strąki jasnych włosów okalały twarz smutną i szaro-siną.

Pierwsze wrażenie było niepokojące. Paryż nie jest miastem portowym i choć przez Avenue de Suffren często przechodzili żołnierze, rzadko byli to marynarze. Obecny zrobiło się więc nieswojo, aczkolwiek w gruncie rzeczy wizyta ta mogła być zgoła przypadkowa.

– Czego pan sobie życzy? zapytał gospodarz.

Marynarz przyjrzał się mu bladoniebieskimi oczyma i otworzył usta, ale nie padł z nich żaden dźwięk.

Fanfan i Lanoix spojrzeli na siebie. Byli jeszcze pod wrażeniem fantastycznego opowiadania profesora-filozofa i zrobiło im się mocno niewyraźnie.

– Czego pan sobie życzy? – powtórzył niecierpliwie gospodarz.

Znowu rozchyliły się wargi marynarza i usłyszano cichy, jakby daleki głos:

– Szklaneczkę ginu...

– Tego nie mamy, zechce pan coś innego zamówić.

Do marynarza zwrócił się swoim poważnym głosem profesor:

– Dawno pan już żegluję, przyjacielu? – Dawno.

To pan chyba słyszał i o „Latającym Holendrze”?

Nie spuszczać oczu z marynarza, Lanoix i Fanfan zauważyli, że lekko zadrżał. Tak przynajmniej im się zdawało.

Zagadnięty spojrzął na profesora przygasłym wzrokiem, lecz nic nie odpowiedział.

--- Z pewnością znacie wilków morskich, którzy się z nim zetknęli?

– Z kim? – zapytał wreszcie marynarz bezdzwięcznym głosem.

– Ze statkiem upiorów.

Marynarz chwycił się stołu obu rękami, jakby się pod nim ugięły kolana, i rzekł tonem chłopca wydającego lekcji, z której nie rozumie ani słowa:

– Nie jest dobrze o nim rozmawiać. Nie przynosi to szczęścia. My nigdy go nie wspominamy.

Chwiejąc się, jakby był pijany, zwrócił się ku drzwiom i zniknął w cieniach nocy.

– Psiakrew! – wrzasnął nurek – kimże był ten drab? Jego oczy już chyba gdzieś widziałem?!...

– W jakim kierunku obaj nurkowie wiedli ciało, do brzegu, czy ku środkowi Sekwany?

Tem pytaniem, rzuconem przez Lanoix, profesor mocno się zainteresował.

Z zamkniętymi oczyma zastanawiał się Moufflard przez kilka sekund.

– Chwileczkę, muszę pomyśleć... Stali oni na prawo odemnie... Tak, na prawo... I szli ku brzegowi... Ależ naturalnie, ku obmurowaniu brzegu. Nie wiem, czy śniłem, ale zdaje mi się, że...

Przerwał mu głośny trzask rozbitego szkła. Profesor trącił łokciem przez nieuwagę tacę ze szklankami i wszystkie spadły na podłogę.

– Kto tłucze naczynie, winien szkodę wynagrodzić – rzekł profesor i podał banknot gospodarzowi.

– Oho! już dziewiąta za dwadzieścia minut! Najwyższy czas pożegnać się z wami, moi młodzi przyjaciele. Cieszyłbym się, jeśli was nie znudziło moje opowiadanie.

Podczas gdy Fanfan i Lanoix z szacunkiem żegnali się z profesorem, nurek wydał nagle głośny krzyk:

– Mój Boże! Oczywiście! Czyż byłem ślepy?! Oczywiście marynarza... Przecież wiedziałem, że je zdam!... Ujrzałem je dziś rano! - To są oczy owego Anglika!... Oczywiście topielca z mostu Jena!...

### Speaker z Radjo-Eiffel.

Następnego dnia, koło godziny dziewiętej – a więc mniej więcej na godzinę przed otwarciem wieży Eiffla dla publiczności – Fanfan i jego przyjaciel Lanoia gawędzili z Achillesem Capistolem, młodym Tuluzanczykiem, który dopiero niedawno przybył do stolicy, gdzie, dzięki swemu dźwięcznemu głosowi, uzyskał odpowiedzialne stanowisko speakera radjostacji na wieży Eiffla.

W jego śniadej twarzy południowca błyszcząły żywe oczy. Krętemi lokami opadały mu włosy na ramiona; pod brodą rozwiewał się z fantazją zawiązany fonta z niebieskiego, bialo-nakrapianego krawata. Ulał na sobie czarną marynarkę, z pod której widać było nikłowy łańcuszek od zegarka prawie tak gruby, jak psia obroża. Pomimo oryginalności ubioru, który uzupełniał okrągły, filcowy kapelusz, Achilles Capistol nie wywierał jednak wrażenia komicznego.

Wyczuwało się, że ma się do czynienia ze szlachetnym, romantycznym charakterem.

Jakoż był poetą, autorem niestety jeszcze dedrukowanego zbioru poezyj „Złote Liije” Schilles Capistol objął stanowisko speakera radjowego tylko w tym celu, aby od czasu do czasu mógł z przejęciem odczytywać również i własne wiersze, które radjo rozgłaszało po całym świecie.

Po dwu miesiącach pobytu w Paryżu znalazł Achilles Capistol żywy przedmiot swych westchnień i tęsknot.

Zjawił się przed nim pewnego pięknego poranku w postaci rezolutnej Ginetty Belavril, ładnej, dwudziesto-

letniej brunetki, sprzedawczyni pamięć tek na trzecim piętrze Wieży Eiffla. Miała się właśnie wspinąć do swe-

go małego kiosku. Achilles zbliżył się i swoje szerokie kapelusisko skłonił aż do ziemi przed młodą Paryżanką

– Pani – wyrzekł drżącym ze wzruszenia głosem – od dziesięciu lat czekam na Panią.

Śmiech Ginetty Belavril zadzwonił w wilgotnym powietrzu i odsłonił jej białe zęby.

– Od dziesięciu lat?! – zawołała – to pan już chyba skamieniał w tym miejscu.

Tuluzańczyk przedstawił się:

--- Nazywam się Capistol i jestem speakerem stacji radiowej. Ale przede wszystkim jestem poetą... To już pani może wcześniej zauważyła?

– Naturalnie.

– Z mojego sposobu mówienia?

– Nie, z pańskich włosów. Są dłuższe niż moje.

– Niech pani nie będzie złośliwa, niech pani spojrzy na mnie... raz jeden – i powie, czy mi będzie wolno przypisać jej moje wiersze?

Jak wiele młodych dziewcząt, Ginetta nie była nieczułą na urok poezji. Spojrzała z ukosa na Capistola:

– Wiersze?... Wiersze tylko dla mnie?

– Wyłącznie dla pani... Wiersze, jakich mi się jeszcze nigdy nie udało napisać, ponieważ nie znałem dotąd pani i ponieważ żaden poeta nie mógłby ich stworzyć, nie posiadając tak pięknej muzy, jak pani.

„Sierota, z rodziców ubogich, lecz z poważanej mieszczańskiej rodziny, Ginetta Belavil skromnie tyła w małym pokoiczku, którego jedyne okno opinał kwitnący powój.

Już nieraz zaczepiali ją przelotnie różni mężczyźni miłosnemi słówkami... i nie zwracała na to najmniejszej uwagi – Lecz dziwne hołdy młodego poety, składane jej owego rzeźwego, wiosennego poranka, nie były jej ani trochę niemiłe.

– A więc dobrze. Oczekuję pańskich wierszy –

odpowiedziała, i podała mu drobną dłoń w rękawiczce.

– Dziękuję pani – wyrzekł Capistol, speaker z Radjo-Eilffel.

– Zobaczę, czy pan słowa dotrzyma?

– Jak Pani na imię?

– Ginetta.

– Ginetta! Ale gdzie mam Pani wiersze wysłać?

– Mój adres: Ginette Belavril, trzecie piętro Wieży Eiffła.

– Tutaj?!... Pani jest tak blisko mnie?

– Tak blisko! – odparła ze śmiechem, dzieli nas tylko głupie trzysta metrów.

Ale ponieważ nie miała czasu, pożegnała go spiesznie i prawie odbiegła, nie zapominając zresztą odwrócić się, przyczem ujrzała przelotny pocałunek, przesłany jej przez poetę na końcach palców.

I od tego czasu trawiła Achillea Capistola miłość ku niebieskiej brunetce.

### Wisielec z wieży Eiffła.

Rozmowa Capistola, Fanfana i Lanoix była bardzo ożywiona. Omawiali wydarzenia dnia poprzedniego.

Tuluzańczyk, który znał legendę o statku – widmie, zapewniał, że ani trochę nie wierzy w sprawy nadnaturalne. Nurek, to pijak nałogowy, – mający i jest na najlepszej drodze do delirium tremens.

Jest to pewne, jak dwa a dwa cztery, i niema o czym mówić.

Z kolei chłopcy chcieli przedstawić swoje poglądy, gdy minęła ich jakaś postać, która ich serdecznie rozśmieszyła.

Człowieczek niskiego wzrostu, pękaty jak baryłka. Różowa, gładko wygolona twarz świeciła, jak księżyc w pełni, z dwoma otworkami, w których migotały żywe, szczerze oczka. Lewą rękę zasunął za kamizelkę, gdy w prawej ostrożnie trzymał bukietik fijołków.

– Widzieliście kiedy takiego tłuściocha? – zadrwił

Capistol.

Ponieważ kasy, w której sprzedaje się bilety na Wieżę, jeszcze nie otwarto – grubas przechadzał się tam i z powrotem przed młodymi ludźmi, którzy przyglądali mu się ironicznie.

– Znam tę bryłę tłuszczu – odezwał się Fanfan – przychodzi tu codziennie, z rana i wieczorem. Jest to namiętny wielbiciel tej ładnej sprzedawczyni z trzeciego piętra.

Achilles Capistol pobladł:

– Co? po pan mówisz?! – skoczył ku Fanfanowi, chwytając go oburącz za ramiona.

– Oj!... Co się panu stało?!

– Której sprzedawczyni wielbicielem jest ten tłuścioch?

– Ginetty Belavril z kiosku z pamiątkami z wieży. Trwa to już od dwu miesięcy.

Tuluzańczyk spurpurowiał.

– Ginetty! Dobrze! Zaraz się przekonamy!

Gwałtownym ruchem wcisnął sobie kapelusz na czoło i jednym skokiem znalazł się przy grubasie z bukiecikiem:

– Pardon, mój panie, mam z panem słówko do pomówienia.

Dźwięk głosu poety był tak niepokojący, że tłuścioch znieruchomiał.

– Pan zna pannę Ginettę?

– Przepraszam kogo? – wyjąkał grubas.

– Tylko bez wykrętów! Pan zna Ginettę i odwiedza ją od przeszło dwu miesięcy?

– To się zgadza. Rano i wieczór przynoszę jej skromny bukiecik fiołków.

– Mam cię! – wybuchnął zapalczywy południowiec. – A więc pan przyznaje się?

– Owszem... przyznaję się.

– Łotrze! czyż nie wiesz o tem, że ja, Achilles Capistol, kocham tę młodą panienkę i nikomu innemu nie pozwalam nawet spojrzeć na nią!?



– Niechże pan pozwoli, ja...

– I ma pan czelność dwa razy dziennie wspinać się na wieżę Eiffla, aby starać się o względy damy, której ofiarowałem swoje serce!?! Strzeż się pan! Szczerze to panu radzę!

– Za pozwoleniem! – zaprotestował grubas. – Jeżeli ja pannie Ginecie czternaście razy w tygodniu pozwalam sobie ofiarować bukietek fiołków, nie dzieje się to z miłości, zapewniam pana...

– Więc jak pan to tłumaczy?

– Moje spacerowanie do panny Belavril są moją kuracją odtłuszczającą.

– Pańską kuracją odtłuszczającą?

– Chyba pan już zauważył moją otyłość? 135 kilogramów żywej wagi to nie tarty. Próbowałem wszystkiego, aby schudnąć, doprawdy wszystkiego...

Małutkie, czarne oczy grubasa wypełniły się łzami, a równocześnie rozwiła się wściekłość Capistola.

– Najpierw, profesor Dolphus przepisał mi kąpiele morskie... Lecz niestety! Gdym znalazł się w wodzie, fale poniosły mnie na pełne morze i pływałem po wierzchu jak korek. Ledwo mnie uratowano... Później radziłem się pewnego lekarza z sąsiedztwa, a ten kazał mi jak najwięcej chodzić po schodach! I oto czemu codzień wspinałem się po 1710 stopniach aż na szczyt Wieży. Dzięki protekcji, wolno mi używać służbowych schodów.

Płaczliwy ton smutnej ofiary otłuszczenia chwycił za serce. Mimo to Capistol kontynuował śledztwo:

– No dobrze, przypuśćmy, że pan wspinał się po to, aby schudnąć. Lecz pocóż w takim razie kwiaty?

– Ależ to zupełnie proste. Wszyscy stale zatrudnieni na Wieży poznali się ze mną od początku moich wypraw, a ponieważ nie chciałem, aby się domyślili celu moich wędrówek... Było mi nieprzyjemnie... pan mnie rozumie... Tak się więc urządziłem, jak gdybym był zakochany w tej młodej pannie. Ale nie jestem zakochany, może pan być zupełnie spokojny! Gustuję

zresztą tylko w blondynkach...

– Mimo tego, prosiłbym pana, abyś zaprzestał swych uprzejmości wobec panny Belavril.

– Ależ owszem, z przyjemnością! Bukieciak mogę wręczyć komukolwiek innemu. Widzi pan, należy zawsze pozwolić wszystko wyjaśnić. Jestem człowiekiem, który głęboko miłuje spokój i mogę pana zapewnić, że jestem równie dobroduszny jak gruby.

– To ważne słowa!

– Oto mój bilet wizytowy i adres: Antoni Monpapa, rentjer. Gdyby pan kiedy przedził koło mego mieszkania...

– Rentjer?... To pan wiecie żywot beztroski i pracy?

– Zapewne. Ale mógłbym się również doskonale utrzymać jako kucharz. Sztuka kulinarna, to moja namiętność!

– Nigdy pan nie próbował pościć? Toż to właściwie najlepszy środek na schudnięcie.

– Ach, nie! na post nie umiałbym się zdecydować. Mam taki apetyt... !

Tymczasem Fanfan i jego przyjaciel przybliżyli się i wysłuchali części rozmowy.

Była już godzina dziesiąta, i kasjerka w południowym skrzydle wieży właśnie otwierała okienko kasy, gdy nagle zauważono wielkie paruszenie w małym pawilonie, należącym do zarządu Wieży. Urzędnicy nawoływali się, biegali tam i na powrót jakby potracili głowy. Fanfan podszedł blisko, lecz opanowała go nieokreślona trwoga.

– Co się tam stało? – rzucił pytanie jednemu z kolegów, który go mijał.

– Ktoś się powiesił na trzecim piętrze wieży.

Fanfan popędził po schodach. Po drodze każdy, kogo zapytał, objaśniał go podobnie.

Na trzecim piętrze w kącie na żelaznym trawersie, znaleziono jakiegoś wisielca; czeka się na policję, która dokona rewizji lokalnej.

Ale już dotarłszy na pierwsze piętro, dowiedział się

Fanfan nowego zastanawiającego szczegółu:

*Wisielec miał na sobie ubiór nurka.*

Fanfanowi serce niemal, bić przestało. Wskoczył do wznoszącej się właśnie windy i wylądował na trzecim piętrze. Wraz z nim dwaj policjanci i sporo panów z zarządu.

Leżały tu zwłoki jakiegoś człowieka, ubrane w skafander. Głowę uwolniono od hełmu.

Drżąc z wzruszenia, przybliżył się Fanfan. Roze-  
pchnął otaczających i wydał przeraźliwy krzyk:

*Straszliwie zmienionym wisielcem był Walenty Moufflard.*

Komisarz policji, zawiadomiony telefonicznie o strasznym odkryciu, przybył w krótkim czasie. Lekarz policyjny gruntownie zbadał zwłoki, poczem zwrócił się do przełożonych i sformułował swój wniosek:

– Człowieka tego powieszono dopiero po jego śmierci.

– Mamy tu więc do czynienia nie z samobójstwem, lecz ze zbrodnią?

– Bezwątpienia. Ale najbardziej zagadkowy jest fakt, że ciało wykazuje na sobie niezawodne symptomy innego rodzaju gwałtownej śmierci. Ten człowiek utonął!

– Niemożliwe!

– Niech panowie będą tak uprzejmi i pomogą mi rozebrać zwłoki. Panowie widzicie, że spodnie zupełnie nasiąkły wodą. Morderca zatem dopiero później ubrał swą ofiarę w skafander, aby policję w błąd wprowadzić... Hola! tu w kamizelce tkwi jakiś papier. Może nam przyniesie wyjaśnienie.

Komisarz policji czytał głośno:

*„Ja, Piotr Maus, kapitan „Latającego Holendra”, na siedem lat, licząc od dnia dzisiejszego, zaciągam jako marynarza, Francuza Walentego Moufflarda. Werbunek ów, jeśli mi się tak spodoba, może być przedłużony na dalszych siedm lat, albo zgoła na całą wieczność. Żołd otrzyma Moufflard po ukoczeniu czasu służby, jeśli w ogóle może być mowa o jej końcu, o czym stanowić władny jest wyłącznie Wielki Admirał*

*Dane na pokładzie „Latającego Holendra”.*

*Piotr Maus*”.

– A to co znowu?! Jeszcze to samo błazeństwo z „Latającym Holendrem”?

Zmartwiały ze strachu, wysunął się Fanfan i zdejmując czapkę wyjąkał:

– Proszę mi wybaczyć, panie sędzio... ów wisielec... lub topielec, jeśli pan woli... ja znam go...

– Doskonale. A więc?

– Jest to niejaki Walenty Moufflard.

– Dowiedzieliśmy się już o tem z kartki.

– I jest rzeczywiście nurkiem. Jeszcze wczoraj zrana szukał w Sekwanie Anglika, który tam, z mostu Jena, skoczył w wodę.

– Niewielki to materiał dla śledztwa. Jeden tylko punkt możemy z całą pewnością ustalić: że pismo z winetą okrętu i trupią głową znalezione przy topielcu z mostu Jena, jest do obecnego bliźniaczo podobne, że zatem wczorajsze samobójstwo stoi w ścisłym związku z dzisiejszym mordem.

Panowie z policji wraz z lekarzem, zeszli do bali z kioskami, aby tam spokojnie napisać protokół zdarzenia. Urzędnicy towarzyszyli im również. Także stróż, pilnujący porządku na najwyższej platformie, udał się za nimi, czy to z poczucia obowiązku, czy wiedziony ciekawością. Zwłoki na górze pozostały nie strzeżone.

Komisarzowi policji przyniesiono mały stolik, przy którym, z pomocą lekarza sądowego, rozpoczął redagować sprawozdanie.

– Czy jest pan zupełnie pewny, doktorze, że śmierć nie nastąpiła skutkiem powieszenia.

– Bezwzględnie pewny.

Ledwie słowa te zostały wypowiedziane, rozległ się krzyk wydany przez wszystkich obecnych. Z trzaskiem uderzając o szybę, mignęły przed oknem zwłoki nurka w skafandrze i w hełmie, spadające z wieży w próżnię.

– Kto zrzucił zwłoki? – wołał komisarz. – Kto się

odważył je zrzucić? Proszę natychmiast pospieszyć na miejsce, gdzie zwłoki leżały.

Policjanci popędzili ku górze wąskimi, krętymi schodami. Do stóp wieży zbiegli zewsząd ciekawi. I podczas gdy w górze ajenci policyjni i urzędnicy nadaremnie poszukiwali tajemniczej istoty, która najpierw zwłokom hełm umocowała, a potem je w dół strąciła – stwierdzono na dole z całą pewnością: że ubiór nurka był wewnątrz *pusty*.

### *Szafa pana Mazuret.*

Coraz poważniej i obszerniej zaczęły gazety traktować tajemnicze wydarzenia, któreśmy powyżej opisali. Mnożyły się artykuły o tytułach krzyczących tłustym drukiem: „*Nurek z Wieży Eiffla*”, „*Tajemnica Wieży Eiffla*”, „*Werbunek statku upiórów*” i t. p. W kolei podziemnej i w kawiarniach nie mówiono o niczem innym. Cały Paryż gorączkował się tajemniczością tych wypadków, ani przypuszczając, że niespodziankom jeszcze daleko do końca.

\*\*\*

Pan Mazuret, naczelny kelner restauracji na Wieży Eiffla, serdecznie lubiał Fanfana. Wiedząc, że młody chłopiec jest osamotniony, starał się często sprawić mu jakąś przyjemność.

Zdarzyło się właśnie, że pan Mazuret stał się spadkobiercą swej starej ciotki. Staruszka, pełniąc w Sevres obowiązki dozorczyńni domu – w tem Sevres, które w dni pogodne zobaczyć można z wieży przez lornetkę – pozostawiła swym licznym siostrzanom skromne ruchomości.

Pan Mazuret otrzymał od notariusza zawiadomienie, że odziedziczył ładną, starą chłopską szafę. Należy ją zabrać jak najprędzej, aby nowy dozorca mógł się zaraz wprowadzić do mieszkania. W dwa dni po opisanych

przez nas tragicznych wypadkach, zastanawiał się pan Mazuret, w jaki sposób i jaką drogą mógłby wejść najłatwiej w posiadanie szafy. Gdy w tem zauważył przechodzącego Fanfana:

– Słuchaj no chłopcze, miałbyś ochotę wybrać się na wieś?

– Ależ naturalnie!

– A więc wystaraj się o wózek ręczny, wyszukaj sobie przyjaciela do pomocy i powędrujecie wzdłuż rzeki aż do Sevres. Zabierzecie stamtąd starą szafę i przywieziecie ją do mego mieszkania.

– Ale to kawał drogi do Sevres! Nie musisz się spieszyć. Dam ci też trochę grosza, abyście mogli po drodze się pożywić.

W godzinę później Fanfan i Lanoix na zmianę pchając swój wózek, szybko posuwali się w kierunku Sevres.

Słońce, zrazu łagodne, zaczęło coraz silniej przypiekać. Przyjaciele postanowili odpocząć na werandzie przydrożnej winiarni.

Naprzeciwno na rzece, powiew wiatru poruszał blaszaną chorągwią galara, który służył za pralnię. Jakiś człowiek zeszedł z galara i żwawo zmierzał ku winiarni.

Gdy się przybliżał, kołysząc się w biodrach zwyczajem marynarzy, Fanfan i Lanoix mogli się swobodnie przyjrzeć jego dziwacznej postaci.

Osobnik ów wygląda! zdrowo i mógł liczyć lat piędziesiąt. Wąsy miał gładko zgolone, natomiast rada broda, jak u rybaków, okalała jego charakterystyczna twarz; z pod krzaczastych brwi spoglądały siwe oczy, na głowie mieściła się wysoka czapa, obszyta złotymi galonami. Na kołnierzu czarnej bluzy miał wyszyte dwie kotwice, a wzdłuż szwu czarnych spodni przebiegał złoty lampas, gruby na trzy palce.

– Spójrz no – trącił Fanfan przyjaciela – czy ta figura nie przypomina ci admirała floty szwajcarskiej?

– Zupełnie! zwłaszcza że pod pachą trzyma jeszcze lunetkę.

Operetkowy oficer minął ich, pozdrawiając z

godnością.

– Co to za jegomość? – spytał Lanox usługującego gospodarza.

– Ten?.. Jest to pan Mathurin le Froch właściciel rzecznej pralni

Fanfan i Lanoix spojrzeli po sobie z uśmiechem.

– Piękną pogodę dziś mamy – zagadnął Fanfan marynarza.

Mathurin le Froch odwrócił się, obejrzał pytająco młodzieńca i rzekł wreszcie powolnym, rozwlekłym głosem:

– Tak, lecz do wieczora możemy mieć łatwo zmianę.

– To mi się nie podoba – skrzywił się Lanoix.

– Pewnie, lecz pogodę powinniśmy przyjmować, jaką Bóg zsyła, i walczyć z rozpętanymi żywiołami. Musicie panowie wiedzieć, że już od 15 lat jestem kapitanem na pokładzie „Tygrysa Królewskiego“.

– „Tygrysa Królewskiego“?

– Jest to mój statek z pralnią mechaniczną.

– Aha.

– Od piętnastu lat ciąży na mnie trudne zadanie czuwania w czasie burzy i wichru nad dobrem tych wszystkich pracowitych gospodyń, które codziennie z koszami bielizny spieszą na pokład „Tygrysa“.

– Kocha pan morze?

– Czy kocham?! – Morze jest ryczącą nieskończonością!... Czy kocham?! Ach, panowie!... Niestety, nie znam go.

– Pan nie zna morza, kapitanie?

– Jeszcze nie znam, ale je poznam i przepłynę, nim mnie los wezwie do ostatniej, największej podróży. Nauczyłem się swego zawodu w szkole Jules Verne'go i Defoe'go. Trzydzieści lat studjów i piętnaście lat praktyki na pokładzie „Królewskiego Tygrysa“ zrobiły ze mnie doskonałego żeglarza. Jestem natychmiast gotów wsiąść na okręt i gdybym miał szczęście, mógłbym jeszcze parę razy świat okrążyć.

Kazał sobie podać lampkę wina, a równocześnie nasi

młodzi przyjaciele pożegnali go.

– Powodzenia, kapitanie! A niech pan nie zapomni przysłać nam paru widokówek ze swej podróży.

– Nie zapomnę.

\*\*\*

Ponieważ nasi młodzieńcy zjedli obfity obiad w jakiejś garkuchni w St. Cloud, dość późno dotarli do Sevres.

Pocziwy nowy dozorca, stróżujący przy szafie, odniósł się do przybyłych życzliwie. Pomógł im naładować mebel na wózek, poczem poczęstował ich winem.

Życząc im szczęśliwego powrotu, powrócił do swoich zajęć, a wózek – ciągniony przez Lanoix a popychany przez Faufana – potoczył się ciężko gościńcem.

Młodzieńcy przystawali często dla nabrania tchu, i gdy przybyli do St. Cloud było już ciemno.

– Nie mogę iść dalej – stwierdził Fanfan, któremu wino szutniało w głowie.

– Ja mam również dość – przyznał Lanoix.

– Najchętniej zdrzemnął bym się nieco, oczy mi się kleją.

– Nie możemy przecie spać pod gołym niebem.

– Czemu nie? Połóżmy się zresztą do szafy. Jest w niej dosyć miejsca dla dwóch, a rankiem udamy się w dalszą drogę.

– Świetny pomysł, ale co powie Mazuret, gdy nie powrócimy?

– Niech gada co chce. Jestem śmiertelnie zmęczony i nie pójdę ani kroku dalej.

– Ale nie możemy się przecie zatrzymać na środku drogi.

– Wyszukamy sobie jakiś cichy kącik.

– Spójrz no tam! Przypuszczam, że to miejsce nada się.



Łączka, którą miał Lanoix na myśli, leżała tuż przy drodze, naprzeciw jasno oświetlonej willi.

Jeszcze kilka obrotów kół, a wózek znalazł się na łące. Chłopcy zdjęli z niego szafę i ustawili obok na murawie.

– Pst, baczność, Fanfan! czy nie dyszysz jakichś kroków?

Nadszedł młody człowiek o sympatycznym wejrzeniu, który roześmiał się na widok szafy, stojącej w szczerem polu.

– Dobry wieczór – zagadnął uprzejmie – cóż oznacza ta piękna szafa?

– Jest to nasza wiejska rezydencja.

--- Oo!

– A tak. Jedni ludzie mieszkają w zamkach, inni mają wille lub szalety szwajcarskie. My mamy szafę i bardzo nam w niej dobrze. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi co się ma.

– Mówicie jak filozofowie. Ale jakim prawem ustawiliście szafę na łące?

– Przyznajemy, że łąka nie do nas należy.

– O tem wiem, ponieważ jest moją własnością.

– O niechże nam pan wybaczy, ale proszę się niczego nie obawiać. Jutro wczas z rana ruszamy w dalszą drogę.

Z zacięciem prawdziwego paryskiego andrusa, opowiedział Fanfan serdecznie rozbawionemu obcemu o swej podróży.

– Bądźcie spokojni, pozwalam wam zostać na łące choćby tydzień, jeśli to wam sprawi przyjemność.

W tym momencie, na gościńcu ukazała się biała postać. Młody człowiek zakończył:

– A więc dobranoc i zarazem do zobaczenia.

Poczem szybko zwrócił się ku białej postaci, zdającej się go oczekiwać.

### Tajemnicza willa.

Właściciel gruntu, na którym obaj młodzieńcy

umieścili swą szafę, nazywał się Filip Dambrun, a willa, którą zamieszkiwał ze swą matką, leżała tuż w pobliżu. Czasu wojny, porucznik Dambrun odznaczył się jako lotnik swą inteligencją, szlachetnością i rycerskością i pozostawił po sobie wśród kolegów jak najlepsze wspomnienie.

Filip, zbliżający się do trzydziestki, przystojny i zamożny, miał wszystko czego potrzebuje młody mężczyzna, aby być szczęśliwy.

A przecież nie był szczęśliwy, a raczej – nie był nim od pewnego czasu.

Jeżeli bogaty, młody człowiek, dobrze się prezentujący, mimo to nie jest zadowolony ze swego losu, należy w tem wszystkim szukać kobiety.

Białą postacią na gościńcu była dziewczyna i ona była ową przyczyną, dla której Filip Dambrun nie czuł się szczęśliwym.

– Uważasz, Lanoix? Nasz właściciel spotkał się z przyjaciółką. Sądziś?

– Chodź!... A to ci heca!

Obaj chłopcy ostrożnie zanurzyli się w ciemność. Wkrótce zatrzymali się. Tuż przed sobą, poza jakimś żywopłotem, usłyszeli wyraźnie następującą rozmowę:

– Nie, Filipie, nie mogę wieść dłużej takiego życia. W willi mego wuja, czuję to, dzieją się rzeczy niesamowite. Czy już jest obłąkany, czy dopiero znajduje się na drodze do obłądzenia, tego nie wiem. Ale jednego jestem pewna: że muszę odejść od niego. Już czas, wierzaj mi!

– Lecz gdzieżbyś się udała, Edyto?

– Obejętne. Prosto przed siebie.

Nastąpiło dłuższe milczenie.

– Jeżeli mię tak kochasz, Filipie, jak mówisz, musisz przyrzec, że mnie nie opuścisz

– Ciebie opuścić?! Edyto! Możesz zażądać odemnie czego tylko zechcesz, wszystko spełnię, choćby mnie w nagrodę tylko twój uśmiech oczekiwał. Gdyż w miłości naszej istnieje przeszkoda, dla mnie nieprzezwyciężona.

– Wyjdę tylko za ciebie, Filipie!

– Ach, czemuż właśnie ty, Edyto, musisz być siostrzenicą i spadkobierczynią miliardera Jeremiasza Scotta?!

– Mój ojciec był bratem wuja Jeremiasza. Gdy ten pojechał do Ameryki szukać szczęścia, zabrał z sobą swego młodszego brata, który się tam naturalizował, aby mógł się ożenić z Amerykanką, moją biedną matką, która zmarła po wydaniu mnie na świat. Wuj pozostał jednak Anglikiem. I mimo, że nie jest zbyt uczuciowy, kocha mnie mocno, w przeciwnym razie nie zabrałby mnie do swego domu po śmierci ojca. Ale w żadnym razie nie powinno cię to powstrzymywać od prośby o moją rękę. Jako rzetelny Anglik ma on wiele sympatii dla małżeństwa z miłości.

– Jesteś Amerykanką, Edyto, i chociaż wychowałeś się we Francji, na wiele spraw patrzysz amerykańskimi oczyma. Dlatego nie możesz również zrozumieć, że jeśli bym ja, Filip Dambrun, starał się o ciebie, cały świat nie ujrzałby w tem nic innego, prócz finansowego wyrachowania.

– Cóż cię obchodzą sądy ludzkie!

– Nie chcę przez całe życie uchodzić za człowieka, który ożenił się z miliardem. Strać swój majątek, Edyto, a będę, jako twój mąż, najszczęśliwszym człowiekiem na świecie!

– Ślicznie dziękuję! Jestem przekonana, że pieniądze nigdy jeszcze nie zburzyły niczyjego szczęścia.

Umilkli... Gdzieś z oddali dobiegło przeraźliwe wycie psa.

Mężczyzna odezwał się:

– Zresztą możesz na mnie, Edyto, zawsze liczyć. Twierdzisz, że nie możesz przebywać dłużej z wujem, którego zachowanie cię niepokoi? A więc dobrze! Opuść go, wyjedź, lecz nie zapomnij, że czuwa nad tobą mężczyzna, który w każdej chwili grożącej ci niebezpieczeństwem, stawia się na twe wezwanie!

Daleki zegar na wieży wybił godzinę jedenastą. Obaj

chłopcy wstydzili się trochę, że się stali tajemnymi świadkami tego rodzaju rozmowy. Usłuszelali oddalające się kroki i biała postać podążyła do pięknej willi, której światła tymczasem pogasły.

– No, na dziś dosyć!... Spróbujmy wreszcie spać.

Jeszcze nie zdołał się Fanfan usadowić w swej szafie, gdy nagle poruszyły się powoli złocone drzwi, wiodące z willi do parku.

Obaj chłopcy zastygli w oczekiwaniu.

Światło księżyca, oblewające jasną bielą gościniec i park willi nie przebijało wysokich drzew, okalających łąkę. Chwilowi lokatorzy szafy mogli więc wszystko widzieć, nie będąc sami widzianymi.

Krata bramy otwarła się szeroko, a na gościńcu stanął nieruchomy jak posąg, czarny olbrzym. Murzyn, w złocistej liberji, zdający się na coś czekać.

Znowu rozległo się szczekanie psa i Lanoix, posiadający znakomicie wyostrzony słuch, dosłyszał z oddali turkot wozu i tupot podków.

W tej chwili czarny olbrzym cofnął się do willi, jakby z jakąś relacją, zaraz jednak powrócił na swe stanowisko.

Coraz wyraźniejsze stawały się odgłosy nadjeżdżającego wozu, aż wreszcie i on sam wyłonił się z zakrętu. W jasnym świetle księżyca Fanfan i Lanoix ujrzeli zbliżający się pojazd, którego szczególne formy były im dobrze znane. Ciarki ich przeszły. Był to bowiem karawan, ciągniony przez dwa konie w srebrnoczarnych czaprakach. Nie zatrzymując się, karawan wjechał do parku, poczem murzyn zamknął za nim kratę.

– Karawan w nocy – szepnął Fanfan – to mi się wydaje zagadkową sprawą!

– Mnie również.

– Ta panna wyraziła się przed chwilą: w willi mego wuja dzieją się tajemnicze sprawy". Spójrzno, w willi milionera jest znowu jasno!

– Dziwna rzecz, światło jest niebieskie.

Lanoix umilkł. Zdawało mu się, że usłyszał śpiewy.

– A to co?

– Zapewne jakieś towarzystwo wraca z biby.

– W takim razie niezwykle pieśni sobie wybrali  
Brzmią całkiem pogrzebowo.

– Ależ tak! głosy pochodzą z willi!

Fanfan i Lanoix ostrożnie podeszli do bramy i zerknęli przez kratę.

Willa Jeremiasza Scotta była iście książęcym pałacem, jak stworzonym na rezydencję magnata finansowego.

Otaczał ją ogromny, wysokim murem zamknięty park.

Willa, zbudowana w włoskim stylu, wyłożona z zewnątrz płytami z różowego marmuru, rysowała się imponująco na czarnem tle rozłożystych, stuletnich drzew.

Parter lśnił niebieskim światłem. Karawan czekał przed głównym wejściem.

Śpiew ucichł.

Karawan ruszył powoli. Z obnażonymi głowami szło za nim dwóch ludzi, jeden wysoki, drugi niski. Twarzy ich nie można było dostrzec.

Fanfan z kolegą swoim ostrożnie posunął się wzdłuż muru. Nagle usłyszeli uderzenia łopat.

– Tam ktoś kopie.

– Zapewne grób.

Umierając z ciekawości spojrzeli chłopcy na wysoki mur, sięgający dolnych gałęzi rozłożystego platanu.

Fanfan stanął na barkach Lanoix, wciągnął się i usiadł okrakiem na murze. Następnie odpiął pasek od spodni i spuścił go zamiast liny, aby pomóc koledze wydrapać się również na mur.

Tajemniczy pochód wynurzył się właśnie z ciemności, minął aleję i podążył na łąkę.

Obaj żałobnicy postępowali ze spuszczonej głowami Mimo oddalenia zdołali Fanfan i Lanoix dostrzec, że wyższy z obu mężczyzn miał siwe włosy i czerwoną twarz. Na niższym natomiast straszyla się

gęstwa czarnych. kłujących włosów, ponad bladym obliczem, która w świetle księżyca przybierała odcień zielony.

Pochód zatrzymał się.

Znowu rozległ się śpiew.

Żałobnicy poczęli zawodzić ponurą litanję.

Następnie znowu nastąpiła cisza.

Wysoki mężczyzna pochylił się nad grobem, jakby celem ostatniego pożegnania i zawołał wyraźnie angielskim akcentem:

– Ramo, Ramo! czy słyszysz mnie?!

– Czy słyszysz? – powtórzył – Nic cię już nie zatrzymuje na tej ohydnej planecie? Znajdujesz się w stanie śmierci? Udaj się drogą nieskończoności! A nie zapomnij o wielkiej misji, którą masz wypełnić!

Poczem cofnął się kilka kroków i stał bez ruchu, kryjąc twarz w dłoniach.

Obaj grabarze oddalili się. Fanfan chciał rzucić jakiś dowcip, ale nowa zamarła mu na ustach.

Na murawie zarysowała się nagle w świetle księżyca jakaś fantastyczna sylwetka.

Drżąc ze strachu, Fanfan i Lanoix rozpoznali stary, historyczny strój, który pewnej niedzieli oglądali w muzeum wojennym.

Postać minęła ich powoli, ze spuszczoną głową, z jedną ręką wetkniętą między guziki kamizelki, drugą założony na plecy.

*Była to postać Napoleona!*

Fanfan zeskoczył z muru, zaraz za nim Lanoix. Szczękając zębami i spoceni ze strachu, schronili się do swej szafy i zamknęli w niej szczelnie.

### Umowa z sąsiadem.

Słońce stało już dość wysoko na niebie, a Fanfan i Lanoix wciąż jeszcze chrapali w swym zaimprovizowanym mieszkaniu. Ale nagle zbudziło ich mocne wstrząśnienie.

Szafa poruszyła się i zakołysała śpiochami.

-- Otwórz no. Fanfan! leżysz bliżej rygla! – zawołał Lanoix.

Fanfan odemknął drzwi szafy, i chłopców oślepiło na moment jaskrawe światło dnia.

Przed nimi stał wygalonowany murzyn z nocy poprzedniej, a obok mego gładko wygolony, gruby lokaj w białych pończochach i szkarłatnej liberji. Lokaj ostro krzyknął na chłopców:

– Czego tu szukacie?!

Fanfan i Lanoiz nie zaraz odpowiedzieli, musieli wpierw bowiem przetrzeć sobie oczy.

Gruby służący aż trząśł się ze złości:

– Cóż to za bezczelność?! Tych dwu obwiesiów ośmiela się zamieszkać w szafie, i to akurat naprzeciw pałacu pana Jeremjasza Scotta!

– Może nas pan objaśni, w czym mu właściwie przeszkadzamy?

– Pan Scott, goląc się z rana, zauważył przez okno waszą szafę i rzekł mi: „Usuńcie ten stary grat; psuje mi widok”.

– A nas co obchodzi jego widok?! – zawołał Lanoix ze złością.

Spór miał się już zaostrzyć, gdy nadszedł Filip Dambrun, właściciel gruntu.

– O co chodzi?

– Tych dwóch andrusów nie chce się stąd wynieść.

– Wolno im. Sam im pozwoliłem tu pozostać.

– Pan?...

– Ja, we własnej osobie. Ci chłopcy są moimi gośćmi i w ogóle nie rozumiem, co was uprawnia do żądania ich osunięcia?

W tejże chwili na bocianich długich nogach zbliżył się ku nim szybko ów Anglik, którego chłopcy widzieli w nocy kroczącego za karawanem. W rękę trzymał gazetę. Już z daleka wołał z oburzeniem.

– Ta śmieszna szafa psuje mi widok. Musi iść precz!

– Pole to należy do mnie, a ja tym chłopcem

pozwoлиłem...

– Ile? – zapytał zimno milijarder, i z prawej kieszeni dobył książeczkę czekową.

– Ci dwaj chłopcy chętnie się oddalą i rozbiją swój obóz na innym miejscu, jeśli pan każdemu z nich wypłaci tytułem odszkodowania po 10 tysięcy franków.

Anglik wzruszył ramionami.

– To wszystko?

Wydał krótki rozkaz murzynowi, który natychmiast z kieszeni swej liberji wyjął gruby pakiet biletów tysiącfrankowych, odliczył dwadzieścia sztuk i podał z nich dziesięć zdumionemu Lanoix, drugie dziesięć Fanfanowi, chwytającemu się za głowę i przekonane-  
mu, że śni.

Dambrun uklonił się:

– Serdeczne podziękowanie w imieniu chłopców. Teraz może pan być spokojny, że szafa zniknie w ciągu niewielu minut.

– Spodziewam się. – Anglik skinął głową i zawrócił do willi.

– Pieniądze należą się naturalnie panu – odezwał się Fanfan i podał Filipowi Dambrun zwitek banknotów.

– Ani mowy o tem! Zatrzymajcie je. Pierwotnie miałem zamiar po prostu i zwyczajnie wyrzucić Anglika, aby się przekonał, że we Francji są jeszcze ludzie, którym jego pieniądze nie imponują. Ale później pomyślałem, że się wam ta sumka bardzo może przydać, zdecydowałem się więc załatwić ten interes w waszym imieniu.

– To było wspaniałe! – chłopcy aż skakali z radości.

– A co pocniemy z tą masą pieniędzy? – wołał Lanois.

– Oddawna chciałem już mieć buty z gumowymi podeszwami.

– Możesz je sobie teraz sprawić. A ja marzę o rowerze, o budziku i o maszynie spirytusowej, abym mógł sobie gotować śniadania.



– Wszystko to mieć możesz i jeszcze cała masa pieniędzy pozostanie w kasie.

Dambrun radził im teraz przede wszystkim usunąć z łąki szafę.

– Słusznie! Słowo się rzekło. Pomóż no, Fanfan!... Hop!

Mimo ich protestów, pomógł im Dambrun załadować mebel na wózek i wyciągnąć go na gościniec.

– To meblisko jest wściekle ciężkie – mruknął Lanoix. – Wiesz, Fanfan, teraz, gdy jesteśmy tak bogaci, nie będziemy przecież aż do Paryża z wywieszonymi językami ciągnąć tego wózka.

– Tymczasem możecie wózek do mnie zaciągnąć – odezwał się Dambrun. – Droga nie potrwa ani pięciu minut. Umieścimy go w garażu może zaczekać, aż po niego przy jedziecie. Tymczasem moja kucharka da wam gorącej kawy.

Gdy już szafę ulokowano bezpiecznie i chłopcy pochłonęli obfite śniada nie, postanowili – pijani radością i zupełnie nie pamiętając niepokojących wydarzeń ubiegłego dnia – pożegnać się z człowiekiem, któremu zawdzięczali swoje szczęście.

Ale Filipa Dambrun nie można było nigdzie znaleźć.

Stary służący widział go odchodzącego – na tem koniec.

– Nie możemy przecież odejść bez pożegnania – stwierdził Fanfan, wielce dufny w swe dobre maniery.

Zatrzymali się więc przy gościńcu, wśród kwiatów polnych, oszałamiających wonią wiosny.

Z gościńca dobiegł odgłos kroków. Jakiś człowiek się zbliżał, niosąc ręczną walizę. Ubrany był dziwacznie, że aż zwracał uwagę, a szerokie szare sombrero królowało na okrągłej, gładko ostrzyżonej czaszce.

– To z pewnością artysta – zwrócił się Fanfan do Lanoix.

– Tak, a nawet wydaje mi się, że tę twarz widziałem już raz w kinie.

Obcy minął ich. Fanfan, śląc za nim spójrzenia,

chwycił Lanoix za ramię:

– Przypatrzyłeś się temu człowiekowi? czy tak?!

– No, więc?

– Rozpoznałem go. Teraz w hiszpańskim kapeluszu i z walizką z imitacji skóry, nie wygląda na grubą rybę, a przecież, mój kochany, wczoraj o północy w parku Jeremiasza Scotta, nie był nikim innym, jak Napoleonem!

### Medjum.

Podczas gdy Fanfan La Tour i Juljusz Lauoix wciąż jeszcze cierpliwie czekali na swego dobroczyńcę – ten już prawie o nich zapomniał.

Jak każdego poranku, spotkał się z uroczą miss Edytą Scott. Rozmawiali i spacerowali ustronną aleją.

– Nie wiem jeszcze, dokąd się udam – rzekła Amerykanka, patrząc pięknymi niebieskimi oczyma na Filipa – mój biedny wujaszek który mógł dotychczas uchodzić za wcale nieszkodliwego dziwaka, teraz zdaje się kompletnie zwarjował. Przed pięciu laty udał się za interesami do Indyj. Traf chciał, że się tam spotkał z przyjacielem młodości, majorem Stickiem z armji angielskiej. Major obznajomił go z praktykami fakirów i wtajemniczył w wiedzę okultystyczną. Wuj połknął haczyk. Ale stary, drzemiący w nim businessmann również się obudził. I wuj zaczął ustawicznie rozmyślać nad sposobem, jakby potęgę umartych zaprząć w służbę żywych. Zrazu ograniczał się do spędzania części nocy przy stoliku wirującym. Nikomu to nie szkodziło, a jemu samemu, jak mówił, dawało wiele zadowolenia. Ale teraz jest już inaczej.

– Czy już długo przy nim jest ów osobliwy człowiek, służący mu za pośrednika między światem żywych, a państwem umarłych?

– Od miesiąca... I właśnie od tego czasu obserwuję zastanawiającą zmianę w zachowaniu się wuja.

– Jakże się poznali?

– Za pomocą ogłoszenia w dzienniku, którym wuj poszukiwał medjum materializacyjnego, to jest umiającego wywoływać duchy.

– I wówczas wypłynął na widownię rzeczony młodzieniec?

– Tak. Samuel Vamp napisał do wuja z Rygi. W osiem dni później znalazł się już w Saint Cloud. Od pierwszego wejrzenia był mi w najwyższym stopniu niesympatyczny.

– Znasz go?

– Spotykam go dość często, udając się na dworzec. Postać jego zwraca na siebie powszechną uwagę. Tylko jego oczy żyją. Wydaje się jakby pod pergaminową skórą nie krążyła krew.

– Mówi po francusku?

– Wprawdzie powoli, ale tak bezbłędnie, że nie mogę uwierzyć, aby był po raz pierwszy we Francji.

– A zadawała pana Scotta?

– Tak sędzę. Ale wuj nie jest zwyczajnym spirytystą. Opisywałam ci już nieraz jego charakter. Majątek, zwielokrotniony dzięki inflacji, napełnił go bezgraniczną pychą.

– I ja to zauważyłem.

– Jego medjum nie może się więc pospolitować z jakimibądź zwykłymi duchami. Muszą się pojawiać największe osobistości minionych stuleci.

– Twój wuj chce sobie wyrobić stosunki w najwyższych sferach?

– Istotnie też medjum zyskało sobie taki wpływ na wuja, że może z nim zrobić, co zechce. Niedawno zażądał zmiany całej naszej służby, pod pretekstem, że nasi ludzie fluidami swemi odstraszaają duchy.

– I Scott się zgodził?

– Następnego dnia Vamp pojechał do Paryża i powrócił, przywożąc nowego zarządcę domu i nową służbę. Odebrano mi nawet moją pannę służącą Margeritę, bardzo mi oddaną, i którą bardzo lubiałam. Jestem przekonana, że Vamp chce się otoczyć wyłącznie

własnymi kreaturami.

– Chcesz, abym spróbował zdemaskować go?

– Obawiam się, że ci się to nie powiedzie.

– Słuchaj, Edyto, nie mówię tego z czczej próżności, ale już nieraz musiałem się zdawać na swą energję i swój spryt. Wierzaj mi, te wszystko uczynię, aby panu Scott otworzyć oczy.

– Ach. nie wyobrażasz sobie, jak głęboko wuj tkwi w swej wierze. Za dnia żyje tylko oczekiwaniem wieczoru, gdyż teraz nie minie żadna noc bez zjaw. Dziś z rana wuj śmiejąc się objął mnie i oznajmił, że wysłał posła w zaświaty, aby poznać wielką tajemnicę... mianowicie fakira nazwiskiem Rama, który twierdzi, że wiele dni może spędzić w zamkniętej trumnie.

– Rama?... Zaraz, zaraz!... Zdaje mi się, że widziałem tego fakira w Variete.. Produkował się wówczas jako „żywcem pogrzebany“... Zręczny sztukmistrz, nic pozatem.

– Odniosłam to samo wrażenie. Nadomiar zaś, wuj, ciągle niezwykle zadowolony, dodał, że resztę nocy spędził nadzwyczaj mile na partyjce bridża z Napoleonem I - wszym. Jego obłęd pogarsza się niestety z godziny na godzinę. A obecnie znajduje się w stanie niesłychanego podniecenia i rozgorączkowania.

– Czemu?

– Słyszałeś zapewne o wydarzeniach, które ostatnimi dniami rozegrały się częściowo nad Sekwaną, częściowo na Wieży Eiffla?

– Czytałem o nich.

– A więc: medjum doradza wujowi wy najęcie czwartej platformy wieży na jedną z nocy, celem wywołania ducha samobójcy.

Dambrun zmarszczył czoło. Przypomnił sobie, że pozostawił w domu dwóch miłych chłopców, którzy mu opowiadali, że są zatrudnieni na Wieży.

Natychmiast uświadomił sobie szczęśliwy traf tego spotkania.

– Przede wszystkim pragnąłbym być przedstawi-

ny twemu wujowi. To najważniejsze.

– Z widzenia wuj zna cię już niewątpliwie.

– Dziś rano miałem z nim nawet małe starcie.

– Jak to?

– Byłoby za długo mówić teraz o tem. Idź już do domu, Edyto, a ja za kwadrans sam się przedstawię panu Scott i jestem pewien że mnie dobrze przyjmie.

– Nie ufaj sobie zbyttnio, wuj ma najrozmaitsze kaprysy.

– Mam cudowny sposób na ugłaskanie go. Ach, Edyto, gdybym miał dostęp do twego domu mógłbym się z tobą o wiele częściej potykać niż dotychczas.

Dambrun ucałował czule podaną mu rączkę, a później pobiegł szybko do Fanfana i Lanoix, skracających sobie czas oczekiwania przeliczaniem po raz dwudziesty otrzymanych banknotów.

– Pan Jeremiasz Scott?

– Tak jest.

Dambrun skłonił się bez śladu unizoności.

– Niestety, panie Scott, nie mogłem się panu uprzednio przedstawić. Jestem Filip Dambrun, inżynier i lotnik. Chcę panu tylko przynieść podziękowanie obu chłopców, których pan dziś rano tak wielkodusznie obdarzył.

– Sprawa jest przecie załatwiona?

– Ależ naturalnie. Obaj młodzi ludzie zabierają się właśnie do powrotu na Wieżę Eiffla, gdzie są zatrudnieni.

Miljarder poruszył się gwałtownie:

– Na Wieżę Eiffla? – zapytał żywo.

– Zajmują tam wprawdzie bardzo skromne stanowiska, lecz ich opowiadania mimo tego żywo mię zainteresowały. Byli bowiem świadkami tych wydarzeń, których prasa ostatnio jest tak pełna.

Jeremiasz Scott był podniecony w wysokim stopniu. Zacisnął wargi, ręce drgały mu nerwowo.

– Ile? – wykrztusił wreszcie, dobywając książeczki czekowej. – Ile zapłacić, abym mógł mówić z tymi

chłopcami z Wieży?

Dambrun z godnością potrząsnął głową:

– Jestem przekonany, że będą uważali to za nielada zaszczyt, że mogą z panem porozmawiać. Pozwala mi pan tu ich sprowadzić?

– Rozumie się. Jestem panu wielce zobowiązany.

Miljarder zadzwonił na murzyna i kazał mu sprowadzić pana Samuela Vampa.

– A więc poznam wreszcie owo indywiduum – pomyślał Dambrun, wychodząc, by sprowadzić obu nierozłącznych przyjaciół.

Towarzyszyli mu teraz, olśnieni przepychem pałacu miliardera, oczyściwszy wprawdzie z kurzu swe obuwie własnymi chusteczkami.

Pokój, w którym Jeremjasz Scott oczekiwał ich wraz z medjum, obity był złotym brokatem.

Z pod spuszczonej powieki przyglądał się wchodzącemu Samuel Vamp.

– Ponieważ panowie byliście świadkami wydarzeń, które zaszły ostatnio na Wieży i w jej pobliżu, byłibyśmy wam wdzięczni, pan Scott i ja, gdybyście nam zdali z nich relację, nie wypowiadając zresztą własnych przypuszczeń i nie uzupełniając opowieści żadnymi własnymi dodatkami.

Zabrał więc głos Fanfan, zrazu nieco niepewnie, ale w miarę opowiadania coraz odważniej i śmieiej.

W różnych momentach opowiadania Jeremjasz Scott, którego oczy błyszczały, i Samuel Vamp, czyniący notatki – wymieniali między sobą krótkie spojrzenia.

Dambrun nie odezwał się ani słowem.

Im dłużej przyglądał się Samuelowi Vampowi, tym silniej upewniał się w swoim zdaniu o nim. Medjum było pozbawionym wszelkich skrupułów awanturnikiem, ale równocześnie człowiekiem o żelaznej sile woli, o czym świadczyły jego potężne szczęki.

Spojrzenie młodego lotnika widocznie go mieszało, wreszcie pod pierwszym lepszym pozorem zmienił miejsce, aby tylko nie siedzieć dłużej naprzeciw

bystrego obserwatora.

Fanfan przedstawił wydarzenia dokładnie tak jak je już znamy, i nie zapomniał również nadmienić o profesorze, który opowiadał, że widział statek upiorów.

Gdy skończył, chciał Dambrun odejść, ale Samuel Vamp szybko wtrącił:

– Jeszcze minutkę, bardzo proszę. Powiedziałeś pan, młody człowieku, że nurek Walenty Moufflard, gdyś się z nim pożegnał po raz ostatni, znalazł się w towarzystwie owej tajemniczej osobistości, nazwanej przez pana „profesorem”?

– Tak, odeszli razem. Moufflard był trochę podпиты, a profesor, który jest dobrodusznym człowiekiem, chciał go zapewne odprowadzić.

– O, zapewne! – powiedziało szyderczo medjum i zamieniło z milone rem porozumiewawcze spojrzenie.

– A czy o tym fakcie wspomniał pan również sędziemu śledczemu?

– Toby nie miało celu, bo profesor jest wykształconym, spokojnym i łagodnym człowiekiem. Z przestępstwem niema z pewnością nic wspólnego.

– Naturalnie, że nic wspólnego. Obawiam się zresztą, że policja nigdy nie natrafi na ślad sprawców. Ten dramat składa się z tak tajemniczych okoliczności, iż mam wrażenie, że ziemski sąd tutaj by nie wystarczył... A ponieważ pan należy do obsługi Wieży, mógłby nam pan może powiedzieć, czy otrzymalibyśmy pozwolenie spędzenia jednej nocy na najwyższym piętrze Wieży?

– Ile? – natychmiast zapytał miliardier, sięgając automatycznie po książeczkę czekową.

– Ci młodzi ludzie nie są przecież upoważnieni do udzielenia tego rodzaju zezwolenia – wtrącił krótko Dambrun, wstając.

– Do kogo zatem należy się zwrócić?

– Do dyrektora ruchu – odparł Fanfan.

– Doskonale. Jeszcze dziś przed południem załatwimy tę sprawę. Panie Vamp, niech pan każe

zajechać szoferowi i niech pan powie miss Edycie, że pojedzie z nami.

Dambrun, Fanfan i Lanoix pożegnali się.

Król kolejowy przesadnie dziękował Filipowi i zaprosił go na dzień następny na obiad.

Lotnik przyjął skwapliwie zaproszenie, uszczęśliwiony możliwością spędzenia wieczoru obok Edyty, zauważył jednak lodowate spojrzenie, które mu rzuciło medjum.

Gdy już opuścili willę, zapytał swych protegowanych:

– Chcecie stąd wprost wracać do Wieży?

– Najwyższy czas! Nasz szef już nas serdecznie przeklina.

– Podwiozę was autem.

– Ach, panie Dambrun, jakże panu mamy dziękować!...

– Mam i ja coś do załatwienia na Wieży. Kto wie, może was jeszcze będę potrzebował...

Pół godziny później nasza trójka mknęła z pełną szybkością w kierunku Paryża. W pewnej chwili nagła trąbka automobilowa zmusiła ich usunąć się w bok. Pędząc z szybkością stu kilometrów, wyminął ich samochód miliardera, w którym można było dostrzec jasny szal miss Edyty.

### *Człowiek w niebieskich okularach.*

Pan Mazuret, starszy kelner restauracji na Wieży Eiffla, był już poważnie zaniepokojony o los swego gońca, swego pomywacza i swej szafy, gdy wreszcie ujrzał wracających Fanfana i Lanoix.

– U licha, cóż się wam wydarzyło?

– Coś niesłychanego, panie Mazuret!

– Wygraliście los szczęścia?

Podnieceni, w pośpiechu, opowiedzieli przełożonemu, otwierającemu szeroko oczy i uszy, swoją odyseję. Uspokoili go także co do losów szafy, przyrzekając



posłać po nią szybko posłańca publicznego. Donieśli mu również, że Jeremjasz Scott ma zamiar zjeść obiad w restauracji tu, na Wieży.

Podczas gdy Scott i medjum konferowali z dyrektorem, odbyła Edyta przechadzkę po trzeciej platformie. Aby jakoś czas przepędzić, oglądała długo panoramę z wieży, podeszła następnie do kiosku, aby wybrać kilka widokówek.

Już miała zapłacić sympatycznej sprzedawczyni, gdy nagle krzyknęła ze zdumieniem:

– Ginetta!... Przecież nie myłę się!... Ginetta Belavril!

– Ależ to cud! – zawołała tamta, wybiegła z poza lady i padła Amerykance w ramiona.

--- Edyta!... Edyta Scott!... Moja najlepsza przyjaciółka z pensjonatu Sevigne!...

– Tak, ale ty, co tutaj robisz?

– Sprzedaję pamiątki z podróży, jak widzisz.

– Moja biedna Ginetto!... A twoi rodzice?

– Zmarli – odrzekła Ginetta. – Muszę sama zarabiać na utrzymanie i powinnam być jeszcze zadowolona, te mi się to udaje.

Edyta i Ginetta po opuszczeniu pensjonatu, straciły się z oczu.

Teraz spytała Edyta wprost:

– Chciałabyś zamieszkać u mnie, Ginetto?

Mała sprzedawczyni oniemiała.

– Chciałabyś, abyśmy się jut nie rozstawały z sobą, jakeśmy to sobie poprzysięgły na pensji?

– Nie mówisz chyba tego serjo, Edyto?

– Jakto, nie serjo? Nudzę się, nudzę się straszliwie... Wuj daje mi wszystko, czego zechcę... Doprawdy nie wiem, co mam począć z pieniędzmi. Ale we dwie może sobie przecież z niemi damy radę.

Ginette ociągała się, zakłopotana. Amerykanka spytała:

– Mote cię tu co zatrzymuje?

– To nie... a jednak...

– Narzeczony?

- Jeszcze nie.
- A więc wielbiciel?
- Mój Boże, tak... Przyznaję...
- A więc zdecyduj się, Ginetto...
- Otóż...

– Żadne „otóż!” Nie wiesz, jak ukształtować stosunek do swego wielbiciela? Będziesz mogła widywać go tak często, jak tylko zechcesz obiecuje ci... Sama odegram rolę przyzwoitki.

I obie zaśmiały się wesoło, podobnie jak niegdyś w czasie szkolnych pauz.

Ale zaraz poważniały, i Edyta zwierzyła się przyjaciółce z przykrości swego tycia, pędzonego przy boku wuja, którego niezwykle dziwactwa coraz więcej ją przerażały.

Ginetta, rzeczywiście serdecznie przychylna przyjaciółce, przystała ostatecznie na jej projekt

– Zgoda – oświadczyła – ale tylko pod jednym warunkiem: będę pracowała dla ciebie, tak jakby to czyniła jakkolwiek osoba obca. Zaangażujesz mnie całkiem formalnie jako towarzyszkę.

– Zdaj się jut na mnie! – zawołała Edyta zadowolona z pomyślnego rozwiązania.

– Ale teraz przedstawię cię wujowi.

Właśnie zatrzymała się winda, z której wysiedli Samuel Vamp, zapięty po szyję i bardziej niż kiedykolwiek zielony oraz Jeremjasz Scott, jak zwykle w doskonałym usposobieniu, ale bardzo podniecony.

– Dyrektor jest uprzejmy businessman – powiedział Scott Vamp i ja spędzimy tę noc w prywatnym salonie pana Eiffła, który pozostawiono dzisiejszego wieczora do naszej dyspozycji.

\*\*\*

W kawiarni na pierwszym piętrze zasiadła przy jednym ze stolików jakaś para, zamawiając dwa kieliszki portweinu.

Fanfan, krzątający się między gośćmi, już z daleka rozpoznał mężczyźnę z czarną brodą i w niebieskich okularach.

– A ten, czego tu szuka? – pomyślał, i zakreślił się przy sąsiednim stoliku, aby bliżej przyjrzeć się towarzysze profesora.

Była to osoba wysoka, o czarnych jak heban włosach okalających twarz bladą, z łagodnymi czarnymi oczyma. Aczkolwiek skromnie ubrana, wzbudzała sobą zainteresowanie. Jej czarna, niezbyt modna suknia, opinała ją ściśle; na ramiona zarzuciła miękki szeroki szal z długimi czerwonymi frendzlami.

W tej chwili pochylała się ta kobieta ku profesorowi i pytała cicho:

– Czy przybył pan na dłuższy czas do Paryża?

Mężczyzna uśmiechnął się boleśnie:

– Zna pani mój los, Verino Korsoff – odezwał się wreszcie. – Jestem tu tylko dlatego, aby spróbować zmienić ów los nienawistny. Być może, powrócę z pani pomocy jeszcze raz tam. skąd przybywam. Ale obawiam się, że o naszym połączeniu jeszcze długo niema co myśleć. Wiem, że jest mi pani oddana, i jestem jej za to wdzięczny z całego serca. Już zbliża się chwila, w której będę zmuszony wystawić panią na próbę. Liczę na panią, Verino.

– Pan wie, że uczynię wszystko, co w ludzkiej mocy.

Poczem umilkli, siedząc nieruchomo, pogrążeni w swych myślach.

Koło innego stołu na temże tarasie, nakrytego na cztery osoby, zajęli miejsce: Edyta Scott. Ginetta Belavril, Samuel Vamp i Jeremjasz.

Podczas gdy Fanfan usłużnie odbierał ich okrycia, rzekł profesor dotykając lekko dłoni swej towarzyski:

– Niech pani spojrzy w prawo, nie tracąc jednak panowania nad sobą.

Spokojnie odwróciła się Verina. Żaden muskuł nie drgnął na jej twarzy, tylko piersi pod suknią uniosły się ciężkim oddechem, jak by walcząc z dusznością.

– Tak... – rzuciła wreszcie – zobaczyłam go...

Po cichu, w jakimś obcym języku, udzielił jej profesor wyjaśnień. Puczem powstał, zostawił nieco drobnych na stoliku, i oddalił się niepostrzeżenie

Gdy Fanfan spostrzegł, że Scottowie zabierają się jut do odejścia, skoczył do garderoby, aby przynieść im płaszcze. Ale zatrzymała go dama w czerni.

– Widzi pan, przy tamtym stole bladego pana, jedzącego właśnie winogrona?

– Jest to pan Samuel Vamp – objaśnił Fanfan, wielce dumny ze swych nowych znajomości.

– Samuel Vamp... Czy jest pan pewny, że on się tak rzeczywiście nazywa?

– Zupełnie pewny.

– Z kimże jest tutaj?

– Z królem kolejowym Scottem.

– Im... proszę to wziąć... i postarać się powiedzieć w cztery oczy temu panu... jakże pan się nazywa?

– Samuel Vamp.

– Ślicznie! Proszę zatem powiedzieć panu Vamp, że dawna znajoma z Tobolska chce z nim pomówić.

– Mam poważną prośbę do ciebie i do Latoix, kochany Fanfan. Musimy wszyscy trzej dzisiejszą noc spędzić na wieży. Jestem przekonany, że przeżyjemy sporo ciekawych chwil.

Fanfan zastanowił się.

– Czy to tak trudno urządzić? – zaniepokoił się Dambrun.

– Nie... Powinien się pan tylko koło wpół do siódmej znaleźć w pobliżu teatru. Drzwi są otwarte, ukryję pana w garderobie któregoś z artystów, poczem zaraz po zamknięciu wieży, przyjdę wraz z Lanoix po pana.

– Świetnie. Teraz wyjrzę na miasto, aby zbyt długim tutaj pobytem nie zwrócić na siebie uwagi.

Na schodach minął się Filip z małym człowiczkiem o objętości beczki piwa, który sapiąc jak miech kowalski niósł w ręku bukietek fijołków. Był to nasz zacny Antoni Monpapa, w pocie czoła odbywający swą codzienną

wyprawę na wieżę.

\*\*\*

Właśnie wybiła godzina szósta, gdy nowy gość zwrócił na siebie uwagę Fanfana.

--- Oho, baczność! – mruknął. – Znamy się przecie. Toż to jest aktor, któregośmy dziś rano widzieli w Saint Cloud. Majestatyczny Napoleon z parku mr. Scotta!

Zaniepokoił się i nie spuszczał przybysza z oczu.

Saint Koel, wspólnik Samuela Vampa, trzymał w ręku ogromny pakiet, zawinięty w szary papier. Gdy tylko spostrzegł Fanfana podszedł ku niemu i zapytał bez ogródek:

– Chciałbyś zarobić piędziesiąt franków, młodzieńcze?

– W takich razach nigdy nie mówię „nie”.

– Kiedy Wieża będzie zamknięta?

– O siódmej powraca ostatnia winda.

– Muszę tu dziś wieczorem pozostać.

– Pan także?

– Nie będziesz miał nic więcej do roboty jak tylko schować mnie w jakimkolwiek kącie, a za to otrzymasz 50 franków.

Fanfan ociągał się.

– Nie miej obawy, nie jestem złodziejem – nalegał tamten. – Pewien miliarder wynajął na noc dzisiejszą czwarte piętro wieży, a ja należę do jego świty.

– Tak, wiem o tem, wczoraj pan produkował się u niego jako Napoleon.

Aktor osłupiał.

– Jak to?! – wybuchnął. – Pan mnie poznał?

– Ależ tak, byłem przypadkiem w pobliżu...

– Zatem skoro pan jest poinformowany, tem łatwiej spełni pan moją prośbę, aby mnie gdziekolwiek ukryć

Fanfan bynajmniej nie uważał się za poinformowanego, ale, że ujrzał Dambruna wysiadającego z liftu, zaprowadził szybko Saint Noela do teatru na Wieży.

– Niech się pan tu ukryje, w tej małej garderobie. Ale proszę nie zdradzić się żadnym szmerem, dopóki nie przyjdę, a gdyby pana znaleziono, na miłość Boską, proszę nie wydać, że to ja pana ukryłem!

– Dziękuję, młodzieńcze... Bierz obiecane pięćdziesiąt franków.

Fanfan wyszedł, zamykając drzwi na klucz i chowając klucz najspokojniej do kieszeni. Sprowadził potem Dambruna i ukrył go w drugiej garderobie, w kilku słowach informując go o obecności pseudo - Napoleona.

Filip zastanawiał się przez chwilę, poczem nagle poruszył się radośnie.

– Ależ to znakomicie!... Teraz ich mamy! Już się nam nie wymkną! Ten podrzędny aktor jest przecie współnikiem Vampa. Gdy tamten drab wywołuje jakiegoś „ducha”, jawi się zaraz ten drugi oszust i odgrywa przed Scottem umówioną rolę. Zostawimy więc drugiego oszusta w pułapce, a gdy Vamp będzie go oczekiwał i północy, zamiast niego ja się ukazę.

– W przebraniu?

– Ależ nie, tak jak jestem, i wypalę miliarderowi prosto z mostu: „Ów Samuel Vamp wyzyskuje pana, a na domiar złego wystrychuje na dudka”.

– A jeżeli Scott nie uwierzy?

– Wówczas zejdziemy z nim na pierwsze piętro i ukážemy mu „ducha” z krwi i kości, który tym razem, dzięki twemu sprytowi, nie będzie mógł ukazać się na seansie.

– Doskonały plan, panie Darnbrun!

O godzinie siódmej minut 5 specjalny kontroler przeszedł przez wszystkie ubikacje, dzwoniąc hałaśliwie.

– Zamykamy! Proszę się pospieszyć! Zamykamy!

Według obowiązujących przepisów żywa dusza nie powinna była pozostać dłużej na Wieży. Lecz tego wieczoru aż cztery osoby nie dały się wypłoszyć: Filip Dambrun, Fanfan, Lanoix i ów aktorzyzna Saint Noel.

Ale jeszcze ktoś pozostał, choć wbrew swej woli, a mianowicie otyły Monpapa.

Gdy już wręczył panience z cukierni na trzecim piętrze drugi codzienny bukiet, i gdy się obficie uraczył ciastkami, koniecznymi dla wzmocnienia organizmu po tak wielkiej wyprawie, zdecydował się wreszcie na odwrót.

– Ależ upał! – wzdychał.

I aby trochę ulżyć swym krótkim nóżkom, usiadł na chwilkę na stopniu żelaznych schodów.

I oto nieszczęście gotowe! Gdyż zaledwie rozsiadł się wygodnie, ogarnęli go słodka omdłałość. Głowa chyliła się na piersi coraz niżej i niżej, i niebawem Antoni Monpapa przeniósł się w krainę marzeń sennych.

### *Mężczyzna w hełmie nurka.*

Minęła godzina. W niewygodnej pozycji, na schodach między drugą a trzecią platformą, gruby rentjer przebudził się nagle.

Gdy oprzytomniał, spojrzął na zegarek, którego wskazówka stała na godzinie ósmej.

– O, Boże! Jestem zamknięte! Jeżeli mnie nie wypuszczą, nie dostanę już dziś obiadu!

Zaczął schodzić, tak szybko jak mu pozwoliły na to krótkie nóżki. Dobiwszy do pierwszego piętra, przystanął na moment, aby odsapnąć.

– Psst...

Grubas odwrócił się, lecz nie dojrzał nikogo.

Zadrżał ze strachu. Z przerażeniem wspomniał nurka, który się tu powiesił, a następnie zdołał zniknąć w niewytłumaczony sposób.

Chciał uciec. Lecz Fanfan przytrzymał go i sprowadził do teatru.

Tam przedstawił tę żywą beczkę Filipowi Dambrun, który z trudem opanował śmiech na widok grubasa.

– Cóż pan robi na wieży o tej porze?

– Zaspałem. Błagam pana, niech mię pan wypuści.

– To niemożliwe.

– My także nie możemy się stąd wydostać.

Ale Lanoix, mimo iż na równi walczył ze śmiechem, choćby z tego względu, że widział heroiczne wysiłki Fanfana i Filipa Dambrun – zlitował się nad grubasem.

– Osusz łzy, panie Monpapa. Jest pan naszym miłym gościem i dostanie pan coś do zjedzenia. Zachowałem dla pana pół kurczęcia.

I w parę minut później cała czwórka siedziała przy długim stole i spożywała dary Boże ze zdrowym apetytem młodości.

\*\*\*

O wpół do dwunastej Fanfan stojący na straży usłyszał szum windy, która niosła Jeremiasza Scotta i Samuela Vampa. Winda nie przystanęła i sunęła dalej na czwarte piętro. Po kilku minutach Fanfan przywołał spiskowców i wszyscy czterej z biciem serca zaczęli się skradać na górne piętra.

\*\*\*

Kontrolerowi, który podjął się nocnej służby, wręczył naczelnym inżynier klucze od przedpokoju i prywatnego apartamentu inż. Eiffela, do których nikt prócz jego spadkobierców nie ma dostępu.

Teraz kontroler przyświecał elektryczną latarką miliarderek! i jego medjum.

Przedpokój salonu jest pustą ubikacją, w której mieści się tylko tablica rozdzielcza kilku z licznych reflektorów, znajdujących się na wieży.

Scott i Vamp minęli przedpokój i weszli do salonu sławnego inżyniera. Kontroler przekreślił wyłącznik i pokój zalało jaskrawe światło elektryczne. Kontroler prosił, aby panowie rozgościli się wygodnie, poczem, otrzymawszy hojny napiwek, dyskretnie się oddalił.

– Zejdę teraz na chwilę na drugie piętro, aby odpocząć trochę. Panowie życzyliście Bobie zostać tu



sami – dodał, odchodząc. – Gdy panowie będziecie chcieli zejść z powrotem na dół, proszę na mnie zadzwonić.

... Salon inż. Eiffla jest niemal prostokątny. Jeremjasz Scott i jego medjum oglądali go bacznie: zwłaszcza wielkie lustro ponad otomaną, podobnie jak wszystkie fotele, obite żółtym aksamitem.

W samym środku pokoju wznosi się potężny, czworokątny, zwężający się filar, podtrzymujący konstrukcję wieży, a pokostowany na kolor drzewa, aby nie psuć harmonji całości. Gdy już mr. Scott i Samuel Vamp stwierdzili, że salon przypomina wnętrze jakiegoś jachtu, zajęli się przygotowaniem seansu.

Nakryty stół przysunięto do otomany, na której zasiadł miliardier. Aby pokój zachować w półcieniu, przyciemnił Vamp światło reflektora. Następnie przystawił sobie krzesło i zasiadł z drugiej strony stołu, naprzeciw lustra, mając żelazny filar za plecami.

Scott spojrział na zegarek. Było dziesięć minut przed północą.

Vamp, oczekujący swego przebiegłego współnika, któremu nakazał pojawić się punktualnie z dwunastem uderzeniem zegara, wyraził życzenie, aby Scott zaczekał aż do godziny duchów z wywołaniem cienia nieszczęśliwego Valentego Moufflarda.

Anglik zgodził się.

– Sądzi pan, że przyjdzie? – pytał podniecony.

– Jestem o tern przekonany – uspokoiło go medjum. – ... Która godzina?

– Za dwie minuty dwunasta.

– Zbliża się... Niech pan położy płasko ręce na stole, panie Scott, i niech pan myśli o tem, czego pan pragnie. Poczynam zaklinać ducha.

I Samuel Vamp niby to drżąc z udanego lęku, jął mówić zawodzącym głosem:

– O, mistrzu doskonały! Racz wysłuchać słabego głosu najnędniejszego z twych sług!

Przerwał na chwilę. Wyrafinowany oszust chciał się

tak urządzić, aby zakłęcie zeszło się dokładnie z pierwszym uderzeniem północy.

Rzucił z pod oka spojrzenie na Scotta, który z zamkniętymi oczyma i drżącymi wargami zdawał się modlić – ciągnął z jeszcze większym namaszczeniem:

– Błagamy cię, Mistrzu, abyś zesłał nam ducha Walentego Moufflarda, nurka, który w tej Wieży zginął gwałtowną śmiercią.

W tym momencie dał się słyszeć tajemniczy szmer, który Anglikowi zjeżył włosy na głowie, I nawet medjum nieco nastraszył.

Teraz Vamp podniósł się, i zawołał tak głośno, aby go zzewnątrz można było usłyszeć:

– Cieniu Walentego Moufflarda! Ukaż się!

Znów tajemniczy szmer za plecami medium i nagle światło jakby cudem zagasło...

\*\*\*

... Gdy Dambrun i jego towarzysze dotarli na trzecią platformę odbyli krótką naradę. Dambrun był zdania, że należy po prostu wtargnąć do salonu i zdemaskować oszusta wobec Scotta.

– Pan chce z nim sam mówić, panie Dambrun? – Zapytał Fanfan.

– Tak, i mam nadzieję, że szybko otworzę oczy naiwnemu miliarderowi.

– A temu medjum, gdyby się awanturowało, wybije wszystkie zęby – dodał Lanoix zawziętym tonem.

Gdy dotarli na czwarte piętro Fanfan szepnął:

– Chodźcie ze mną. Na tę platformę wychodzi okno salonu i jeżeli ci panowie nie pomyśleli o zasunięciu kotary, zobaczymy co się tam wewnątrz dzieje.

Na palcach podsunęli się aż pod okno, którego oświetlony prostokąt zdradził im, że istotnie zapomniano o kotarze.

Ale zaledwie się nachylili, aby lepiej widzieć, wszyscy czterej wydali równocześnie głuchy okrzyk:

Koło stołu, pomiędzy Samuelem Vampem a Scottem,

stał nieruchomo jakiś nurek. Z poza szkieł hełmu błyszczały oczy i wydawał się spokojnie odpowiadać na zadawane pytania.

Gdy w salonie zagasło światło, Vamp był zachwycony. Pomocnik świetnie odgrywał swoją rolę!

Ale gdy światło znowu rozbłysło i medium ujrzało nurka, stojącego na środku pokoju, mimo że drzwi salonu nie otwarto się, zrobiło mu się z lekka nieprzyjemnie. Sprawa układała się zanadto pomyślnie. To zaniepokoiło Vampa, choć sam dobrze nie wiedział, czemu.

– Jesteś tu, dobry duchu? – zapytał niepewnie.

– Jak widzisz! – odpowiedział nurek normalnym głosem. – Niestety, nie mam już wprawdzie krwi i kości, ale jestem.

– Jak się nazywasz?

– Izydor Euzebjust Walenty Monffiard urodzony w roku 1886 i zmarły przez powieszenie na szczycie Wieży Eiffla, dnia 18 maja bieżącego roku.

Medjum z coraz większym strachem wpatrywało się w niesamowity hełm. Kogóż to on okrywa?

Głos różnił się od głosu Saint Noela, i oszukańcze medjum zapytywało się z przerażeniem, co za zagadka kryje się w skafandrze. Vamp opanował się jednak i pytał dalej;

– Co się z tobą dzieje w zaświatach?

--- Żyłem zawsze w wodzie, jestem zatem znowu marynarzem.

Medjum i miliardier wymienili spojrzenia. Samuel Vamp był blady jak śmierć.

– Tak, ciągnęła tajemnicza postać – marynarzem na pokładzie statku, który ukazuje się i znika jak widmo. Zwiedziłem już przytem piękny kawał świata. Zawsze lubiłem podróżować, a ponieważ za Życia moje środki nie pozwalały mi zajechać dalej niż do Bois de Boulogne, bardzo mi miła terazniejsza odmiana.

– Nigdy nie wychodzisz na ląd?

– Owszem, dziś choćby mam dla was czas aż do

świtu.

– Jak nazywa się twój okręt?

– „Latający Holender”.

– Mógłbyś mi powiedzieć, gdzie się urodziłem?

– Proszę pytać o coś trudniejszego.

– Nie, wolę się w ten sposób przekonać, czy nas nie okłamujesz.

– Chcesz prawdę usłyszeć? – duch zdawał się ociągać.

Teraz Vamp uśmiechnął się szyderczo, znowu uspokojony. Rzecz prosta, nurkiem nie był nikt inny jeno jakiś szczywany osobnik, wysłany w zastępstwie przez Saint Noela. I wargi medjum poczęły już różowić się krwią, gdy przerwał ciszę głos nurka:

– Urodziłeś się w Luksemburgu.

Medjum zmartwiało ze strachu. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Nawet Scott zauważył jego zmieszanie.

– Powiedział mi pan przecież, że pochodzisz z Łotwy – mruknął, marszcząc czoło. Czy chcesz, żebym ci więcej powiedział? pytał duch ironicznie.

– To wystarczy, już ci wierzę – szepnęło medjum, którego ręce drżały.

Z kolei zabrał głos miliardier:

– Kto jest waszym kapitanem?

– Kapitan Piotr Maus z Amsterdamu.

– Zna on zapewne ze słyszenia miliardera i króla kolejowego, Jeremjasza Scotta?

– Możliwe.

– Chciałbym z nim pomówić.

– Czy pan życzy sobie, abym go prosił o spotkanie się z Jeremjaszem Scottem?

– Ile? – rzucił z przyzwyczajenia król kolejowy, sięgając po portfel.

Nurek roześmiał się wzgardliwie:

– Zatrzymaj ze pan swoje pieniądze! Teraz proszę pana tylko o zachowanie spokoju przez minutę, to jest dokładnie przez czas, którego potrzebuję dla porozu-

mienia się z kapitanem.

Ta minuta wydała się Vampowi nieskończonością. Już nie wiedział, czy śni, czy jest na jawie.

Wreszcie nurek, który znieruchomiał jak posąg poruszył z wolna ramię, i wypowiedział jak zadaną lekcję:

– Kapitan Piotr Maus godzi się powitać Jeremjasza Scotta, syna dumnego Albionu, na pokładzie „Latającego Holendra”, ale pod warunkiem, że będzie mu towarzyszyło medjum Samuel Vamp.

– Cudownie! – zawołał uradowany Anglik.

– Spotkanie ma nastąpić za miesiąc, dokładnie co do dnia i godziny, na otwartym morzu w pobliżu brzegów Nowej Funlandji, w zatoce Niepokalanej Marji Panny. Sygnałem „Latającego Holendra” będzie długi zielony płomień. Kapitan Piotr Mans będzie swoich gości oczekiwał na pokładzie,

Więcej nie mam wam już nic do powiedzenia. Opuzczam was teraz, gdyż muszę zaciągnąć wartę. Dowidzenia, Jeremjasza Scott! Do widzenia, Samuelu Vamp!

Nurek cofnął się o krok, Jeremjasz Scott w zamyśleniu zmarszczył czoło, – gdy nagle Samuel Vamp wydał straszliwy okrzyk, jak zabijane zwierzę. Przez czarne szkła w hełmie nurka dostrzegło medjum blade oblicze, okropne oblicze, znane dobrze...

Lecz znowu nastąpiła ciemność.

Prawie obłąkany ze strachu, uczepił się Vamp Scotta:

– Czyś pan oszalał? niech mię pan puści! -- ryczał wuj Edyty, również ogarnięty trwogą.

Światło rozblęsnęło na nowo.

Cień Walentego Moufflarda zniknął.

W tym samym momencie, w którym przestali już widzieć w salonie fałszywego nurka, Dambrun i jego towarzysze puścili się pędem dookoła platformy, ażeby i tego nowego pomocnika oszukańczego medjum schwycić i zdemaskować.

Lecz nie ujrzeli nikogo.

Nagle drgnęli. Usłyszeli czyjeś stąpanie.

Ktoś wchodził po schodach.

Ukryli się i zauważyli nurka, nie wiedzącego, gdzie się ma zwrócić.

Dambrun skoczył ku niemu, za nim jego towarzysze. Ale Dambrun nie wziął pod uwagę chyżości nóg ducha, który usłyszawszy szmer, zawrócił i rzucił się szybko do ucieczki.

Pościg, jak w kinie. Wreszcie, nim nurek dobiegł do drugiej platformy, Dambrun i Lanoix schwycili zbiega i obalili na ziemię.

Fanfan zaświecił mu w twarz elektryczną latarka, i... jednomyślny okrzyk przerażenia...

Szkła hełmu nurka nie były czarne, a wyzierała z poza nich przerażona fizys Saint Noela. Zaprzysiężonego współnika Vampa.

Kilku szybkimi ruchami uwolnił go Dambrun od hełmu.

Proszę mnie puścić! – jęknął Saint Noe! – muszę odegrać swą rolę... Panowie zamknęliście mnie naumyślnie, ale udało mi się drzwi wysadzić... Proszę mi pozwolić iść na górę... Vamp już się pewnie wścieka... Tu chodzi o mój zarobek!...

W tym samym momencie spłynęła z góry Smuga światła.

Była to winda, przenosząca na parter Jerenijasa Scotta i jego medjum.

– A do diabła... To skandal!... Moje pieniądze ulotniły się! – lamentował Saint Noel.

– Ależ w takim razie – pobladł nagle Dambrun – *któż był tym drugim?... Któż był nurkiem po czarnych okularach?!! Umarłych zabić nie można.*

W salonie swej willi, gorączkowo podniecony przechadzał się Jeremjasz Scott. Powziął osobliwy plan, gdyż mimo wszystkich fantastycznych urojeń, pozostawało w nim jeszcze wiele z praktycznego Anglika.

Piotr Maus, kapitan statku upiorów, z całą formalnością umówił z nim spotkanie u brzegów Nowej

Funlandi, – miliardier zamierzał zatem tułającemu się cieniowi kapitana, zimno i rzeczowo zaproponować interes. Za odpowiednie wzajemne świadczenia, postanowił zażądać pewnych wskazówek, któreby go uczyniły najpotężniejszym człowiekiem świata.

Podczas gdy Scott pochłonięty był budowaniem gigantycznych zaników na lodzie, skruszony Samuel Vamp spacerował po parku. Właśnie zbliżył się do granicznej kraty gdy zauważył osobnika w stroju marynarskim.

– Czego pan sobie życzy? – zapytał, już dziwnie zaniepokojony.

– Chciałbym się widzieć z panem Samuelem Vampem.

– Ja nim jestem.

Marynarz dobył z kieszeni pergamin, opatrzony czarną pieczęcią i podał go Vampowi. Poczem odwrócił się i oddalił wolnym, miarowym krokiem.

Vamp spojrział na adres. Był wypisany splątaniem, staroświeckim pismem, atramentem wyblakłym ze starości. Nie tracąc czasu na kontrolę pieczęci medjum otworzyło pożółkły dokument.

Również i ten pergamin ozdobiony był przez rażającym znakiem „Latającego Holendra”.

Chude ręce medjum drżały febrycznie.

Wyczuwał, że tajemnicza moc zna jego wszystkie tajemnice i że musi się z nią teraz liczyć bezwarunkowo. List, opatrzony znakiem krzyża, rozkazywał mu najbliższej nocy, punktualnie o pierwszej godzinie, stawić się na drodze naprzeciw willi. Rozkazujący ton zawiadomienia nie budził żadnych wątpliwości.

Vamp zastanawiał się chwilę, poczem wsunął pergamin do kieszeni.

Czy miał posłuchać tego wezwania? Zapewne, mógł uzbrojonej służbie rozkazać towarzyszyć sobie, ale zdarzają się wypadki, w których raczej należy innych ludzi trzymać od własnych spraw z daleka.

Mocno zdenerwowany wrócił do salonu, gdzie

Anglik kończył właśnie telefonować.

– Ciesz się pan! – zawoła! Scott, dostrzegłszy go – otrzymałem pomyślną wiadomość: w porcie w Brest jest właśnie do sprzedania prawie nowy okręt.

– Wciąż zatem obstaje pan przy swoim projekcie? Mimo mych ostrzeżeń, chce się pan narazić na niebezpieczeństwa podróży morskiej i udać na owo fantastyczne rendez-vous?

– Czy chcę?! A jeśli Piotr Maus przystanie na moją propozycję, uczynię pana tak bogatym, że Rotszyld wyda się przy panu biedaczną!

Miss Edyta wróciła do domu, w towarzystwie Ginetty Belavril. Małą sprzedawczynię oszołomił wprawdzie z początku przepych nowego mieszkania, ale świadomość pozbycia się wszelkich trosk była tak rozkoszna, że pierwsze onieśmienie szybko ustąpiło. Nie mogła się doczekać chwili sposobnej, żeby swemu poecie donieść o całej otaczającej ją wspaniałości.

Podczas obiadu stwierdziła Edyta z całą pewnością, że zaproszenie Filipa Dambruna odwołano. Zapytała się o przyczynę, ale nie otrzymała wyjaśnienia. Gillette, siedząca na prawo od Scotta, naprzeciw medjum, podzielała niechęć przyjaciółki względem tego zagadkowego osobnika.

\*\*\*

O pierwszej w nocy, Samuel Vamp, ukrywszy w rękawie dobrze wyostrzony sztylet, wymknął się boczną furtką z parku.

Musiał udać nagłą niedyspozycję, aby się uwolnić od Scotta, domagającego się tej nocy wywołania prezydenta Lincolna.

Vamp był ogromnie niespokojny i łamał sobie głowę nad pytaniem, kto mógł go wzywać o tak późnej porze i w jakim celu? Zamknawszy po cichu furtkę ogrodową, rozejrzał się uważnie dokoła. Zimny blask księżyca oświecał ogromny mur, wzdłuż którego Vamp ostrożnie jął się skradać. Nagle zatrzymał się i jego



prawa ręka poczęła szukać oparcia o mur, ponieważ nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

W odległości niewielu kroków na jasnym tle muru rysowała się ciemna nieruchoma postać, zwrócona tyłem do medjum.

Można było odróżnić każdy szczegół. Mężczyzna miał na sobie kurtkę mocno wciętą w pasie i rosyjską koszulę, rubachę. Szerokie spodnie wpuszczone były w cholewy, a daszek czapki głęboko nasunięty na czoło.

Samuel Vamp rozpoznał snadź tę sylwetkę, gdyż zadrżał, spojrzawszy na nią!

Przez chwilę chciał wołać o pomoc; ale nie mógł głosu dobyć ze ściśniętego gardła. Zebrawszy wszystkie siły, chwycił za rękojeść sztyletu. Serce biło mu gwałtownie. Raptem poderwał się, skoczył błyskawicznie ku siedzącej postaci i wbił jej sztylet w plecy. Lecz człowiek ów nie upadł, a natomiast Vampa obaliła siła własnego uderzenia. Jego broń trafiła w próżnię.

Tajemniczy człowiek zniknął.

Ale, nagle usłyszał Vamp głośny śmiech za plecami.

Odwrócił się i ujrzał naprzeciwko siebie, tego samego mężczyznę, którego w dziwny, niewytłumaczony sposób chybił jego cios, a mężczyzna ów odezwał się spokojnym, sarkastycznym tonem:

– No, no, wiecie chyba, że umarłych zabić nie można...

\*\*\*

Vamp drżał na całym ciele i stał jak przygwożdżony do ziemi. Wiedział już teraz, kogo ma przed sobą.

– Ale siłą ducha pan się nie odznacza – drwił obcy.

– Gdy widzę, jak łatwo pana przerazić, czynię sobie nawet wymówki, że go tu zawezwałem.

– Czego pan chce odemnie? – wyksztusiło wreszcie medjum.

– Ślepego posłuszeństwa! Zupełnego poddania się mej woli. Będę twórcą, który obmyśla plan, a pan

mojem narzędziem Wiem, te nakłaniał pan Scotta, aby wyrzekł się zamierzonej podróży To był wielki błąd. Rzeczą jest bardzo ważną, aby Scott przybył punktualnie na spotkanie z kapitanem Mausem.

– O ile wiem, Scott zdecydowany jest pojechać – szepnął Vamp.

– Musi wyjechać! Niech pan to sobie zapamięta! Byłoby dla pana niewypowiedzianem nieszczęściem, gdyby inaczej postanowił.

– Będę posłuszny.

– Spodziewam się, ponieważ, pozwól pan sobie powiedzieć, na pokładzie „Latającego Holendra” zawsze potrzebujemy marynarzy... umarłych marynarzy... Jeden gest z mej strony, a zaciągnięcie pana stanie się faktem.

– Będę posłuszny – powtórzył Vamp, spuściwszy głowę.

A gdy ją znowu podniósł, zjawa zniknęła. Chwiejnym krokiem, jakby był pijany, zawrócił Vamp ku bramie parkowej, szepcząc złamanym głosem:

– A przecież Verina zapewniała, że *on* nie żyje...

### Przerwany koncert radjowy.

Rankiem, gdy w kioskach pojawiły się pierwsze poranne dzienniki, mogli zblazowani Paryżanie wyczytać następujące sensacyjne wiadomości, zaopatrzone jaskrawym tytułem:

*„Statek upiorów jest widziany równocześnie w kilku miejscach na kuli ziemskiej”.*

NOWA FUNLANDJA.

*Donoszą tu o pojawieniu się statku o czarnych żaglach, Statek zarzucił kotwicę w Zatoce Umarłych, ale wydaje się być opuszczony. Żaden marynarz nie odważa się zbliżyć do niesamowitego statku.*

CHARLESTON. *Wczoraj, z nadejściem ciemności,*

*spostrzeżono starodawny okręt o czarnych żaglach. Przerażeni marynarze nie dają się niczem przekonać, że nie jest to „Latający Holender”.*

*PEKIN. Rybacy, powracający do portu w Kantonie, opowiadają, że na Chińskim Morzu natknęli się na okręt i czarnymi żaglami, posuwający się ze znaczną szybkością, a oświetlony długim, zielonym płomieniem. Wedle ich zeznań chodzi tu o „statek umarłych”, pojawiający się jakoby zawsze przed wielkimi katastrofami.*

*SAINT NAZAIRE. Załoga pewnego belgijskiego parowca zeznaje, że wczoraj wieczorem zauważyła jakiś statek starodawnej konstrukcji, który mimo zapadającej ciemności płynął! bez żadnych świateł sygnałowych; zdawał się też być zupełnie opuszczony. Dwóch marynarzy ogarniętych obłądnym strachem, rzuciło się do wody.*

Po powyższych depezach następowały komentarze. Większość sprawozdawców zadowolniła się ironicznymi dopiskami lub wręcz kpiła z tych fantastycznych opowieści.

Skoro tylko Scott posłyszał o wielokrotnym pojawieniu się „Latającego Holendra”, zawołał Vampa i polecił mu spakować kufry.

Miljarder postanowił pojechać do Brestu, aby kupić proponowany jacht, potem wrócić jeszcze do Paryża, celem poczynienia ostatnich przygotowań przed samą podróżą.

Bez słowa sprzeciwu udał się Vamp do swego pokoju.

Ten pewny siebie człowiek, który już z tyłu pieców chleb jadał, a dla zdobycia pieniędzy nie rezygnował z najbardziej podstępnych planów, czuł się obecnie całkowicie obezwładniony. Nie zastanawiał się nawet nad tem, jak to było możliwe, że cios, wymierzony w żywego, trafił w próżnię.

Bezustannie dźwięczało mu w uszach jedno zdanie rozmowy: „Będę twórcą, który obmyśla plan, a pan narzędziem”.

Gdy spotka się ze Scottem przed willą, ten zęgnął się

właśnie z Edytą. Później wsiedli w auto, szofer dodał gazu, i pojazd zniknął za zakrętem w tumanie kurzu.

Tegoż wieczora Filip Dambrun, Edyta i Ginetta Belavril byli wspólnie na kolacji w jednej z restauracji nad Sekwaną.

Wychowana po amerykańsku Edyta, przywykła spełniać wszystkie swe zachcianki. Z dużym zadowoleniem skorzystała zatem z zaproszenia się- bie i Ginette'y przez młodego lotnika.

Z ożywieniem omawiała cała trójka pojawienie się statku upiorów, trzymającego cały świat w napięciu.

Dambrun zachowywał swój pogląd dla siebie.

– Czemuś taki zamyślony, Filipie? spytała Edyta.

– Wiesz dobrze, kochana, co mię dręczy. Amerykanka spojrzała nań oczyma pełnemi miłości. Tak, wiedziała, że ten elegancki Francuz, przez nadmierną surowość zasad, (które w nim cenila, nie rozumiejąc ich zresztą) teraz nie poprosi o jej rękę. Zachowanie się Filipa przypisała zatem jego troskom miłosnym.

Po uregulowaniu rachunku, Dambrun zaproponował dziewczętom powrót do domu okrężną drogą, aby odetchnąć trochę świeżym powietrzem.

– Dziwisz się, że się chcemy trochę przejść?

– Tak – rzekła Ginette, ociągając się.

– Czy jest już tak późno?

– Ach, tak! teraz rozumiem! – zawołała Edyta, śmiejąc się. – Panna Ginette wysłuchałaby chętnie koncertu radjowego!

Ginetta zaczerwieniła się aż po uszy, ale nie odważyła zaprzeczyć.

– To moja przyjaciółka – objaśniła Amerykanka, wciąż śmiejąc się – również jest kochana, Chyba nie zaprzeczysz, dziecko? W naszym wieku to rzecz zupełnie naturalna.

W kilku słowach objaśniła Edyta lotnika, że poeta Capistol, speaker stacji radjowej, wygłasza co wieczór wiersze, które tak przypadły do gustu Ginecie.

Młodzieniec zaproponował, aby koncertu wysłuchać w jego własnym mieszkaniu. Pomysł został przyjęty i w pół godziny później towarzystwo rozsiadło się wygodnie w saloniku Willi Dambruna, łącząc się z Wieżą Eiffła.

Zdążyli w sam czas. Pierwszym, którego usłyszano, był Achilles Capistoi. Przy dźwięku jego ciepłego głosu mieniła się Ginetta na twarzy; czuła, że gorący południowiec tylko o niej myśli podczas recytacji.

Raptem głos zamilkł, jak nożem uciął.

– Co się stało?

Dambrun manipulował przy aparacie:

– Jakaś przeszkoda. Zaraz ją usunę.

Lecz nagle dobył się z głośnika szyderczy głos. Filip cofnął się o krok.

Głos zaczął mówić:

– Tutaj Walenty Moufflard, nurek z Wieży Eiffła.

Edyta i Ginetta przytuliły się do siebie przerażone. Filip zbladł.

Głos mówił dalej:

– Pragnę wam tylko powiedzieć, szanowni słuchacze, że Paryżanie postępują bardzo niewłaściwie, nie traktując poważnie sprawy pojawienia się statku upiorów. A jako dowód, nastąpi jutro o północy na Placu Zgody

Głos urwał się.

Śmiech Dambruna był zbyt głośny, aby był szczery.

Minuty mijały...

– Aby tylko Achillesowi nic złego się nie stało! – westchnęła GINETTE.

Nagle dał się znów słyszeć głos Capistola. Ale nie był to w dalszym ciągu jego zwykły głos, lecz słowa padały, jakby wymuszone:

– Tutaj stacja nadawcza Wieży Eiffła. Szanowni słuchacze zechcą wybaczyć. Siła wyższa zmusza nas przerwać dzisiejszy koncert wieczorny. Jutro o wpół do pierwszej: wiadomości bieżące, komunikat gospodarczy o cenach zboża, mąki, paszy dla bydła. Koncert jazzowy. Dobrej nocy, panie i panowie.

## O północy na Placu Zgody.

Następnego dnia radjosłuchacze otrzymali w porannych dziennikach wyjaśnienie wypadku w stad na wieży Eiffla.

Wielki czarny okręt z Placu Zgody jął się bowiem teraz ku kościołowi w powietrzu posuwać.

Poprzedniego wieczoru, piętnaście minut przed dziesiątą, w studio stacji znajdowali się dwaj śpiewacy, dwie śpiewaczki, jeden pianista, jeden skrzypek, oraz Capistoi. Właśnie recytował Tuluziańczyk wiersz swego pióra,

gdy rozchyliła się portjera i osłupiali artyści zauważyli wchodzącego *nurka*. Wszyscy stracili natychmiast przytomność, i przyszli z powrotem do siebie dopiero po 20-tu minutach. Lecz *nurka* jut wówczas nie było.

Dzienniki potraktowały całą aferę jako kiepski żart. Wchodząc musiał chyba ów nurek rozbić flaszeczkę z jakimś silnym narkotykiem, przed którym sam był zabezpieczony pod swym hermetycznie zamkniętym hełmem. Kpiącymi argumentami usiłowały dzienniki odebrać walor zapowiedziom *nurka*.

Lecz bez powodzenia. Od godziny dziewiątej ustał ruch na Placu Zgody i przyległych ulicach. Pola Elizejskie, zalane mrowiem ludzkim, zamknięto dla ruchu kołowego, i nawet konne patrole policyjne nie mogły zejść ze swych posterunków. Rozciekawione masy ogarniało po prostu szaleństwo.

Antoni Monpapa, w towarzystwie Fanfana i Lanoix, naturalnie także chciał wiedzieć, co się wydarzy o północy.

Ale tak go ze wszechstron ściśnięto, że w zupełności odeszła go ciekawość.

– Nędzne szczury lądowe!... Baczość!... Rozbijecie mi lornetę!

Obrócili się. Fanfan i Lanoix poznali natychmiast właściciela statku z pralnią.

– Ach, pan le Froch!... Pan także tutaj?

– Tak, tak. naturalnie! Ale mnie te bajki o „Latającym Holendrze” ani trochę nie wzruszyły. A na dowód tego moje dzieci pamiętajcie, że przy pierwszej sposobności opuszczam swą pralnię, aby podjąć dalekie morskie podróże.

– Jeśli pan będzie potrzebował marynarzy, niech pan nie zapomni o nas! – zażartował Fanfan.

– Doskonale. Dokąd mam do was pisać?

Ale zaledwie Matbnrin le Froch zdołał zanotować adresy obu chłopców, już go oddzieliła od nich naciskająca zewsząd masa ludzi.

Północ **zblizła się**.

Nagle od strony izby Deputowanych, zerwał się potężny ryk z tysięcy gardzieli i straszliwa panika zaczęła ogarniać masy.

Przed Pałacem Burbonów, parlamentem – zamykającym plac – wzniósł się zwolna maszt o czarnych żaglach.

Ponad głowami tłumu widziano go, jak rośnie i rośnie, aż wreszcie stał się widoczny cały kadłub trójmasztowca.

Był to okręt wyklętego Holendra..., okręt widmo, krążący po wszystkich morzach.

Zjawa wciąż się powiększała... Ciemne maszty rysowały się czarno na tle posępnego nieba. Było to okropne... przerażające!...

Tłumy rzuciły się w ucieczce ku kościołowi św. Magdaleny. Tratowano się wzajemnie, ze zdławionych strachem krtani wydzierały się rozdzierające okrzyki.

W mgnieniu oka uświadomił sobie Lanoix że Fanfan, Monpapa i on sam nieuchronnie będą zmiażdżeni, jeśli im się nieda na czas osiągnąć rue Royal.

Dzielny młodzieniec, ujawszy przyjaciół pod pachy walczył rękami i nogami, aż mu się udało wyminąć niebezpieczny narożnik. Tłum unosił ich aż do kościoła św. Magdaleny, którego stopnie pokryło mrowie ludzi. Tu mogli odetchnąć swobodniej.

Tymczasem jednak tłum cisnący się na stopniach kościoła począł krzyczeć:

Po kilku sekundach rue Royal opustoszała zupełnie. Fanfan i Lanoix ujrzeni całkiem wyraźnie zbliżający się statek.

Był zupełnie taki, jak go opisywały telegramy. Lecz jego wysoki kadłub sterczał z morza. I to było najbardziej niezrozumiałe! – o statek rozbijały się wielkie, ciemne fale!

Na żaglu można było wyraźnie odróżnić znak trupiej głowy ponad skrzyżowanemu puszczelami.

Nie mogąc dobyć z siebie głosu, Fanfan i Lanoix trzymali się żelaznego ogrodzenia, podpierając omdlałego Monpapa. Reszta ciekawych schroniła się w kościele.

Teraz trójmasztowiec był już całkiem blisko i Fanfan oraz Lanoix z przerażeniem dojrzeni stojącego u steru nieruchomego marynarza zdającego się mieć zamiast nosa i oczu czarne jamy, i szczerzącego zęby w piekielnym grymasie.

Wtem!. W mgnieniu oka!... Już nie! Nic więcej.. Jeno pusta ulica, niby opustoszałe pobojuwisko. Ranni... porzucone laski i szapki...

Statek upiorów zniknął.

Prasa całego świata obszernie i długo omawiała fantastyczną wizję. Paryż, Ville Lumiere, miasto światła, śniło o duchach!!

Następnego dnia doniesiono z Nowego Jorku, że na morzach amerykańskich i w wielu miejscowościach wybrzeża, pojawił się równocześnie statek upiorów. Ale gdy łodzie policyjne zbliżały się doń, statek zniknął im z oczu.

Obawiając się powtórzenia wydarzeń paryskich, rząd amerykański zarządził zatem wstrzymanie pościgu za owem chorobliwym urojeniem, ożywianem masową sugestją.

Ale...

\*\*\*



Jeremjasz Scott, w towarzystwie Samnela Vampa, pilnie śledził w dziennikach przebieg wydarzeń paryskich i zdecydował się w Brescie na kupno proponowanego mu jachtu. Jacht ów nazywał się „Rekin” i stał od wielu miesięcy na kotwicy w porcie Brest, pod strażą trzech marynarzy, spędzających czas na grze w domino.

Po wpłaceniu, do rąk przeprowadzającego transakcję notariusza, umówionej sumy, udał się Scott na poszukiwanie odpowiedniego kapitana.

W ciągu dwu dni przedefilowali przez jego pokój hotelowy wszyscy obecni w Brescie oficerowie marynarki. Bogactwo miliardera znano powszechnie, zgłoszeniom zatem nie było końca.

Scott informował wszystkich o swym zamiarze podróży do Nowej Funlandji, aby się tam spotkać z osławionym, i dziś cały świat trzymającym w naprężeniu, statkiem upiorów.

Ale zaledwie wymieniał cel podróży, odnośny kapitan potrząsał przecząco głową:

– Za żadne skarby świata.

– Dobrze. Zatem, nic się nie da zrobić? Następny!

Ale każdy następny odpowiadał identycznie.

I w końcu powrócili Scott i Samuel Vamp do Saint Cloud, bez znalezienia jakiegokolwiek kapitana.

Lecz miliardier bynajmniej nie zrezygnował ze swoich planów i następne go dnia zamieścił we wszystkich dziennikach następujące ogłoszenie:

„Właściciel dużego jachtu poszukuje kapitana, obznajomionego dobrze z żegluga po dalekich morzach. Znakomite warunki. Zgłoszenia kierować do Willi Scott, Saint Cloud. Kapitanowie przesądni wykluczeni”.

Po obiedzie, w dniu, w którym ukazało się powyższe ogłoszenie, napisał król kolejowy w swem biurze testament, mianujący siostrzenicę Edytę, uniwersalną spadkobierczynią. Niedługo później służący zaanonsował pewnego gościa.

– Pozwoli pan, że mu się przedstawię: jestem

kapitan Mathurin le Froch. Czytałem pańskie ogłoszenie w porannych dziennikach i zjawiam się natychmiast, aby zaofiarować swe usługi.

– Brawo! Proszę usiąść.

I król kolejowy wtajemniczył kapitana w swoje plany.

– W zasadzie, panie Scott, przyjmuję pańską propozycję.

– Świetnie! A mógłby mi pan przedłożyć jakieś referencje?

Dumnemu kapitanowi pralni krew uderzyła do głowy. Wygłosił pompatycznie:

– Mam za sobą trzydzieści pięć lat doświadczenia, dwadzieścia lat nauki i piętnaście lat służby na pokładzie „Królewskiego Tygrysa”.

Podpisano zatem kontrakt, w którym Mathurin le Froch zobowiązał się w ciągu pięciu dni zwerbować załogę i przygotować okręt do drogi.

Po wymianie podpisów król kolejowy i świeżo kreowany kapitan mocno uścisnęli sobie ręce.

W Paryżu udał się le Froch do najbliższego urzędu pocztowego, skąd wysiał pocztą pneumatyczną kartkę do Fanfana, wyznaczając mu tegoż wieczoru spotkanie w „Cafe de la Marine”. Kapitan postanowił bowiem dotrzymać przyrzeczenia i obu chłopców wziąć w służbę.

Poczem poszedł piechotą do domu.

Przechodząc pod jednym z otwartych okien parterowych, zatrzymał się, słysząc nosowy rozkazujący głos:

– Hej, chłopcy! Ściągnąć linę! Lewa pierwsza!

– O! – mruknął kapitan – ten mi się wydaje odpowiedni.

Zdecydowanie pchnął drzwi mieszkania i wszedł do środka.

Jakaś stara kobieta przędła na kołowrotku, a obok niej siedziała na pręciku wielka rozgadana papuga.

– Wybaczcie mi matko! – odezwał się kapitan i skłonił się dwornie czapką – jestem marynarzem i okrzyki waszej papugi wprowadziły mnie w błąd.

Stara Bretonka opowiedziała le Froch'owi, że jest wdową po palaczu okrętowym, służącym w marynarce handlowej.

– Jak się zowie ta papuga?

– Gdy ją mój mąż kupił w Afryce, nazywała się Lora, jak wszystkie papugi. Ale gdy na okręcie nauczyła się powtarzać wszystkie komendy, przezwali ją marynarze „Kapitanem Jackiem”.

– Sądzi pani, że sprawiłoby jej przyjemność z powrotem ujrzeć morze?

Pewnie, że tak myślę. Bidne ptaszysko kiepsko się czuje, tu, na stałym lądzie. Jeżeli pan zechce, chętnie ją panu odstąpię.

--- Dziękuję pani z całego serca, mateczko.

--- "Kapitana Jacka" strzegł jak oka w głowie! – powiedział Mathurin de Froch głosem namaszczonym.

Umocowawszy ptaka na łańcuszku, posadził go sobie na ramieniu, poczem szybkim krokiem udał się na pokład swej pralni, ani trochę nie troszcząc się o ludzi, którzy mu się ciekawie przyglądali.

O dziewiątej wieczorem spotkał się le Froch z Fanfanem i Lanoix.

– Mathurin le Froch dotrzymuje słowa. Zostałem kapitanem „Rekina” i biorę was z sobą.

– Dokąd wyrusza pan? – spytał ostrożny Lanoix.

– Pewien chory na spleen Anglik chce wyjechać jachtem, prowadzonym przezemnie, aby odszukać okręt, którym teraz wszystkie dzienniki alarmują świat.

– Cud, jak Boga kocham! – zawołał Fanfan – ależ to istny cud!

– Przypuszczam, że już aż do końca będziemy uwikłani w te przekłete historie!

– A jak się nazywa ów mr. Spleen?

– Jeremjasz Scott z Nowego Jorku.

Nasi przyjaciele spojrzeli na siebie, aż wreszcie parsknęli śmiechem.

– Ależ znamy go doskonale!

Kapitan również się zdumiał. Przypadek był istotnie

zadziwiający.

– Hm, a zatem skoro tak dobrze znacie pana Scotta, wiecie, że sprawę należy traktować poważnie.

Zamówił flaszkę wina musującego, aby wypić za powodzenie wyprawy.

Później prosił chłopców o znalezienie kucharza okrętowego. Resztę załogi łatwo da się zebrać w Brescie.

– Stop, kapitanie mam myśl!... Czy przypomina pan sobie tego młodego grubasa, który niedawno temu był z nami na Placu Zgody? Gotuje wyśmienicie!

– Dawać go tutaj!

Fanfan wybiegł zadowolony, aby panu Monpapa, oczekującemu w sąsiedniej kawiarni, zakomunikować nowinę.

Gdy powrócił wraz z Monpapa, grubas nie był jeszcze zdecydowany.

– Gotuję z nadzwyczajną przyjemnością mówił – a awanturnicza podróż w towarzystwie obu tych miłych chłopców, nie byłaby mi naturalnie niemiła, lecz mam niestety jedną wielką wątpliwość.

– Jakąż, u licha?

– Czy rozkoszne zapaszki kuchenne jeszcze mnie grubszym nie uczynią!

– Co pan mówi, będzie wręcz przeciwnie.

Żar pieca wytopi z pana cały tłuszcz zbyt czyny.

– Naprawdę?

– Gwarantuję to panu. Po powrocie wysadzę pana na ląd, cienkiego jak zapałka...

– Zatem zdecydowałem się, panie kapitanie, i z całej duszy błogosławię przypadek, który nas zetknął z sobą.

\*\*\*

Następnego dnia cała Francja dowiedziała się z dzienników, że w ministerstwie marynarki zaszedł wypadek groźnej w następstwach kradzieży. Mianowicie zniknęły plany mobilizacyjne floty wojennej oraz wiele tajnych dokumentów.

Wedle wszelkich danych, kradzież wykonano owej

tajemniczej nocy. Złodzieje wykorzystali panikę, powstałą skutkiem ukazania się statku upiorów, aby móc bezpiecznie pracować – albowiem cała nocna służba ministerstwa wyległa na balkon i pozostawała tam przeszło godzinę.

Zupełnie otwarcie pisały gazety że kradzież może pociągnąć za sobą najcięższe skutki, o ile nie da się ująć jej sprawców jeszcze przed zużytkowaniem przez nich zagranicą drogocennych dokumentów.

Ale wiadomość ta, którą w innym czasie wywołała największą sensację, przeszła – skutkiem wstrząsających wydarzeń ostatniego dnia – niemal niepostrzeżenie.

Posterunki graniczne znacznie wzmocniono, policja podjęła dochodzenia, podczas gdy Paryżanie z wolna powracali do normalnego życia.

Tymczasem zaś kapitan le Froch odjechał z całą paradą do Bretanii, w towarzystwie Fanfana, Lanoix i Antoniego Monpapa, usiłującego nadaremnie pomieścić w kufrach wszystkie swoje naczynia kuchenne.

Na stosie kufrów siedział Kapitan Jack i rozkazującym głosem rzucał swoje komendy:

– Baczość! Podnieść kotwicę! Baczość!...

Pociąg pędził, i wkrótce pozostawił Paryż daleko poza sobą. Lanoix i Fanfan wyszli na korytarz. W oddali można było jeszcze dostrzec Wieżę Eiffla. Wówczas nasz dzielny, Fanfan, nieświadomy jeszcze przyszłości, wyciągnął ramiona w stronę wieży i zawołał:

– Żegnaj, starą, niema obawy, jeszcze się zobaczymy!

### „Rekin”

W zadymionem wnętrzu jednej z kawiarni portowych w Brescie, zestawiał Mathurin le Froch swoją załogę.

Przed obejrzeniem jachtu był on najzupełniej pewien siebie. Ale ujrawszy szarą bezkresną tafłę morza, trochę się zaniepokoił. Czy podoła swemu zadaniu?

Myślami temi podzielił się z obu młodzieńcami, a ci

– z całym szacunkiem, aby jego ambicji nie urazić – doradzili mu zaangażować takiego pierwszego oficera, którego rady w ciągu całej podróży mogłyby się naprawdę przydać.

– Macie chłopcy, rację, bezpośrednie przejście od dowodzenia pralnią do kierowania morskimi statkiem jest zbyt ciężkie, abym całą odpowiedzialność miał brać na siebie.

Załoga udała się jeszcze na ląd, aby śniadać w oberży „Pod Trzema Syrenami”.

Przy jednym ze stołów siedział łysy, ogorzały mężczyzna, który podszedł do kapitana i zapytał go, czy już zwerbował całą załogę.

– Czy pan umiałby prowadzić statek taki, jak „Rekin”?

Mężczyzna wzruszył ramionami:

– Nazywam się Gouriadec, od dwudziestu lat żegluję, i znam dokładnie swój fach.

– Chciałby pan zaciągnąć się do mnie na pierwszego oficera?

– Zgoda! Od dziś wieczora jestem do padskiego rozporządzenia.

Gouriadec był niski i krępy, miał około czterdziestu lat. Twarz jego wyrażała otwartość i dobroduszość.

Mathurin le Froch, któremu przez zawarcie tej umowy spadł kamień z serca, powałęsał się jeszcze po bulwarach i kupił nową precyzyjną busolę.

---

---

Skoro Scott i Samuel Vamp stąpeli na pokładzie, opuścił „Rekin” port w Brescie i wypłynął na pełne morze.

Podróż odbywała się lecz żadnych przygód. Jacht okazał się statkiem doskonałym, który szybko pruł fale. Po siedmju dniach na widnokręgu zamajaczył ląd; statek dopływał do brzegów Nowej Fundlandji i cała załoga wyległa na pokład. Jeremjasz Scott i Samuel Vamp, przejęci widokiem, spoglądali w milczeniu na

długi, szary pas ziemi, który prawie zlewał się z niebem.

Kapitan odebrał nowe rozkazy.

Wszakże to na dzień następny, o północy, umówił król kolejowy spotkanie, u wejścia do Zatoki imienia Marji Panny.

Na komendę Gouriadec'a „Rekin” popłynął dalej.

W nocy stanęły maszyny. Scott, który nie mógł zasnąć, usłyszał jak zarzucono kotwicę i „Rekin” się zatrzymał.

Okręt znajdował się już w zatoce imienia Marji Panny, zaledwie pięćset metrów od brzegu.

O dziewiątej wieczorem dnia następnego wydał kapitan rozkaz, aby statek krążył ze średnią szybkością wzdłuż brzegów.

Stopniowo rodził się wśród załogi pewien niepokój. Nawet najbardziej pewni siebie poczęli się denerwować i lękać.

Wyczuwano, że jakieś groźne wydarzenia wiszą w powietrzu.

Fanfan odszukał przyjaciela, który uporał się już z swą robotą, i obaj zamiast zejść do kajuty i położyć się spać, usiedli na ławce na tylnym pokładzie.

Okolo w pół do dwunastej wyszli na pokład Scott i jego medjum. Fanfan i Lanoiz łatwo zauważyli ich podniecenie.

Trzy na dwunastą.

Dotychczas nie ukazał się żaden okręt.

Za dziesięć minut dwunasta. Wciąż nic nowego.

Niektórzy marynarze zaczęli dowcipkować.

— Północ, a jego tu niemal — wolał jakiś żartowniś — a może oni tam na „Holendrze” wszyscy pomarli?!

Rechotem śmiechu przyjęto ten dowcip.

Lecz nagle krzyknął marynarz z bocianiego gniazda:

— Baczość! Z lewej strony okręt! Okręt bez świateł.

### Odwiedziny na statku upiorów.

Zaledwie załoga rzuciła się do bakbortu, ażeby ujrzeć

okręt, który odważył się płynąć przez mgłę bez przepisowego oświetlenia – gdy wysoki zielony płomień strzelił wysoko ponad morze i oblał posępnym blaskiem fantastyczny trójmasztowiec.

Był nim „Latający Holender”, ze swemi czarnemi żaglami i nędznem olinowaniem, okręt upiorów, postrach ludzi morza. I już oto pewni siebie marynarze bretońscy, którzy Jeszcze tak niedawno naigrawali się i śmiali

do rozpuku z dziecinnych bajd, upadli na kolana i zaczęli się modlić.

Gouriadec i Mathurin le Froch wytrzeszczonemi oczyma wpatrywali się w nadpływający okręt Fanfan i Lanoix przycisnęli się do siebie i bojaźliwie rozważali, co z tego wszystkiego wyniknie.

Tylko Scott i Vamp pozostali spokojni. Raptem, od ciemnego kadłuba statku upiorów odłączyła się łódź. Fanfan skoczył ku pierwszemu oficerowi:

– Tam nadjeżdża łódź, i jeśli pan niema nic przeciwko temu, chcielibyśmy panu Scottowi towarzyszyć, mój przyjaciel i ja!

– Zgoda.

Scott pierwszy zszedł po drabince na tajemniczą łódź. Za nim Vamp, potem Fanfan i na końcu Lanoix.

Gdy obaj nasi przyjaciele stanęli w łodzi, w której miliardier i medjum zajęli już miejsca, zwrócili przede wszystkim uwagę na to, że sześciu prowadzonych łódź wioślarzy, miało twarze zakryte ciemnymi kapturami z otworami na oczy. Odważnie przysunął się Fanfan ku dwom najbliższym wioślarzom. Wyraźnie słyszał ich ciężki oddech, a przy pierwszym podmuchu wiatru spostrzegł, że kaptury przylegają im do twarzy całkiem blisko. Obaj wioślarze nie mieli zatem nosów...

Chwyając się ze wzruszenia krawędzi łodzi, wspomniał Fanfan ze zgrozą owych nurków, których widział Walenty Moufflard, zanim zawisł na Wieży Eiffła.

Łódź dobiła do statku upiorów i sześciu wioślarzy



podniosło się.

Z góry spuszczone drabinę.

– Czekajcie na nas w łodzi! – krzyknął Vamp do chłopów.

– Czy to długo potrwa? – zapytał Lanoix, który czuł się mocno nieswojo.

Vamp machnął ręką i podążył za miliarderm, który z trudem wspinał się po drabinie.

... A gdy obaj stanęli już na pokładzie „Latającego Holendra”, ogarnął ich wstrętny odór zgnilizny. Pokład był pusty, a z masztów zwieszało się zniszczone olinowanie.

Z pośród wioślarzy, pięciu zniknęło, a szósty skinął na króla kolejowego i medjum, aby się udali za nim.

Ale najstraszliwszą była na tym statku Umarłych cisza. Nie było słyhać żadnego szmeru, prócz fal uderzających o okręt.

Wąskimi schodami zeszli Scott i Vamp pod pokład i stanęli w kajucie, oświetlonej stojącą na podłodze zieloną latarnią.

Wtem otwarły się drzwi sąsiedniej kajuty i ukazał się w nich mężczyzna, który rzekł poważnie:

– Jesteście zatem, panowie. Jul was oczekiwałem.

### Kapitan Piotr Maus.

– Pozwólcie panowie, że się wam przedstawię. Jestem kapitan Piotr Maus.

Mężczyzna ów liczył na oko lat czterdzieści. Był wysoki i szczupły, ale wspaniale zbudowany. Jego gładko wygoloną, bladą i smutną twarz rozjaśniało dwoje pięknych niebieskich oczu. Ubrany był w szerokie, czerwone spodnie, ściśnięte w pasie szerokim, skórzanym paskiem. spiętym żelazną klamrą. Koszulę z cienkiego płótna, szeroko otwartą na piersi, ozdabiał mu okrągły kołnierz z poźółkłej koronki. Gdy go ujrzał Samuel Vamp, zaczęły mu nerwowo drżeć ręce.

Scott przedstawił się i wymienił także nazwisko

medjum. Kapitan przyglądał się kilka sekund Vampowi z pod przymkniętych powiek.

– Raczcie panowie usiąść. Mocno żałuję, że nie mogę dostarczyć panom wygodniejszych foteli – wskazywał dwie masywne skrzynie z zardzewiałego żelaza. – Moje umeblowanie jest nieco skromne a także niezbyt nowe – dorzucił ze słabym uśmiechem, ukazującym jego białe zęby.

Poczem zasiadł przy biurku, również Żelaznem na którym leżały porozrzucone stare mapy, znaczone liljamiburbońskimi. Obok świecy w lichtarzu, skąpo oświetlającej kajutę, stał staroświecki globus.

Zapanowało długie milczenie.

Scott spoglądał na kapitana, podczas gdy Samuel Vamp wbił wzrok w podłogę i bawił się łańcuszkiem od zegarka.

Wreszcie odezwał się kapitan:

– Mój nowy marynarz, dzielny Walenty Moufflard, oznajmił mi pańską wizytę. On był również tym, który pana do mnie przywiózł.

Po raz pierwszy wstrząsnął zimny dreszcz królem kolejowym.

– Dziękuję panu.

– Za co?

– Ze mnie pan zechciał przyjąć.

– To ja panom dziękuję, żeście mi wyrządzili ten zaszczyt i przybyli na mój statek. Nie ukrywam się, wprost przeciwnie! Zupełnie jak żywy pojawiając się na lądzie, co prawda tylko co siedem lat. O tem pan już zresztą pewnie słyszał.

– Pan szuka kobiety na lądzie?

– Młodej dziewczyny – sprostował kapitan, którego spojrzenie nagle spochmurniało. Tak jest, dozwolono mi szukać wśród żyjących istoty, której miłość będzie tak czysta i wierna, że potrafi zbawić duszę potępioną. Ale na próżno, niestety, zarzucałem kotwicę we wszystkich portach świata. Jeszcze mi się nie poszczęściło znaleźć takiej istoty, i moja piekielna

włóczęga nie może się zakończyć.

Chcąc widocznie okazać swą dobrą wolę, medjum zdecydowało się wtrącić:

– Zdaje mi się, pan Scott chciał panu zaproponować pewien interes. Nie wie pan może, że pan Scott rozporządza olbrzymim majątkiem, który pozwala mu na wiele. Jestem przekonany, że jeżeli pan weźmie to pod rozwagę, będziecie sobie panowie mogli wyświadczyć wzajem wielkie usługi.

– Owszem, przystąpmy do rzeczy. Pan mówi, że mr. Scott oczekuje ode mnie pewnej usługi. Czy mogę się dowiedzieć, na czym ma ona polegać?

Medjum zwróciło się do miliardera i zachęciło go gestem do wyjaśnień.

– Pan jest duchem. Mógłby pan zatem ujrzeć sprawy, niedostępne oczom żywych?

– Widzę wszystko. Nic nie uchodzi memu spojrzeniu.

– Doskonale. A zna pan zatokę Vigo?

– Niema na morzach kuli ziemskiej jednego zakątka, którego bym nie przemierzył tysiąckrotnie.

– Czy pan wie, że na dnie owej zatoki spoczywają galjony pełne złota?

Piotr Maus zdawał się namyślać:

– Chwileczkę... Muszę się skupić... Vigo.. Tak, słusznie! Brałem tam udział w wielkiej bitwie w drugiej połowie zeszłego stulecia. Już wówczas włóczyłem się bez celu, jak dziś, mimo wiatru i burz... Vigo...? Rzeczywiście!... Flota angielsko holenderska napadła na hiszpańskie galjony.

– Zgadza się, zgadza! – zapewniał ucieszony Scott.

– Pojawienie się mego statku wzbudziła taki przestрах wśród hiszpańskich marynarzy, że niemal zapomnieli o obronie... Tak... tak... Galjony z całym ładunkiem złota, leżą od 1770 roku na dnie zatoki Vigo.

– Zna pan dokładnie miejsce? – zapytał miliarderski drżącym.

Kapitan przyjrzał mu się zdumiony:

– POCO? – spytał, śmiejąc się.

– Złoto galjonów zaginęło...

– A pan chciałby je odnaleźć?

– Słusznie. Odgaduje pań moje myśli.

– Złoto, jednakowoż, już mnie nie interesuje. Nie mógłbym się więc zadowolnić ewentualnymi procentami zysków, płynących z tego przedsięwzięcia – zauważył Maus, w nagłym przystępie humoru.

– Może pan zażądać ode mnie, czego pan zechce.

– Niczego nie pragnę więcej, niż spokoju. Przeszło trzysta lat krążę po morzach bez celu, a gdy wychodzę na ląd, męka moja jeszcze się zwiększa. Ponieważ nikt nie wie, skąd przychodzę, żadna kobieta nie chce się związać z nieznanym poszukiwaczem przygód. Wydaje się, jakby zgadywały... jakby wyczuwały śmierć... Zdobądź pan dla mnie spokój, mr. Scott, a uczynię cię tak bogatym, że dotychczasowy majątek wyda się panu wprost śmieszny, a wszyscy władcy świata będą przy panu żebrakami. Znajdź mi pan młodą dziewczynę na wierną żonę, młodą dziewczynę, za którą mógłby mi pan zaręczyć jak za siebie samego

Samuel Vamp zadrżał. Rozjaśniło mu się w głowie. Zaczął już pojmować, dokąd zmierzał kapitan.

Powoli podniósł Scott głowę;

– A jeżeli dam panu taką dziewczynę, czy wydobędzie pan dla mnie złoto galjonów?

– To, i dużo więcej! – zawołał Piotr Maus, podnosząc się. – Uczynię pana największym bogaczem świata.

– A więc – powiedział mr. Scott – niech pan usiądzie. Omówimy bliżej całą sprawę.

– Jestem do pańskiej dyspozycji.

Scott dobył grubego cygara, zapalił, i przysunął się bliżej do biurka kapitana.

\*\*\*\*\*

Z każdą chwilą, Fan fan i Lanoix niepokoiili się w swojej łodzi coraz bardziej.

– Powiedz-no, Lanoix, co by się stało, gdybyśmy zakradli się na okręt i starali się go obejrzeć dokładnie?

– Dobry pomysł. To czekanie jest nieznośne.

Ostrożnie wspięli się obaj po drabince sznurowej na pokład statku upiorów.

Ciemność nieprzenikniona. Ale przezorny jak zwykle Lanoix miał w kieszeni latarkę kieszonkową.

To, co zauważyli na pokładzie, nie budziło nadmiernych obaw. Ten okręt starodawny, nadszarpięty zębem czasu, był prawdziwym obrazem nędzy i rozpaczy. Chłopcy zaczęli się skradać wzdłuż przedniego pokładu.

Gdy się natknęli na otwór, z którego prowadziły w głąb schody użyte przez Scotta i Vampa, zeszli tam również najciszej jak tylko mogli.

Wtem zauważyli światło zielonej latarni i korytarzem posunęli się dalej ku kajutom.

Podchodząc pod drzwi kajuty kapitańskiej usłyszeli głosy.

– Lepiej się tu nie zatrzymujmy – szepnął Fanfan.

– Mógłby nas tu kto zaskoczyć. Zejdźmy jeszcze niżej.

I już zniknął w drzwiach zapadowych i zeszedł na dół po żelaznej drabince. Lanoix poszedł za nim, choć ociągając się.

Gdy już poczuli pewny grant pod nogami, Fanfan wzdrygnął się; a Lanoix zaklął siarczyście.

Olbrzymie szczury przebiegły im pod nogami. Zwierzęta uciekły spłoszone ku drzwiom osadzonym w zupełnie spróchniałej i spaczzonej futrynie. Nieufnie zbliżyli się obaj przyjaciele do tych drzwi. Wiodły do najniższej części okrętu. Fanfan wydał okrzyk zdziwienia. Jego towarzysz zdusił w sobie krzyk trwogi.

Długie, czarne trumny stały obok Biebie w dwu rzędach. Na widok ich charakterystycznego kształtu, zjeżyły się chłopcom włosy na głowie.

Już mieli opuścić niesamowite miejsce, gdy przera-

żeni zgrzytliwym szmerem stanęli jak wryci.

Lanoix zwrócił światło swej lampki na straszliwy ładunek.

I wówczas z przerażeniem ujrzał, jak wieko jednej ze straszliwych trumien podniosło się powoli.

Jednym skokiem znaleźli się obaj przy żelaznej drabince i wspięli się na górny pokład, jakby ich djabeł gonił. Dopiero gdy znaleźli się, w łodzi, ode- tchnęli.

– Widziałeś Fanfan?

– Tak! – szepnął tamten zbielełymi ustami.

W odległości zaledwie dwustu metrów kołysał się spokojnie na falach jasno oświetlony „Rekin”.

Drabinka sznurowa poruszyła się.

– Baczność! Ktoś idzie!

Scott zeszedł pierwszy następnie Vamp i sześciu wioślarzy.

Wiosła uderzały rytmicznie o wodę i w niewiele minut później, przybiła łódź do jachtu.

Gouriadec i kapitan zaciągnęli naszych przyjaciół do kajuty. Fanfan i Lanoix opisali ze wszelkimi szczegółami swoją wizytę na statku – widmie.

Gouriadec i kapitan spoglądali na siebie ze zdumieniem.

– To niesłychane! No, ale co się stało z samym statkiem?

– Już go niema: zniknął w oczach.

Nagle usłyszeli tuż obok głuchy jęk. Jakiś marynarz, klęczał i trzymając się za głowę, zawodził:

– To ja... ja widziałem... Zniknął w falach...

Dziko spoglądając, zerwał się z klęczek.

– Posłuchajcie!... Co, nie słyszycie?... Wołają, mnie, tam, z dołu... Potrzebują nowego wartownika. Nie wstrzymujcie mnie! Już tam na mnie czekają!

Poczem, jakby posłuszny tajemniczemu wezwaniu, wychylił się za burłę i rzucił w morze.

– Idę już kapitanie!... Oto jestem!

I z temi słowami nieszczęsny wartownik zniknął w odmęcie!

Pierwszy oficer wysłał natychmiast łódź ratunkową, aby odszukała biedaka. Ale na próżno. I gdy „Rekin” zwolna udał się w drogę powrotną zabrzmiał głos, który przerwał bojaźliwe milczenie załogi:

– Czyż wam nie mówiłem, chłopcy? Ten okręt zwiastuje zawsze nieszczęście.

### Książę Vixit.

Najpoważniejsze osobistości angielskiej i amerykańskiej kolonji w Paryżu, otrzymały, pewnego poranka następujące zaproszenie: „Jeremjasz Scott z Nowego Jorku ma zaszczyt prosić na obiad, który odbędzie się n niego w Saint-Cloud, na cześć księcia Vixit, przybywającego go do Francji 26-go lipca, o godzinie ósmej”.

Któż mógłby być tym księciem o dziwnym nazwisku, na którego cześć mr. Scott wydawał uroczysty obiad? W kolonji cudzoziemskiej nikt go nie znał.

Nawet w salonach poselstw była mowa o nim i panowało ogólne przekonanie, że chodzi tu o jednego z książąt krwi, podróżującego incognito.

Fanfan i Lanoix, obaj zostali zaangażowani przez Scotta, jeden do garderoby, drugi dla czuwania nad pojazdami. Monpapa przyrzekł swój udział w przyrządzaniu deseru.

Nareszcie nadszedł wielki dzień!

Już o siódmej godzinie, był park obrazem najwyższej elegancji. Najwspanialsze sznury pereł obu kontynentów zdobiły szyje pań.

Mr. Scott promieniejąc, czynił honory domu, z pomocą Samuela Vampa, ubranego w nowiuteński frak.

Kapitan „Rekina”, w galowym uniformie rozmawiał z Dambrunem, którego smukła postawa i wytworne maniery, były przedmiotem podziwu wśród księżniczek dolarów. Miss Edyta, w toalecie ze srebrnej lamy wyglądała czarująco, podobnie Ginetta Belavril w sukni koloru vieuxrose. GINETTE podziwiała z oddali

poetę Capistola, w nienagannym smokingu. Na życzenie Edyty obiecał Capistol w ciągu wieczoru, kilka wierszy. Wszyscy rozmawiali tylko o księciu Vixit.

Na pytania znajomych odpowiadał Scott wymijająco, i tajemniczość całego przyjęcia podnieciła ciekawość do najwyższych granic. Minęła godzina ósma.

Aż w tem dobiegły z ulicy dźwięki trąbki automobilowej: pierwsze takty „Marsza żałobnego” Chopena. Ci z gości, którzy poprzez panujący hałas usłyszeli ów niezwykle sygnał, doznali szczególnego wrażenia. Tymczasem wielkie czarne auto wjechało powoli i zatrzymało się przed schodami, na których oczekiwali już Jeremjasz i Samuel Vamp. Wśród gości zapanowała zupełna cisza. Niczem prawie nie wyróżniało się to auto innych limuzyn. Tylko firanki były zadziwiające: z czarnego aksamitu, ozdobionego srebrnym galonem. Szofer zwrócił na siebie natychmiast uwagę obecnych. Był zadziwiająco chudy, a jego czarna liberja podkreślała trupią bladość. Samuel Vamp podbiegł i otworzył drzwiczki. Z auta wysiadł jakiś mężczyzna. Wysoki i piękny, wyglądał imponująco w czarnej, wieczorowej zarzutce, podbitej jedwabiem koloru kości słoniowej.

Scott gorąco uścisnął mu dłoń, zwrócił się ku gościom zebrany w parku i zawołał donośnym głosem!

– Panie i panowie, przedstawiam wam mego przyjaciela księcia Vixit.

Księżę skłonił się, poczem udał się do willi w towarzystwie miliardera.

Drzwi jadalni otwarły się.

Księżę zajął miejsce po prawej ręce miss Edyty, co zaniepokoiło nieco Dambruna, siedzącego na szarym końcu.

Księżę zabrał wkrótce głos. W niezmiernie sympatyczny sposób dał wyraz swemu wzruszeniu i zmieszaniu z powodu przyjęcia, jakie mu zgotował Scott; poczem wyraził zadowolenie, że znajduje się w tak świetnym, międzynarodowym towarzystwie. Głos



księcia brzmiał poważnie i zniewalająco. Zebrane panie ożywiły się.

- Przedewszystkiem muszę przed państwem usprawiedliwić, z powodu mej zupełnej nieznajomości waszych zwyczajów. Przybywam z daleka. Z bardzo daleka... – powtórzył rzuciwszy spojrzenie na Vampa, który nerwowo zmiął w rękach serwetkę – to mi daje prawo do waszej pobłażliwości.

Żywe potakiwania ze wszystkich stron.

Edyta, pierwsza zapytała z miłym uśmiechem:

– Skądże pan zatem przybywa, książę?

Wszyscy umilkli, każdy w napięciu oczekiwał odpowiedzi.

– Jestem z kraju, łaskawa pani, którego pani z pewnością nie zna, ale pewnego dnia niewątpliwie pozna. Spodziewam się i życzę pani, aby nastąpiło to możliwie późno, gdyż jest to kraina zupełnego spokoju, w której rozrywki, tak kochane przez młodość, są absolutnie nieznane.

– Ale gdzież leży ów kraj? W Tybecie? W Grenlandji?

Scott przyszedł księciu z pomocą:

– Przyjaciel mój złożył ślub, nie wyjawiać tego.

Krótkie, zakłopotane milczenie, poczem rozmowa znów się ożywiła, do czego przyczyniły się także mocne wina. Rozmowa stała się wkrótce ogólną.

Gdy podano słodczy, zapanowała nagle ciemność. Tu i ówdzie krzyknął ktoś bojaźliwie. Przez szeroko otwarte drzwi weszło czterech służących, wnosząc na ogromnej tacy, przybranej wodorostami, mistrzowskie dzieło Antoniego Monpapa, wspaniałą budowlę, z której środka buchał zielony płomień ponczu.

Ogólny okrzyk zachwyty. Dzieło pana Monpapa, odtwarzało statek upiorów. Olinowanie zrobione było z wiotkich laseczek cukru a czekoladowy kadłub zanurzał się w falach bitej śmietany.

Wszyscy więc zaczęli rozmawiać o „Latającym Holendrze”.

Nikt wśród zebranych nie wierzył baśni, która na moment poruszyła cały Paryż. Ale księżę poprosił gestem o spokój i rzekł głębokim pięknym głosem te same słowa, które koło mostu Jena wypowiedział profesor do gapiów ulicznych:

– Mylicie się, moi panowie, „Latający Holender” nie jest baśnią.

Podczas gdy Achilles Capistol odczytywał swe wiersze w prawie pustej palarni, księcia otoczyła większość towarzystwa w jednym z zakątków ogrodu.

Jakaś bardzo piękna, młoda kobieta, spytała, spoglądając na księcia dziecięcimi oczyma:

– Więc pan rzeczywiście wierzy, że umarli mogą powracać?

– Mam wszelkie prawo w to wierzyć, łaskawa pani – odrzekł poważnie księżę.

– Ależ to niezwykle interesujące! Niech nam opowie coś niesamowitego! Szaleję za tajemniczymi historjami.

Księżę zapatrzył się w przestrzeń, później zdając się wyswobadzać ze swoich wspomnień, rzekł zimno:

– Ja sam umarłem, moje panie.

Nie można było odróżnić, czy słuchające damy roześmiały się czy krzyknęły. Z oddali dobiegły dźwięki przytłumionej muzyki.

– Ach, niech nam pan opowie, prosimy –

– Byłem martwy – powtórzył księżę – czy nie zwróciłyście panie uwagi na moje dziwne nazwisko? Vixit... Żył... lecz jest martwy!...

– Musi nam pan udzielić dalszych szczegółów księżę, jestem przekonana, że pańska śmierć była zupełnie odmienna od śmierci wszystkich innych ludzi.

– Ma pani rację, śmiercią naturalną w każdym razie nie umarłem, a pan Samuel Vamp, który właśnie chce nas niepostrzeżenie opuścić, mógłby powiedzieć nam o tem to i owo. Niechże pan zostanie z nami, kochany panie Vamp, jestem przekonany, że dopomoże pan mej pamięci, gdybym zapomniał jakiegoś szczegółu.

Medjum wybełkotało parę niezrozumiałych słów i

upadło na krzesło, ponieważ nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

– Moje panie, zostałem przed sześciu laty zamordowany w Tobolsku.

Mężczyźni zaśmiali się sceptycznie, ale kobiety zaprzestały żartów.

– Znajdowałem się tam w mocy terrorystów, których przywódca był osławiony z powodu swego dzikiego mistycyzmu i okrucieństwa. Jakżeż się nazywał ten człowiek? Pan Vampwie to zapewne, ja zapomniałem jego nazwiska.

Vamp bezsilnie wzruszył ramionami widać było, że siedzi jak na rozżarzonych węglach.

– W więzieniach opowiadano sobie o nim najdziwniejsze historie. Wynajdywał najbardziej wyrafinowane tortury, które potem jego kat, chińczyk wprowadzał w czyn, i zwróćcie uwagę, moje panie, ten człowiek, na dźwięk imienia którego jeszcze dziś drżą wrogowie rewolucji, – miał godziny, w których był słaby jak nerwowa kobieta, a zwierzętom, które nad wszystko kochał, nie pozwolił wyrządzić najmniejszej krzywdy. Współdziałał on w zamordowaniu rodziny carskiej bez drgnienia litości, ale nad zwłokami swego ulubionego psa, którego otruił jakiś muzyk, zapłakał rzewnymi łzami.

Któregoś dnia zostałem wezwany do kancelarii tego straszliwego człowieka, a ponieważ go jeszcze nie było, zająłem lekkomyślnie jego miejsce. Nagle wpuszczono nowego więźnia. Był to drobny, blady i chudy człowieczek który ukrywał w rękawie ość rybią, ostrą jak sztylet. Biorąc mnie za tamtego, człowiek ów napadł na mnie i wbił mi sztylet w piersi.

Wszyscy wsłuchiwali się z napięciem w mówiącego.

– Umarłem, tego jestem pewien, ale przez niezrozumiały przypadek, dusza moja powróciła w ciało. Otworzyłem oczy i znowu znalazłem się na świecie.

Oszołomieni opowiadaniem, wpatrywali się wszyscy

w człowieka, który zdołał powrócić z zaświatów. Ten zaś zwrócił się ku pewnemu lekarzowi, uśmiechającemu się sceptycznie:

– Chciałby pan zobaczyć bliznę, doktorze? Jest tuż nad sercem, a ponieważ ostrze wbiło się siedem centymetrów...

Mr. Scott, który wytrzeszczonemi oczyma wpatrywał się w mówiącego, nie rozumiał z opowiadania, ani jednego słowa.

Pod przybranem nazwiskiem Vixita *przyjmował on u siebie kapitana Piotra Mausę* i nie mógł w żaden sposób pojąć, jakim sposobem Holender tak dobrze wyznawał się w okropnych wypadkach rosyjskiej rewolucji.

Przypuszczał on, że albo kapitan chce tym sposobem zataić, kim jest, albo też, że istotnie przeżył taką przygodę podczas któregoś ze swych krótkich pobytów na ładzie.

Kierowany poczuciem taktu, Filip Dambrun nie chciał się pokazywać w towarzystwie siostrzenicy Scotta.

Teraz błąkał się samotnie po parku, podczas gdy ostatni goście wsiadali do swych automobili, aby wrócić do Paryża. Ale przedewszystkiem spodziewał się młody człowiek, że Edyta pierwszą wolną chwilę poświęci, by go odszukać i zamienić z nim kilka słów. Orkiestra umilkła. Skrzyp kroków na żwirze zastanowił młodego lotnika. Jakiś człowiek pojawił się na miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Dambrun. Wysoki mężczyzna o elastycznych ruchach, którego elegancka sylwetka odcinała się czarno na tle jaskrawej bieli oświetlenia ogrodu. Był to książę Vixit.

Dambrun nie poruszył się.

Zmęczony przyjęciem wydanem na jego cześć, książę zapragnął odetchnąć świeżym powietrzem, zdała od gwaru. Nie mogło być nic bardziej naturalnego.

A przecież dało to młodemu człowiekowi do myślenia.

Książę poszedł dalej w głąb parku i zniknął

Dambrunowi z oczu poza większą grupą drzew.

W tym samym momencie wybiegła z willi Edyta Scott.

Dambrun pospieszył ku niej.

Zwróciło jego uwagę, że młoda panna zdążyła się już przebrać.

Ale gdy zbliżył się do niej na kilka kroków, instynktownie cofnął się.

Młoda Amerykanka zachowywała się tak, jakby go nie zauważyła. Szybko i bezszelestnie jak cień, przemknęła obok niego i zniknęła za tą samą grupą drzew co księżę.

Dambrun zacisnął z taką siłą ręce, że paznokcie wbiły mu się w ciało. W głębi, poza drzewami ujrzał przechadzających się, swego rywala i kobietę, którą kochał ponad wszystko.

Miałby się wmieszać, wywołać skandal, wyzwąć księcia?

Ale czy ma prawo kompromitować kobietę, której nie może poślubić?

Nie, po stokroć nie!

Nagle stanął osłupiały, gdyż Edyta wyszła sama z gęstwiny i zmierzała ku niemu.

Przeszła mimo niego, nie obdarzywszy go ani jednym spojrzeniem.

Z rozpaczą zawołał ją po imieniu. Szła dalej, jakby go nie słysząc.

— Edyto! — powtórzył — Edyto!

Ale dziewczyna już zniknęła.

\*\*\*\*\*

Gdy księżę powrócił do willi, zastał Scottai medjum w chińskim salonie, dopalających ostatnie cygara.

Vamp zwrócił się do niego pierwszy, zresztą nie patrząc mu w oczy.

— Mr. Scott ma nadzieję, że jest pan zadowolony z przyjęcia, jakie zgotowali mu jego przyjaciele.

– Oczywiście zaśmiał się książę swym zwykłym smutnym uśmiechem.

Mr. Scott polecił mi również spytać, czy zauważył pan, panną Ginettą Belavril.

– Książę drgnął i wydawał się być zmieszany:

– Ginettę Belavril? Nie rozumiem.

– To ta czarująca Paryżanka w różowej sukni, która kilkakrotnie podczas obiadu zwróciła się do pana.

Książę przygryzł wargi, później rzekł z naciskiem:

--- Zauważyłem tylko jedną młodą kobietę, to jest miss Edytę Scott.

Teraz z kolei zmieszał się miliarder.

– Jest już zresztą za późno moi panowie, aby omawiać interesy – dodał książę – nie zapominajcie, że dziś wieczorem grałem tylko pewną rolę. Niestety, jestem tylko kapitanem Piotrem Mausem i pieśń żałobna mojej załogi jut mnie wzywa na pokład. Słuchajcie... Ach prawda, nie możecie tego usłyszeć... Ale ja tu powrócę, bądźcie spokojni. Dowidzenia... Zazdroszczę wam, że możecie się teraz spać położyć. Ja nigdy nie śpiam... Dowidzenia moi panowie, dowidzenia!...

W hallu, podał Fanfan rzekomemu księciu jego zarzutkę i korzystając ze sposobności, przyjrzał mu się dokładnie.

Odprowadzany przez Scotta i Vampa, powoli schodził książę marmurowymi schodami.

– Do jutra zatem! – skinął ręką i zniknął w ciemnościach.

Ale już za chwilę, dostrzegli go Scott i jego medjum w jasnym świetle księżycy; nie był to już jednak wytworny gentleman, o którego uśmiech jeszcze niedawno, ubiegały się najpiękniejsze panie w Paryżu.

Był to już tylko przekłęty od Boga włóczęga, pędzony bez chwili wytchnienia, po wszystkich morzach, marynarz w czerwonych spodniach i płóciennej, rozchełstanej koszuli. Holender, powracający do swoich, przenikający jak się zdawało przez ściany i

mury, podczas gdy w uśpionem Saint-Cloud zawyły wszystkie psy, jakby wyczuwając śmierć.

### Parasolka wpośród nocy.

Zegar zdobiący ogromny kominek w palarni pałacyku Scotta wydzwonił północ.

Było to nazajutrz po przyjęciu.

Król kolejowy, siedział naprzeciw Samuela Vampa oczekując nerwowo wizyty księcia Vixita, a raczej wyrażając się ściśle, kapitana Piotra Mausy.

Jedna rzecz niepokoiła go mocno.

Holender nie miał zamiaru zadowolić się ręką Ginetty Belavril. A milijarder już się zupełnie zżył z myślą, że kapitan ożeni się z milutką Paryżanką, za co wyda mu wszystkie żądane tajemnice. Przyzwyczajony wszystko osiągać pieniędzmi, poświęcił jut łątwo Ginettę kapitanowi.

A tymczasem obcy chciał sam dokonać wyboru. Władca zatopionych galjonów ośmielił się podnieść oczy na siostrzenicę Scotta.

Scott kochał Edytę, chociaż na swój sposób. Poraż pierwszy odkąd doszedł do znaczenia, odczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia.

Podczas gdy milijarder z zachmurzonym czołem, szukał innego rozwiązania sytuacji – Samuel Vamp, przymknawszy oczy rozważał sposób, w jaki mógłby się pozbyć przygniatającego ciężaru.

Medjum domyśliło się, że *istniało przysiężenie*, mające w planie, obok innych tajemniczych celów, również *obłuskanie Scotta z jego niezliczonych milionów*. Vamp był tego najzupełniej pewien, ale strach przed zemstą zamykał mu usta.

Wybiło pół do pierwszej. Z ulicy dobiegły pierwsze cztery takty „Marsza żałobnego” Chopena: Książę Vixit oznajmiał swoje przybycie.

\*\*\*\*\*

W chwili gdy czarne auto z zapuszczonymi firankami zwolniło tempo, aby skręcić w bramę parkową, jakieś małe auto w gwałtownym pędzie zabiegło mu drogę i zatrzymało się, omal nie powodując katastrofy.

Szofer księcia zwrócił światło reflektora na nieostrożnego kierowcę. Księżę rozpoznał Filipa Dambruna. Przez jego smutną twarz przesunął się słaby uśmiech. Wielkie auto zajechało przed schody pałacu i Dambrun który pozostał na ulicy, rozpoznał w jasno oświetlonych drzwiach Scotta i Vampa, witających gościa.

Tego wieczora, kapitan Piotr Maus, wbrew zwykłemu opanowaniu, okazywał duże zdenerwowanie. Z pośpiechu wszedł do gabinetu miliardera i natychmiast zwrócił się do obecnych:

– Minuty moje są policzone, moi panowie. Czas, którego udzielono mi na pobyt na stałym lądzie, zbliża się ku końcowi. Czuję już, że na nowo ogarnia mnie wielkie zimno. Jest nawyższy czas, powziąć jakieś postanowienie.

Mr. Scott skinął głową.

– Jesteśmy przecież tego samego zdania? Mr. Scott chce wejść w posiadanie skarbów spoczywających na dnie zatoki Vigo, w zamian zaś ofiaruje mi jedyny środek, którego pożąda moja dusza, by mogła się wyswobodzić.

– Ja myślałem o tem, żeby oddać panu ładniutką Ginettę Belavril.

Lecz Piotr Maus przerwał ze zniecierpliwieniem:

– Nie rozumiem jak Anglik pańskiego pokroju, może ponowić pytanie, które jut wczoraj, dokładnie na tem samem miejscu słyszeliśmy. Panna Belavril jest zachwycająca, nie przeczę, ale żeby małżeństwo moje wywołało pożądany skutek, żoną moją musi zostać miss Edyta Scott. Ja muszę być kochany, moi panowie... Kochany, ponad wszelkie życzenie, proszę o tem nie zapomnieć.

Zaskoczony miliardier potrząsnął głową:



– Moja siostrzenica nie kocha pana.

Na wargach Holendra pojawił się subtelny uśmiech:

– Pan wie, mr. Scott, że ja potrafię czytać w ludzkich sercach... Nie jestem obojętny miss Edycie... Tak, naturalnie wstyd właściwy niewinności, nie pozwala jej samej jeszcze na uświadomienie sobie swoich uczuć. Możliwe, że zapytana o to przez pana, nie zawaha się nawet przed kłamstwem, ale będzie mnie kochać, tego jestem pewny.

Miljarder przechodził męki.

– Ale nie mogę przecież, mojej kochanej, mąlej siostrzenicy, dać za żonę umarłemu – wyszeptał pełen wątpliwości.

Kapitan porwał się z miejsca: -- Czyż nie robię wrażenia żywego człowieka? Pan jest jedyny, który dostrzega pewne rzeczy, gdyż wie pan, skąd przychodzę. Potrafię uczynić bardzo szczęśliwą pańską siostrzenicę, może mi pan wierzyć, mr. Scott.

Gdy jednak miljarder jeszcze ciągle wahał się, uderzył Holender pięścią w stół:

– Z tego co dotychczas słyszałem, wnosilem, te interesy w Anglii i Ameryce, łatwiej przychodzą do skutku. Jak się zdaje, poinformowano mnie fałszywie. Widzę już, że ja sam będę musiał ująć sprawę w ręce. Jeśli mi pan da miss Edytę za żonę, otrzyma pan złoto galjonów. Jeśli zaś nie, nie mówmy już więcej o tem, i pójdę swoją drogą... Muszę już powrócić na pokład... Tylko w tym wypadku gdy się ożenię, pozwoli mi Wielki Admirał dłużej pozostać, gdy jednak to nie nastąpi, muszę jutro rano znowu wypłynąć na morze. Niech się pan jeszcze namyśli, panie Scott. Może pan łatwo zrozumieć podniecenie, nad którym ledwie panuję: trzyma pan w swojej dłoni los mojej biednej duszy... Lecz jeśli mi pan okaże swe współczucie, wynagrodzę pana tak, że do dni dzisiejszych żaden człowiek na świecie nie osiągnął równego stanowiska i władzy, jaką ja panu przyrzekam...

Wargi króla kolejowego drżały z podniecenia. Pierś

podnosiła się i opadała gwałtownie, pod naporem sprzecznych uczuć. Powoli podniósł się:

– Kapitanie Piotrze Mausje... Jeśli moja siostrzenica kocha pana, daję moje przyzwolenie.

W oczach Holendra mignął błysk triumfu:

– Byłoby wskazane ustalić dzień ślubu. Moje godziny są policzone.

– Naprzód moja siostrzenica musi pana kochać... To jest mój warunek...

– Pokocha mnie, jestem tego pewny... Rozumie pan chyba, nie ożenię się pod mojem właściwym nazwiskiem... Ale, mech się pan nie troszczy, ja już postaram się o potrzebne papiery.

--- A po ślubie, wypełni pan swoje zobowiązanie?

– W dwa dni po ślubie popłyniemy razem do zatoki Vigo. Ma pan moje słowo.

\*\*\*

Podczas gdy w willi trzech mężczyzn rozstrzygali o losie miss Edyty, nie pytając jej samej o zdanie, jakiś cień skradał się wzdłuż sztachet.

Filip Dambrun nie mógł oderwać oczu od oświetlonego okna salonu.

Młody człowiek głowił się, co to za tajemnicza okazja, przywiodła księcia o tak nieprawdopodobnej porze do miljardejra. Nagle wydało mu się, że z poza bliskiej grupy drzew dochodzi go odgłos kroków. Instynktownie chwycił za rewolwer, który obecnie zawrze nosił przy sobie. Szmer ucichł, lecz młody człowiek mimo to podkraść się w pobliże drzew i usiłował prze- bić wzrokiem ciemności. Wobec tego, że nie dostrzegł nic niezwykłego, wzruszył ramionami i powrócił na ulicę. Musiało go coś złudzić. Księżyc znikł poza wielką, ciemną chmurą, gdy w tem ujrzał lotnik obok malej furtki ogrodowej, postać Edyty.

Przycisnął ręką serce, którego bicie przyprawiało go o zawrót głowy.

I nagle jakby wrósł w ziemię ze zdumienia:

Mimo że była to noc i ciemno choć oko wykol, Edyta trzymała w ręce rozpiętą parasolkę, jakby osłaniała się przed słońcem!

I gdy Dambrun z rozszerzonymi oczami próbował odgadnąć, w jakim celu Edyta zabrała ze sobą parasolkę, ujrzał wnet poza młodą dziewczyną wysoką postać księcia Vixit.

Tym razem wszelka wątpliwość była wykluczona. Edyta z własnej chęci przybyła na schadzkę miłosną. Stracone złudzenia młodego lotnika. Oparł się ciężko o sztachety i zapłakał jak małe dziecko.

Lecz zaraz zawstydził się swojej słabości i zerwał się gwałtownie. Gdy pomyślał o parze, która teraz pewnie tam, w kasztanowej alei obemuje się czule, krew rzuciła mu się do głowy. Bez namysłu poszedł za nimi, by wyrzucić Edycie jej postępowanie a księcia wyzwać na pojedynek. Ale próżno szukał i rozglądał się dowoli, nie znalazł nikogo i powrócił wolno do sztachet parku. Warkot motoru wyrwał go z zamyślenia. Czarne anto opuściło park i przemknęło tak blisko niego, że w jedynym siedzącym z łatwością rozpoznał księcia Vixit, którego oblicze promieniało.

– Do diabła! – powiedział głośno Dambrun – przecież jeszcze nie zwarzowałem... Dopiero co widziałem księcia z Edytą w alei, a teraz wyszedł on sam z willi Scotta?

W środku tego monologu upadło mu coś pod nogi... coś białego.

Schylił się, by podnieść. Był to list. Nerwowo zaświecił kieszonkową latarkę i w jej świetelku odczytał adres koperty. Było to jego nazwisko. Żadnej wątpliwości, wiadomość, która przyszła Bóg wie skąd, jest skierowana do niego. Na pożółkłym papierze, z „Latającym Holendrem” jako pieczęcią, było tylko kilka słów:

– *„Jeśli nie opuści Pan Saint-Cloud, niech się Pan strzeże!”*

Pogróżka ledwie poruszyła Dambruna. Myśli jego

były gdzieindziej. Podarł kartkę w drobne kawałki i rzucił na wiatr. Jakby pod władzą idee fixe, powtarzał wciąż te same słowa:

– Czemu jednak ta parasolka, nagle, wśród nocy?

### Złamane serce.

Czyń co chcesz, moje dziecko! – rzekła pani Dambrun.

– Będę często do ciebie przychodził, mamó. Ale zważ, że to wieczne próżnowanie jest mi nieznośne. Wynająłem w Paryżu mieszkancko kawalerskie, żeby nie tracić czasu na codzienne dojazdy. Ale niedzielę zawsze będę spędzał u ciebie.

– Sprawiałeś mi zawsze wiele radości, mój chłopcze! Lecz dzień, w którym przyrzekłeś mi porzucić na zawsze służbę w lotnictwie, był najpiękniejszym dniem mojego życia.

Cień zachmurzył oblicze młodego człowieka.

W rozpacz z powodu niewierności Edyty, Dambrun, poprzedniego dnia podpisał umowę z jedną z największych fabryk samolotów, angażując się jako pilot do wypróbowania każdego nowego modelu. Cierpiał, zdając sobie sprawę z troski swojej matki, gdy tylko się dowie, że jej ubóstwiany jedynak powrócił do swojego dawnego, niebezpiecznego zawodu.

Lecz nie dał po sobie poznać, jak ciężko mu było na sercu i rzekł śmiejąc się:

– Tak samo możemy umrzeć w aucie, w pociągu, a nawet w łóżku, z chwilą, gdy jest to nam sądzone.

Gdy matka i syn tulili się do siebie serdecznie, zabrzmiał dzwonek i służąca oznajmiła Achillesa Capistola.

Od czasu owego pamiętnego wieczoru w willi Scotta, lotnik nie spotkał się z młodym poetą.

Pospieszył do salonu i uścisnął życzliwie jego dłoń.

Tuluzańczyk przybrał niezwykle poważną minę:

– Ginetta wysłała mnie do pana.

– Ach tak...

– Ona, tak samo jak i miss Edyta, nie może sobie wytłumaczyć pańskiego nagłego odsunięcia się. Kie widzi się już pana zupełnie...

Dambrun zmarszczył czoło. Edyta nie domyślała się, że on wie o jej flircie z księciem i chce go nadal utrzymać w dobrym mniemaniu o sobie!

– Jestem istotnie bardzo zajęty – powiedział, zmuszając się do obojętnego wyrazu twarzy. – Mam zamiar... ale niech to pozostanie między nami... powrócić do służby lotniczej.

– W takim razie, byłbym panu niezmiernie wdzięczny, gdyby zechciał pan chociaż kilka słów jej napisać; ja sam mogę jej oddać bilecik, gdyż bardzo się martwi, niech mi pan wierzy...

– Dobrze, dobrze! – odparł Dambrun podrażniony.

– Powiem tylko tyle, że co wiem, to wiem. mój kochany Capistol, i byłbym panu wdzięczny, gdyby pan już nigdy w mojej obecności nie poruszył tego tematu.

Capistol, zdumiony pożegnał się szybko i pobiegł do Ginetty, która go oczekiwała na ławce, w pobliskiej alei.

W kilku słowach określił sytuację. Ginetta zmieszała się i zaniepokoiła. Kochała czule Edytę, a że i Dambrun był jej sympatyczny, cieszyła się z całego serca, widząc tę miłość, którą pochwałała bez zastrzeżeń.

Tymczasem nadeszła także miss Edyta. W swem mieszaniu opowiedziała jej Ginetta o kroku, jaki poważyła się uczynić z pomocą Capistola.

Gdy młoda Amerykanka usłyszała, że młody człowiek nie chce jej już widzieć, bez podania powodu, ścisnęło się jej serce. Jej piękne oczy napełniły się łzami, lecz zaraz godność kobieca pozwoliła jej zapanować nad słabością.

– Bądźcie tak dobrzy, moi drodzy I nie mówcie mi już więcej o panu Dambrun. Myślałam, że jest on gentlemanem, lecz pomyliłam się. Znowu dowód, że w swoim sądzie o ludziach nie można być nigdy dość ostrożnym.

– Coś w tem jest niejasnego, zauważył Capistol.  
– Nie trudno sobie wyobrazić, co takiego.  
– Zdaje mi się, że on znowu zamierza oddać się lotnictwu.

– Jeśli mu to sprawia przyjemność...

– Ale prosił, żeby tego nie wyjawić.

Edyta patrzyła chwilę smutno w przestrzeń, poczem opuściła powieki, by je natychmiast wznieść w górę z umęczonym uśmiechem.

– Jestem nawet rada, że tak się stało – rzekła wesoło tonem, który brzmiał fałszywie, – Wuj oznajmił mi właśnie, że pewien wielki pan poprosił o moją rękę.

Zapanowało długie milczenie.

Ginetta i Capistol byli oszołomieni.

Oboje znali Edytę zbyt długo, aby nie wiedzieli, że była nadzwyczajnie wzburzona i że myślała inaczej, aniżeli mówiła.

Ginetta jako młoda kobieta rozumiała doskonale, że tu szło o szczęście przyjaciółki, której groziło niebezpieczeństwo, że unieszczęśliwi się na zawsze jedynie wskutek nieporozumienia.

– Czy nie powinnam iść do niego i pomówić z nim?

– zapytała.

Edyta potrząsnęła głową.

– Daj pokój. Pan Dambrun ma prawdopodobnie kochankę.

Ale znowu nabiegły jej łzy do oczu, zwarła silnie usta, ale po chwili mówiła dalej:

– Jutro wszyscy się dowiedzą, że dziedziczka króla kolejowego Jeremiasza Scotta zaręczyła się z księciem Vixit.

Ginette spojrzała zdziwiona na przyjaciółkę:

– Zdecydowałaś się ostatecznie?

– Nieodwołalnie.

– Lecz Filip Dambrun kocha cię prawdziwie.

– W takim razie ma zdumiewający sposób okazywania mi tej miłości.

– Ale i ty kochasz go także.

– Ja?

– Tak, ty! Znam cię za dobrze. Ach! Gdybym tylko mogła z nim sama pomówić przez pięć minut wtedy przybiegłby zaraz do ciebie.

– Nie chcę go już więcej widzieć na oczy.

– Bezwątpienia zaszły tu jakieś rzeczy, o których nie wiemy. Czy jesteś pewna, tego czemś nie zraziłaś?

– Najzupełniej pewna.

– A czy podoba ci się ten książę, który oświadczył się o ciebie?

– Nie mogę powiedzieć, żeby mi się nie podobał.

– Wiesz kim on jest? – Znasz jego charakter?

– Mój wuj zebrał o nim jak najlepsze wiadomości. Zresztą, czy ten, czy inny!...

Ginetta potrząsnęła ze smutkiem swoją śliczną głową...

– Moja biedna Edyto!... – szepnęła.

W milczeniu obie przyjaciółki wróciły do willi.

Wuj jej czekał na siostrzenicę, w towarzystwie księcia.

Obydwaj wstali, gdy weszła.

Książę Vixit wyglądał tego dnia rzeczywiście imponująco.

Wbrew swemu stałemu zwyczajowi był w jasnym ubraniu, doskonale skrojonem. Jego zachowanie się nacechowane było dyskretną elegancją. Edyta podała mu rękę, którą poniósł do ust.

– A więc, moje dziecko – odezwał się Scott z tym brakiem taktu, który charakteryzował jego niedostateczne wychowanie. – Teraz musisz się już zdecydować. Książę czeka na twoją odpowiedź.

Edyta poczerwieniała i spuściła głowę. Poważny, łagodny głos Vixita spróbował złagodzić brutalność króla kolejowego:

– To znaczy, łaskawa pani, te nie udało mi się ukryć przed jej wujem, głębokiego szacunku i pełnego uczucia, jakie we mnie pani wzbudziła. Jedno słowo z pani ust może ze innie uczynić najszcześniejszego ze

wszystkich śmiertelnych, łub najbardziej niepokieszo-  
nego. Błagam panią, zostań moją żoną. Wuj pani wie, że  
pieniądz i bogactwo są mi obojętne. Pozostawię pani  
całkowiłą swobodę i nawet gdyby pani pewnego dnia  
postanowiła życ zdała ode mnie, nawet wówczas, choć  
byłoby to straszne dla mnie, nie próbowałbym  
niepokoić pani swoją obecnością i byłbym szczęśliwy,  
mogąc przyczynić się do wspaniałości pani tycia.

Ostatnie zdanie skłoniło młodą dziewczynę do  
spojrzenia na księcia:

– Pochlebia mi bardzo wrażenie jakie uczyniłam na  
panu, księżę.

– Edyto! Musi mi pani odpowiedzieć. Czy chce pani  
zostać moją żoną?

Minęło kilka sekund.

– Czy chce pani zostać moją żoną? – powtórzył  
natarczywie i spojrzął jej w oczy.

--- Tak – wyszeptał wreszcie.

Jednak nagle zbladła jak trup, walka wewnętrzna  
okazała się za gwałtowna, zachwiała się i upadła  
zemdlenia na ziemię.

### Czarna „trójka”.

Lekarz przywołany do łóżka chorej, wyjaśnił, że  
przeszła ona silny wstrząs nerwowy i choć jej stan nie  
grozi żadnem niebezpieczeństwem, jednak wymaga  
przez kilka dni zupełnego spokoju.

Mr. Scott postanowił spędzić sierpień w miejscowości  
kąpielowej Deauville.

Ślub naznaczono na pierwsze dni września.

Wieczorem po tych niezwykłych zaręczynach,  
Samuel Vamp siedział w swoim pokoju zatopiony w  
myślach.

Oczywiście wszystko w nim buntowało się przeciw  
myśli, że służy interesom kapitana, służy niby obity  
pies. Sprytny oszust zdawał sobie jasno sprawę z tego,  
że kapitan Piotr Maus czeka tylko na doprowadzenie do



końca swoich planów małżeńskich, by nakłonić Scotta do pozbycia się medjum, które mu zawadzało.

Nagle zaświtała mu nowa myśl.

Gdy gong wezwał na obiad, odszukał mr. Scotta, wytłumaczył się nagłą niedyspozycją i wycofał do swego pokoju. Z ciężkiego kufra wydobył fałszywą brodę i czarne okulary. W swojej garderobie wyszukał staromodny

żakiet, wdział go, brodę i okulary schował do kieszeni i niepostrzeżony opuścił park małą furtką.

Zegar właśnie wybił dopiero ósmą i było jeszcze zupełnie jasno.

Medjum zboczyło z ulicy, ukryło się w krzakach i tam dopełniło zmiany wyglądu z pomocą fałszywej brody i okularów. Z zadowoleniem stwierdził Vamp w kieszonkowym lusterku, że przeobraził się nie do poznania. Z przedziwną zręcznością zmienił swój chód. zgarbił plecy i zaczął utykać na jedną nogę. Pod taką postacią zadzwonił do drzwi ogrodu Dambruna.

Filip był w domu.

Z okna już zobaczył dziwnego przybysza, którego służąca odprowadzała do drzwi willi,

Gdy wszedł do salonu, ujrzał przed sobą jakiegoś starego człowieka, który mu się głęboko skłonił.

– Przepraszam... z kim mówię...?

Człowiek wyprostował się i spytał krótko:

– Czy jesteśmy sami?

– Tak – odpowiedział Filip.

Nieznajomy oderwał przyprawioną brodę i zdjął szkła.

– Nie potrzebuję się chyba przedstawiać?

– Samuel Vamp! – zawołał Filip z zdziwieniem.

– Muszę z panem pomówić. Miss Edyta kocha pana i poślubi księcia tylko pod przymusem.

Dambrun musiał przytrzymać się stołu, by nie upaść.

Vamp nieproszony zasiadł w fotelu.

– Panie Dambrun, rozmawiam z panem jak przyjacielem. Mówię zupełnie uczciwie.

– Zdarzyłoby się to panu poraż pierwszy w życiu.

– Możliwe. Ale proszę pana tylko o jedno: wysłuchaj mnie pan. Gdy skończę, może pan zawsze jeszcze wyrzucić mnie za drzwi.

– Proszę... słucham...

Vamp przysunął się bliżej i zaczął wolno mówić swoim świszczącym głosem, nie mogąc się jednak powstrzymać choć mu nie przerywano, od rzucania trwożnych spojrzeń na wszystkie strony.

– Pan, ja, i jeszcze kilku innych, my wszyscy wcześniej czy później padniemy ofiarą djabelskiego podstępu.

Lotnik nie rozumiał, o co chodzi Vampowi.

– Ja wiem – odparł jednak wymijająco.

– Tak, ale niema pan pojęcia o straszliwej potędze tych, co nam chcą szkodzić.

-- Chciałbym jedno wiedzieć, podług pańskiego mniemania należą te sprzysiężone moce do żywych czy do umarłych?

Medjum opuściło głowę.

– Muszę panu zwrócić uwagę, że nie należę do wtajemniczonych, jak pański chlebodawca. Jeśli więc chce mnie pan wystrychnąć na dudka, może pan natychmiast przylepić swą **brodę, nasadzić okulary i powiedzieć** swemu kinowemu Napoleonowi, te spokojnie może pozostać za kulisami.

– Gnajmy w otwarte karty – zawołał Vamp. – Tak, jestem oszustem, przyznaję się do tego. Lecz nie wyrządzem tem nikomu krzywdy. Wyzyskuję tylko lekkomyślnie bogatego człowieka, gdy przedkładam rachunek tego manjom. I zależy mi oczywiście na tem bardzo, by nie stracić tego wygodnego miejsca.

– W tym względzie wierzę panu.

– To jest także powodem, że dziś odszukałem pana. Zapytał mnie pan przed chwilą, czy moce szkodzące nam, należą do żywych czy do umarłych. Na to mogę na honor i sumienie odpowiedzieć: nie wiem.

Dambrun zerwał się wściekły. Jego twarz była

czerwona ze złości.

– Zabraniam panu podobnych żartów ze mną.

Bledszy niż kiedykolwiek podniósł się i Vamp.

– Naszych wrogów należy zapewne szukać w pośród żywych, ale rządzą oni takimi mocami, jakie legendy przypisywały dotychczas tylko umarłym.

Przy tych słowach zimny dreszcz przeszedł Dambruna i przesunął ręką po czole.

Yamp wyzyskał milczenie i ciągnął dobitnie:

– Powinien pan wiedzieć, że pan Cott, ja i cała załoga złożona z ludzi przy zdrowych zmysłach, w zatoce Nowej Fundlandji, spotkaliśmy się ze statkiem upiorów. Ja sam byłem na pokładzie tego statku budzącego grozę, a potem, na własne oczy widziałem jak zniknął w falach.

– Tak opowiedziano mi o tem, ale nie uwierzyłem.

– A jednak była to prawda... I jeszcze coś więcej. Wszystkie nici djabelskiego spisku, który nam zagraża, rozchodzą się ze statku upiorów.

Pogrążony w myślach, oparł się Dambrun o komoda.

– Ja nie powinienem mówić – ciągnęło medjum – i nawet gdyby mnie pan tu na miejscu chciał zabić, jeszcze nie powiedziałbym panu, czyja to ręka zawisła tak ciężko nad moim życiem. A jednak sam przyszedłem, by pana upewnić, że Edyta tylko pana kocha. Jeśli wyciągnie pan z tego konsekwencje, może pan jeszcze przeszkodzić małżeństwu Edyty z księciem.

– Co wiem, to wiem, panie Vamp. Mole pan być pewny, że nie bez walnego powodu postanowiłem nie widzieć więcej panny Scott.

– Domyślam się... – tu medjum uczyniło pauzę i spojrzało bystro na Dambruna – domyślam się, że zobaczył pan niespodzianie miss Edytę z księciem, jeszcze przed oficjalnymi zaręczynami.

Lotnik nie dał żadnej odpowiedzi.

– Taki był powód; rozumiem to. Lecz powiem panu tylko jedno: miss Edyta jeszcze ciągle jest godna pańskiej miłości.

– Ale dlaczego ukazała się ona jeszcze za drugim razem na wiejskiej drodze, w towarzystwie księcia?

Vamp zasępił się:

– W tem sęk! – wyszeptał. – Lecz dlaczego nie zawołał pan Edyty. Scott po imieniu, gdy ją pan zobaczył podchodzącą do księcia?

– Uczyniłem to.

– Ale ona nie odpowiedziała panu?

Dambrun przypomniał sobie podejrzenie. Jakie się w nim zrodziło, gdy odkrył rendez-vous młodej Amerykanki z księciem.

– Czy Edyta miała wówczas pełną świadomość swych czynów? – zapytał. Miałby ten księżę, którego dotychczas uważałem tylko za wielkiego oszusta, okazać się również hypnotyzerem?

Vamp potrząsnął głową.

– Skąd właściwie przybył ten księżę? Nikt go nie zna w Paryżu.

– Nie mogę panu nic powiedzieć – odpowiedział Samuel Vamp, z widocznym pomieszaniem. – Lecz zaklinam na wszystko, niech pan nie wątpi, gdy dam panu słowo, że serce i wszystkie myśli siostrzenicy Scotta są wypełnione tylko pańskim obrazem.

Czy medjum było uczciwe? Dambrun chętnie byłby w to uwierzył, lecz wątpliwości jego były tak silne, że nie mógł się odważyć na wyjście z rezerwy.

– Gdyby było prawdą, co mi pan powiada – mruknął.

Vamp wzburzony chwycił go za ramię:

– Niechże mnie pan wysłucha. Gdy pana zobaczyłem po raz pierwszy u Scotta, odczuwałem dla pana tylko nienawiść, gdyż czułem wyraźnie, że czyha pan tylko na to, by mnie zdemaskować i pozbawić mnie zaufania mego chlebodawcy. Ale w późniejszym czasie jasno zrozumiałem, że ja i pan obydwaj jesteśmy tylko igraszką w ręku tajemniczego przeciwnika. Dlatego uczciwie i otwarcie odszukałem pana. Pan ma to, czego mnie brak: młodość, siłę, odwagę, lecz ja za to mam to,

czego pan znowu nie posiada: chytryść i obłudę. My obydwaj, możemy wiele zdziałać...

– Nie mam zaufania do pana.

Dambrun spojrział Vampowi w oczy. Człowiek, który stał przed nim, nie było to już medjum śliskie, jak węgorz i mówiące sarkatycznym głosem, które znał do tej pory; teraz stał przed nim starzec godny politowania, który zawisł na nim błagalnym spojrzeniem, pełnym lęku.

– Rozdzieleni, nie możemy nic prawie zdziałać – wykrztusił wreszcie zadławionym głosem – razem jednak, możemy się skutecznie bronić. Pan nie zna wcale prawdziwych przyczyn, które pana zgubią, lecz ja znam je dobrze! Pan nie wie, do kogo należy ramię, które nas może powalić, ale ja znam je.

Lotnik przechadzał się po pokoju. Ciężko walczył ze sobą.

– Kochała go jeszcze?

Gorąco ucieszył się, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że niebezpieczeństwo, o którym mówił Vamp, nie było czczym wymysłem. Co zrobić? Postarać się znowu zbliżyć do młodej panny i Vampa, przygnanego do niego trwogą, prosić o pomoc?

Ta myśl była dla niego wstrętna.

Myślał o tem jeszcze chwilę, poczem usiadł naprzeciw Vampa, zatapiając w nim badawcze spojrzenie.

– A więc, jak pan myśli, co zrobić, aby odwrócić niebezpieczeństwo?

– Trzeba udaremnić małżeństwo siostrzenicy Scotta z księciem Vixit

Medjum nie zdążyło się jeszcze wypowiedzieć, gdy usłyszano jakiś śpiew, przez otwarte okno.

Powolna pełna skarg melodia, przypominająca pieśni nadwożańskich burłaków.

Samuel Vamp wsłuchał się i nagle oczy rozszerzyły mu się z przerażenia, twarz zmieniła się do niepoznania ze zgrozy, i wyjąkał:

– Czarna trojka. Tak, tam u nich śpiewają w ten

sposób, gdy przejeżdża czarna trojka...

Lotnik poczuł się nieswojo. Próbując się opanować, podbiegł do okna.

Śpiew umilkł... Kawał ulicy, który można było ogarnąć wzrokiem, zdawał się być pusty. Drżąc, dał mu Vamp znać, by powrócił do niego.

– Nadszedł czas działania... Opuszczę pana teraz. Niewiem, czy mnie jeszcze pan zobaczy. Ale jeśli godzina moja jeszcze nie wybiła... jeśli trojka nie zatrzyma się przed domem pana Scotta... niech pan podąży za mną do Deauville... Jutro wieczorem będziemy tam... Pan Scott... Edyta... ja...

– A księżę?

– Księżę naturalnie także, ale to nie szkodzi, niech pan tylko przyjedzie. Będę pana oczekiwał o pierwszej w nocy na trasie kasyna...

Filip Dambrun nie odpowiedział nic, ale gdy milcząco zawarł przymierze z tem podejrzanym indywiduum, to tylko, dlatego, że ten człowiek, chociaż tak bardzo mu wstrętny, wylał kroplę balsamu na jego serce.

Edyta kocha go!!!

Filip otworzył drzwi salonu i podążył za medium.

Na progu willi otrząsnął się wreszcie z zadumy i rzekł:

– Dobrze! Niech tak będzie! Zatem o pierwszej w nocy w Deauville.

Ale jednak gdy medjum ukloniło się głęboko i podało mu rękę, zachował się tak, jakby tego nie zauważył.

### Nocą na plaży.

Deauville!

Ten zakątek w Normandji zgromadza tych wszystkich, którym przy uczcie życia przypadły najlepiej zastawione stoły. Potentaci finansowi, wielkości polityczne lub artystyczne, bohaterki romansów z bujną przeszłością i pisarze o niepewnej przyszłości.

W eleganckim apartamencie, który zajął Jeremjasz Scott i jego świta w Normendy Hotel, siedziały Edyta i Ginetta, zajęte rozmową.

Czy zdradzić ci coś, Edyto? Filip Dambrun przyjeżdża tutaj.

– ... Czego on tu szuka? Chyba sobie nie wyobraża, że teraz, gdy jestem zaręczona, będę się z nim spotykać? Ty wiesz, jak strasznie zazdrosny jest Iwan?

– Wiem.

– Jeśli przypadkiem spotkamy pana Dambruna, odwrócimy się do niego plecami.

– Moja biedna Edytot Nie poznaję cię już! Byłaś zawsze taka wesoła i miła... a teraz taka wzburzona i podniecona.

– W szkole życia zmienia się każdy charakter.

Zadzwoił telefon.

Ginetta rzuciła się aparatu.

– Halio!... Balio!... Tak, tutaj Ginetta. Pan jest już tu?...

Edyta **zatrzęsła się, wzruszenie zaparło** jej oddech.

– Kto jest przy telefonie? – zapytała bezdzwięcznym głosem.

– Achilles Capistol. Przed chwilą przyjechał.

Młoda Amerykanka opadła znowu na krzesło.

– Tak... tak... już lepiej... Czy wyjdziemy dziś wieczorem?... Niech pan poczeka chwilę.

Amerykanka potrząsnęła głową, poczem rzekła nie bez goryczy:

– Ty możesz iść, jesteś wolna.

– Nie, nie wyjdziemy. Edyta pragnie spokoju, jest jeszcze bardzo słaba, to zrozumiałe... Pan mieszka w tym samym hotelu co Filip Dambrun?

Edyta dała przyjaciółce znak, że chce coś powiedzieć i rzuciła wymusze nie obojętnym tonem lecz nerwowo:

- Ostatecznie!... Co na tem zależy?... Tak, wyjdziemy wieczorem!

Ginetta chwyciła znowu słuchawkę i powtórzyła lekko ironicznym tonem:

– Hallo!... Ostatecznie... co na tem zalety?... Wyjdziemy wieczorem... Pan się cieszy! To ładnie... Tak, tego właściwie nie wiem. Na plaży prawdopodobnie... Dobrze, zgoda!...

Plaża była mało ożywiona. Edyta i Ginetta przytulone do siebie, przechadzały się po deptaku rzucając badawcze spojrzenia na cienie, które spotykały. Młoda Amerykanka nie poświęciła wiele uwagi obiadowi. Jej zdenerwowanie doszło najwyższych granic i wyraziło się w niezwykłym zniecierpliwieniu.

Nagle jak z pod ziemi, wyrósł przed młodemi dziewczętami Capistol. Ze zwykłym ożywieniem uścisnął ich ręce i zaczął się wypytywać o podróż i o zdrowie Edyty.

Ale mimo wybuchowego temperamentu Tuluzańczyka, rozmowa szła jak po grudzie. Coś przygniatającego zawisło nad całą trójką i każde z nich zdawało sobie dokładnie z tego sprawę.

Wreszcie Ginetta zadała pytanie, które już oddawna paliło jej wargi:

– Czy nie powiedział mi pan przy telefonie, że Filip Dambrun jest tutaj?

– Tak. Namówił mnie, bym tu przyjechał. Przybyliśmy dziś popołudniu, jego samochodem.

– To wszystko, co ma pan do powiedzenia?

Amerykanka jakby przypadkiem postąpiła parę kroków naprzód, nucąc popularnego fokstrota. Natychmiast rozwiązał się język Capistola:

– Filip Dambrun jest tutaj i niczego nie pragnie goręcej jak ujrzeć Edytę.

– A więc, niech go pan zawoła – niecierpliwie zawołała Ginetta.

Bez wahania, wsadził Capistol dwa palce do ust i wydał przeraźliwy gwizd, któryby zachwycił każdego wielkomięskiego urwisza.

W tym samym momencie cień jakiś wyszedł z ciemności i zbliżył się do nich.

Edycie serce biło jak młotem: rozpoznała Dambruna.



Ale gdy on jak osłupiały stał w miejsca i wpatrywał się tylko w milczeniu na młodą Amerykankę, ona, szybko zdecydowana, podeszła do niego.

– Przyjacielu? – zapytała serdecznie.

To słowo było kroplą, która przepełniła kielich. Lotnik jak szalony pochwycił Edytę w swoje objęcia i podczas gdy Ginetta i Capistoi usunęli się na bok, upadł na kolana i szlochał jak dziecko.

Poruszona siostrzenica miliardera podniosła go i zapytała:

– Cóż uczyniłam panu?

Ale lotnik był tak uszczęśliwiony, że nie odważył się zrobić wymówki tej łagodnej, jasnowłosej istocie.

– Edyto – szepnął wreszcie – jestem tak nieszczęśliwy.

– Zasłużył pan na to.

– Lecz sądzę, że mam chyba jakieś prawo do pani litości.

– O nie, jeśli pan czuje się nieszczęśliwy, sobie tylko może pan to przy pisać. Oczywiście. Przyznawał pan, że mnie kocha...

– Kocham panią.

– A nie miał pan tyle odwagi, by zerwać z osobą, która pana powstrzymywała od małżeństwa ze mną.

Dambrun osłupiał.

– Nie rozumiem pani.

– Pan ma kochankę.

Krew uderzyła do głowy młodemu człowiekowi.

– To nieprawda, każde słowo jest kłamstwem – krzyknął wzburzony. – Przeciwnie, to ja widziałem pannę Scott, w ciemnej alei na schadzce z człowiekiem prawie nieznanym.

– Co pan mówi?

--- Widziałem na własne oczy, jak młoda dziewczyna skorzystała z ciemności nocy, by wymknąć się do tego człowieka, i...

– Kłamca!

Słowo to spadło na Filipa jak policzek.

– Kłamca – powtórzyła młoda Amerykanka trzęsąc się z gniewu.

Lotnik nie panując już nad sobą ścisnął w przegubie obie jej dłonie.

– Przysięgam pani na życie mej matki, że nie mam żadnej kochanki. Lecz niech pani na grób swojej matki przysięgnie, że nigdy pani nie spotkała się potajemnie z księciem Vixit, ani w parku ani na drodze.

Edyta podniosła rękę:

– Przysięgam na grób mojej, matki.

Dambrun przeraził się, usłyszawszy przysięgę. Teraz zdobył przeświadczenie, że Edyta w chwili gdy szukała księcia, nie była panią swej woli.

– Edyto, widziałem panią w nocy, w towarzystwie księcia, ale teraz sądzę, że może to był tylko twój cień. Jeśli sprawiłem pani ból, niech mi pani raczy przebaczyć.

Chwilę stali w milczeniu, zatopieni każde w swoich myślach. W dali rozbłysł taras kasyna olśniewającym światłem, a do szumu fal dołączyła się przytłumiona muzyka orkiestry.

Edyta podeszła do Filipa bliżej i ujęła go za rękę.

– Jeśli to, co pan mówi jest prawdą... jeśli istotnie nic nie sprzeciwia się naszej miłości... niech pan powie choć jedno słowo, a nie poślubię księcia.

Lotnik był zupełnie oszołomiony.

Utulił Edytę w swoich ramionach i szeptał jej do ucha:

– Kocham panią. Do pani należy moje życie. Zrobię wszystko czego pani zażąda odemnie. Będę pani mężem lub pani niewolnikiem. Kocham panią tak jak jeszcze dotąd nie kochałem i jak już nigdy kochać nie będę!

– I ja kocham pana, Filipie, i życie bez pana byłoby dla mnie nie do zniesienia. Na szczęście jestem jeszcze wolna. Zaraz jutro zwrócę księciu słowo i pierścionek.

Dambrun, którego serce biło jakby miało pęknąć, w nadmiarze szczęścia przycisnął Edytę do siebie, a ona

zwolna podniosła głowę i podała mu usta do pocałunku.

Nagle w odległości zaledwie kilku metrów rozległ się krótki, głuchy krzyk, który zdawał się nie pochodzić z ludzkiej krtani.

Filip przestraszony próbował szukać w ciemności.

Capistol nadbiegł także.

– Co to było?

– Nie wiem.

Młodzi ludzie szukali nadal.

Ale Capistol wkrótce dal temu pokój.

– To napewno spacerowicze zrobili głupi kawał.

– Lecz ten straszny krzyk...

--- E... głupi żart i nie innego.

Edyta i Ginetta spoglądali na nich z niepokojem.

– No i co?

– Niema nic. Nic się nie stało.

Obydwie pary zbliżyły się znowu do kasyna.

– Edyto – szeptał Dambrun – jeśli pani ma odwagę zerwać z księciem, ja także postaram się dokonać wielkich rzeczy, żeby stać się godnym pani.

– Moje zaręczyny są zerwane.

– Lecz wuj pani?

– Z moim wujem nie porozumiem się wcale w tej sprawie. Ale chociaż ja sama jestem swoją panią, wolałabym uniknąć przykrej dyskusji. Dlatego chciałybym wyjechać.

– Wyjechać?

– Do Ameryk. Mam tam posiadłości. A pan przyjedzie za mną.

– Ale kiedy chce pani odjechać?

– O świcie. Chcę powrócić naprzód do Paryża, potem wyjadę do Hawru i wsiadę na statek.

– Sama?

– Z Ginettą... to znaczy, o ile ona zgadza się odjechać ze mną.

– Lecz jeśli księciu wpadnie do głowy pogonić za panią?

Edyta czule uścisnęła dłoń lotnika.

– Wtedy poproszę pana, abyś mnie przed nim bronił.  
Dambrun objął narzeczoną w ramiona.

### Upiorna partia bakarata.

W salonach gry stłoczyło się mnóstwo osób. Miljarder i książę Vixit zbliżyli się do stołu bakarata, przy którym gra toczyła się o najwyższe stawki. Jeden z urzędników kasyna, który poznał króla kolejowego, polecił niezwłocznie przynieść im dwa fotele. Człowiekowi tak bogatemu jak Scott gra nie mogła dostarczyć już Żywszych wzruszeń. Wyciągnął niedbale kilka pomiętych czeków z kieszeni od spodni i skinął na kasjera.

O trzy na dwunastą przegrał książę znaczną sumę, lecz miliardier wygrał blisko pół miliona.

– Nie ma pan szczęścia, kochany książę!

– Nie warto o tem mówić – odpowiedział tamten z wymuszonym uśmiechem i wyciągnął z kieszeni dalszy zwitek banknotów.

Kasjer podbiegł usłużnie.

– Jeszcze nie – rzekł książę zastanawiając się – chcę naprzód przeczekać pechową passę, ale niech pan zostanie w pobliżu zaraz pana poproszę.

Nachylił się ku Scottowi:

--- Zaczekam do północy, to moja godzina. - rzekł cicho. – Jeśli pan chce, spróbujmy rozbić razem bank punkt o dwunastej.

– Doskonale! – zawołał miliardier, którego podniecała wszelka niezwykłość.

W tym momencie oznajmił prowadzący bank, który grał za konsorcjum bogatych Anglików, że bank gotów jest przyjąć każdą stawkę.

Powoli zbliżył się do stołu jakiś człowiek. W ręce trzymał pudełko od cygar, którego zawartość wysypał na stół: czterdzieści żetonów po sto tysięcy franków, czyli w całości cztery miliony.

Nerwowy dreszcz przeszedł po widzach. Od niepa-  
miętnych czasów nie widziano nikogo ktoby taką sumę  
rzucił za jednym razem.

Ospały jegomość wyciągnął ósemkę. Wygrał.

Podczas gdy wyplacano wygraną – wiadomość o  
wydarzeniu rozbiegła się lotem błyskawicy po  
wszystkich salach – książę spojrział na zegarek.  
Brakowało jeszcze trzech minut do północy.

Podniósł się i pociągnął Scotta za sobą. Podeszli do  
innego stołu, które go bank dysponował czterystu  
tysiącami franków. Z pierwszym uderzeniem północy,  
książę zawołał głośno:

– Banco!

Nagle zagasło światło. Nawoływania... Rozkazy...  
Poza salą krzyczał ktoś przeraźliwie.

Panika ogarnęła graczy. Przerażonemi dłońmi  
usiłowali zgarnąć swoje żetony.

– Nikomu nie wolno odejść!

Drzwi zawarto. W ciemności słyhać było  
westchnienia i protesty. Jeremjasz Scott uczepił się  
ramienia księcia. Był pewien, że katastrofę sprowadził  
głos tego niesamowitego człowieka.

Nagle światło znowu rozbłysło. Na podłodze walały  
się ciała zamordowanych kasjerów. Ich torby z  
pieniędzmi zostały skradzione. Kasa była całkowicie  
obrabowana.

Fupkjonariusze kasyna stracili głowę i w panicznym  
strachu biegali po sali.

Książę spokojnie wyprowadził mr. Scotta. Hall  
wydawał się pusty.

W oddali, na morzu, około trzysta metrów od brzegu,  
kołysał się na falach oświetlony zielonym płomieniem,  
statek widmo.

Książę wyciągnął rękę i wskazał go królowi kolejowe  
mu.

– Oczekuje mnie! – zawołał głośno, aby go wszyscy  
usłyszeli.

– Natychmiast pana ożenię! – wyrzucił z siebie

gorączkowo miljarder.

Vixit wzruszył ramionami i raz jeszcze krzyknął ku morzu.

Zielony płomień zachwiał się, poczem zagaśł. Jeszcze przez chwilę można było dostrzec ciemne zarysy statku, potem wszystko znikło.

\*\*\*

Wkrótce dowiedziano się, że w sali gry skradziono dwadzieścia pięć milionów franków.

Po twarzy księcia przemknął uśmiech.

– Chodźmy, musi pan zażądać wypłacenia sobie wygranej. Dyrekcja jest do tego zobowiązana.

– Słusznie! – potwierdził Scott, zawsze jeszcze skrupulatny i zapobiegliwy kupiec.

I obaj zawrócili do sali gry.

\*\*\*

I znowu prasa zaczęła się interesować statkiem upiorów.

Jego pojawienie się w Deauville, które wyzyskali międzynarodowi bandyci, by obrabować kasy sal gry, stało się sensacją dla całego świata. Z natychmiast przeprowadzonego śledztwa wyszło na jaw, że w dniu rabunku pięciu graczy niepewnej przynależności państwowej, zabiegało o prawo wstępu na salę gry. Także elektrotechnik w przeddzień zaangażowany, który pełnił służbę nocną, znikł w niewytłumaczony sposób. Bez wątpienia on to z uderzeniem północy, spowodował krótkie spięcie, ułatwiając tem swoim współnikom dokonanie zuchwałego rabunku.

Strata była bardzo znaczna. Dzienniki, które rabunek w kasynie łączyły z kradzieżą w ministerstwie marynarki, nie dały się odwieść od zdania, że znowu zaszedł tu wypadek zbiorowej halucynacji, ale jednocześnie osłabiały wrażenie swoich artykułów przez to, iż przyznawały istnienie jakiejś tajemniczej osobistości, która należąc do bandy, mogła świadomie wywołać

ową halucynację.

### Na pokładzie „Lewiatana”.

Gdy Scott następnego ranka po niezapomnianym wieczorze, zawezwał do siebie Samuela Vampa, dowiedział się, że medjum spędziło noc poza domem.

Gdy jednak do obiadu czekał na próżno, posłał lokaja do miss Edyty, prosząc ją i Ginettę do stołu.

Lokaj powrócił z listera i oznajmił, że obie panie, już wczesnym rankiem opuściły pokoje.

List był od Edyty.

Donosiła wujowi, że nie kocha księcia i zdecydowała się zerwać zaręczyny. Ażeby uniknąć bezcelowej dyskusji, wyjeżdża razem z Ginettą do Ameryki. Przeprasza wuja za strapienie, jakie mu wyrządza i prosi o zwrócenie księciu zaręczynowego pierścionka, który w tym celu pozostawia w paryskim banku Scotta.

Król kolejowy aż dusił się z irytacji.

Gdy już minęło niebezpieczeństwo ataku apopleksyjnego, popadł w ponury nastrój. Rozwiały się wszystkie jego nadzieje.

Stracony skarb Holendra, rozwiany sen o władzy nad światem!...

Jego siostrzenica opuściła go; nie ulega wątpliwości, że ją wydziedziczy. W tej sytuacji samotność była nie do zniesienia. Vamp? Co się z nim stało?

Podczas gdy Scott starał się jak najdelikatniej powiadomić księcia bladego ze złości, o postanowieniu i ucieczce swojej siostrzenicy, Edyta w towarzystwie Ginetty i Capistola, pędziła samochodem Dambruna w kierunku Paryża.

Czworo młodych ludzi postanowiło, że siostrzenica miliardera i Ginetta, którą uszczęśliwiała nadzieja rozejrzenia się w świecie, jak najszybciej wsiądą na okręt odjeżdżający do Nowego Jorku. Z niemi także ognisty Capistol. Dambrun z naciskiem prosił o to Edytę.

Mężczyzna może być bardzo użyteczny dworom młodym dziewczętom w czasie tak długiej podróży.

Lotnik był niespokojny. Nie mógł opędzić się myśli, że księżę Vixit wszystko uczyni, żeby zobaczyć pannę, która już omal nie została jego żoną. Czuł nieokreśloną trwogę, z której nie zdawał sobie jasno sprawy. Musiał on pozostać jeszcze kilka tygodni w Paryżu, żeby uporządkować swoje sprawy. Poczem i on miał wsiąść na statek i wyjechać do Ameryki.

\*\*\*

Obawiając się, że wuj może się jej energicznie sprzeciwić, Edyta nie zatrzymała się w Saint-Cloud. Obie panny zamieszkały w hotelu i w dwa dni potem wsiadły z Capistolem w Hawrze na „Lewiatana. Edyta i Ginetta dzieliły luksusową kajutę. Do obsługi miały podczas pierwszych trzech dni, miłą, zręczną pokojówkę.

Rano, czwartego dnia podróży, zawiadomiła je pokojówka, że przeniesiono ją na inny korytarz, co niemiłe dotknęło Edytę.

Wzamian przydzielono im, dużą, chudą służącą o lnianych włosach i ponurym wyrazie twarzy.

Gdy Edyta i Ginetta siedziały rozmawiając, pokojówka krzątała się koło nich ustawicznie, przesuając się tak cicho, jakby chciały żeby zapomniano o jej obecności. Było to podejrzane, ale nawet Capistolowi, który długie godziny przepędzał z pannami, nie przyszło na myśl podejrzewać umyślnej powolności, z jaką pokojówką sprzątała pokój i skrupulatnie ścierała kurz w każdym kącie.

Pewnego razu usłyszał Capistol, który z przyzwyczajenia spacerował po kajucie, szmer jakiś pode drzwiami.

Mrugnął na obie panny i podkradł się cicho do drzwi i otworzył je jednym szarpnięciem.

Ujrzał przed sobą Stewarta, który przerażony, aż skurczył się pod drzwiami, pod którymi podsłuchiwał.



Gorąco kąpany Capistol skoczył na niego, złapał za kołnierz i zaciągnął do kajuty.

Stewartem był skośnooki Chińczyk mocno zmieszany, że dał się złapać.

--- Czegoś tu szukał?

Syn nieba bełkotał niejasne tłumaczenia w jakimś niezrozumiałym języku.

– Marsz! Teraz pójdziesz ze mną do kapitana. Ten cię już nauczy, co to znaczy podsłuchiwać pod drzwiami.

Chińczyk rzucił młodemu dziewczętom niepewne spojrzenie i błagalnie wznosił ręce.

– Niech mu pan daruje, tym razem przebaczymy mu jeszcze – rzekła Edyta.

Poeta pokazał mu drzwi i w momencie, w którym marynarz wśród tysiąca ukłonów, odwrócił się tyłem, dał mu w pewną nie bardzo szlachetną część ciała takiego kopniaka, że ten już w korytarzu wyciągnął się jak długi.

Kilka sekund leżał tak jeszcze z opuszczony głową. Dopiero gdy Achilles zamknął drzwi, zaczął się powoli podnosić. Łypnął okiem w lewo i w prawo, by się upewnić, że nikt go w tym położeniu nie widział, poczem zatrzymawszy wzrok dłużej na luksusowej kajucie, dzwignął się z ziemi. Jego oblicze zmieniło wyraz. Nie był to już ten sam pokorny człowiek... jego czarne oczy rzucały płomień, usta w straszliwym grymasie ukazywały olśniewającą białą zębów dzikiego zwierzęcia a wyciągnięta prawa ręka kreśliła kaba-listyczne znaki w powietrzu.

Potem znowu wrócił mu dawny wygląd, oczy utraciły blask, plecy przygarbiły się i utykając znikł w głębi korytarza, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

\*\*\*

Wieczorem tego samego dnia, gdy właśnie dzwoniło na obiad, dostała Edyta silnego bólu głowy. Przeprosiła Ginettę i Capistola, że ich opuszcza, gdyż

przekłada świeże po wietrze pokładu nad pobyt w sali jadalnej.

Noc była piękna i ciepła, bryza łagodnie muskająca fale orzeźwiła młodą Amerykankę. Położyła się na leżaku.

Myśli jej krążyły koło Filipa. Miała nadzieję, że następnym okrętem przybędzie on do Ameryki.

Uśmiechała się poddając się swoim marzeniom, gdy nagle okręt zwolnił swą chyżość.

Z daleka dolatywały do niej słowa jakiejś komendy.

Przestraszona Edyta obejrzała się za siebie; chciała się do wiedzieć, co zaszło, lecz nie odkryła nikogo na pokładzie, gdyż wszyscy pasażerowie siedzieli o tym czasie przy stole.

Podniosła się i uszła kilka kroków, chcąc odszukać kogoś z załogi, który by mógł jej wyjaśnić zamieszanie.

Przeszkoda którą sygnalizowano, był to jakiś statek nieruchomy i nie- oświetlony przepisowa Wywołało to wielkie poruszenie wśród marynarzy.

Wszyscy bez wyjątku pomyśleli patrząc na okręt mający w mgle wieczornej, że jest to „Latający Holender”.

– To oznacza nieszczęście, chłopcy – mruknął jakiś bretoński marynarz.

Nagle zabrzmiał krzyk... przeraźliwy krzyk... krzyk śmiertelnej trwogi... dobywający się od strony luksusowych kajut.

Pasażerowie rzucili się na pokład.

Czarny okręt zniknął w mgle...

Komendant nakazał zatrzymać statek, by zrobić przegląd pasażerów. Było z tem dosyć roboty. Brakowało jednej osoby! młodej panny! Miss Edyty Scott.

Wysłano łódź ratunkową, aby nie zaniedbać ostatniej, choć beznadziejnej próby.

Ginetta i Capistol byli bliscy obłędu ze zdenerwowania. Łkając, czyniła sobie młoda Paryżanka gorzkie wyrzuty, że zostawiła przyjaciółkę samą.

Kapitan przesłuchiwał oboje:

– Czy panna Scott nigdy nie myślała o samobójstwie?

– Nigdy... kochała bardzo życie... za kilka tygodni miała wyjść za mąż...

– Widocznie wrzucono ją do wody... nic innego zrobić nie mogło... Pokład jest oszklony i zamknięty, nie mógł zrobić nieszczęśliwy wypadek.

Capitol nie dokończył jeszcze zdania, gdy naczelny kucharz oznajmił że jego pomocnik. Chińczyk Li Sang, tak samo zniknął bez śladu.

Mr. Scott, jak również Dambrun dowiedzieli się dopiero z gazet o zniknięciu miss Edyty.

Komunikat pojawił się w dziale ostatnich wiadomości, jako lakoniczny radiotelegram:

– „We czwartek około godz. w pół do jedenastej, gdy „Lewiatan” zwolnił nieco biegu, by wyminąć nieznany, pozbawiony światła okręt, jedna z pasażerek, miss Edyta Scott, siostrzenica znanego króla kolejowego, wpadła do morza i znikła. Po bezskutecznych poszukiwaniach i próbach ratunku, „Lewiatan” ruszył w dalszą drogę”.

Mimo swoich dziwactw Jeremiasz Scott kochał tkliwie swoją siostrzenicę.

Gdy więc od nowego sekretarza – gdyż Vamp zniknął – dowiedział się o wypadku, łzy stanęły mu w oczach.

Ciężkie przygnębienie owładnęło tym zimnym człowiekiem, który nigdy nie doznał w życiu prawdziwego cierpienia.

Na cóż się zdadzą wszystkie miljardy, majątki i doczesne dobra gdy niema nikogo komu by mógł je zostawić pewnego dnia?

Poraz pierwszy odczuł król kolejowy osamotnienie, pod którym się załamał.

Otworzył z wolna szufladę biurka i wyjął kasetkę z sandałowego drzewa.

Zawierała ona fotografie. Scott wyszukał wszystkie

podobizny swojej siostrzenicy od najwcześniejszego dzieciństwa, i oczy jego napełniły się łzami. Nagle usłyszał urywaną dyskusję i przez gwałtownie uchylone drzwi wpadł blady jak trup Dambrun.

– Niech mi pan wybaczy panie Scott – wyrzucił z siebie lotnik – ale musi pan mnie wysłuchać. Dzienniki donoszą, że pańska siostrzenica uległa nieszczęśliwemu wypadkowi?... To nieprawda!... Przypuszczam, czuję... Wierzej mi pan, mr. Scott, pańska siostrzenica żyje!

Słowa Dambruna były tak sugestywne, że i miliardier poczuł iskierkę nadziei.

Młody człowiek gorączkowo ciągnął dalej:

– Miss Edyta znikła na pełnym morzu? Dobrze. Wiadomość nie kłamie, tak było! Ale miss Edyta zginęła właśnie w chwili, gdy sygnalizowano jakiś nieoświetlony okręt. A ten okręt, to „Latający Holender”.

Mr. Scott westchnął. Tak, tak było! Tylko chyba oszołomieniu na skutek tragicznej wiadomości, przypisać należy, że od razu nie powiązał ze sobą ukazania się okrętu i zniknięcia swojej siostrzenicy.

Kapitan upiorów w gniewie z powodu odmowy, wprowadził swoją narzeczoną do państwa cieni.

– Edyta umarła – szepnął zdławionym łzami głosem.

– Nie, po stokroć nie! Lecz grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Musimy podążyć za nią, musimy ją ratować. Amerykanin nie rozumiał.

– Pańska siostrzenica jest uwięziona na pokładzie tak zwanego statku upiorów. Musimy natychmiast próbować ją ratować.

– Jak się wziąć do tego?

Ma pan przecież jacht, zdatny do dalszych podróży i załogę gotową do drogi?

– Tak.

– A więc w drogę!... Będę panu towarzyszył.. Przysięgam, że zobaczy pan miss Edytę i dotrzymam słowa!

Ktoś zapukał. Lokaj przyniósł jakiś list. Miliarder otworzył go, przeczytał i wręczył Dambrunowi.

Arkusz pergaminowy ozdobiony winjetką statku upiorów zawierał następujące słowa:

*„Proszę się udać natychmiast do mnie, do Zatoki Umarłych na wybrzeżu bretońskim. Będzie pan miał przyjemność spotkać na pokładzie mojego statku swoich znajomych.*

*Kapitan Piotr Maus dane w porcie amsterdamskim. ”*

Oczy Dambruna zajaśniały:

– Czyż nie powiedziałem tego panu? Panna Edyta znajduje się w rękach szajki najgroźniejszych zbrodniarzy i te draby wzywają pana w celu wymuszenia okupu. Miljarder potrząsnął smutno głową. Próbował wyjaśnić młodemu człowiekowi, że załoga statku duchów składa się wyłącznie z umarłych, oraz że całe złoto świata nie potrafiłoby zmienić postanowień kapitana.

– Dobrze, dobrze! – zawołał Filip w najwyższym wzburzeniu – jestem pewny, słyszy pan? Jestem zupełnie pewny, że nie z umarłymi mamy do czynienia! Niech pan przygotuje swój jacht do podróży. Niechże pan zadesperuje... pomogę panu.

I gdy zjawił się sekretarz, mr. Scott ledwie wiedząc co się z nim dzieje ze zdenerwowania, podyktował mu depeszę do kapitana Le Froch, polecając mu najbliższym pociągiem udać się do Hawru, wraz z Fanfanem, Lanoix i kucharzem Monpapa.

### Zatoka umarłych.

Owego dnia zawrzało życie na pokładzie „Rekina”. Pod rozkazami Gouriadera, marynarze rychło przygotowali jacht do odjazdu.

W salonie Scott i Dambrun wiedli ożywioną rozmowę. Młody człowiek rozwijał przed Amerykaninem swój plan. Skoro już zarzucą kotwicę naprzeciwko statku upiorów, Dambrun tylko z Fanfanem i Lanoix uda się tam, by pomówić z tajemniczym kapitanem.

Wstrzymywany zrozumiałym wstydem, Scott nie powiedział lotnikowi, że Piotr Maus i księżę Vixit, to

jedna i ta sama osoba. Bogatemu Amerykaninowi niemiło było się przyznać, że z własnej chęci związał siostrzenicę z jakimś indywiduum, które i on sam począł uważać za wyrafinowanego awanturnika. Z ochotą więc przyjął propozycję Dambruna.

Po zachodzie słońca zakazał Gouriadec załodze opuszczać statek. Oficer znał swych marynarzy za dobrze, by nie obawiał się, że nie potrafią się oni oprzeć ponętom szynków portowych.

Lecz Monpapa zapomniał kupić pieprzu. A czyż można ugotować coś dobrego bez pieprzu?

Gdy nasz korpulentny przyjaciel dowiedział się o zakazie, popadł w istną rozpacz.

Fanfanowi zrobiło się go źal.

– Niechże się pan nie martwi, panie Monpapa. Przecież nie jesteśmy na okręcie wojennym. Nie trzeba stosować się tak ściśle do rozkazu. Grunt, żeby się pan nie dal złapać. Wobec tego, że mostek nie jest jeszcze podniesiony, może pan łatwo przekraść się do kramarza, na rogu ulicy.

Monpapa poszedł za dobrą radą, przesmyknął się po mostku i zniknął w ciemnościach mola.

Ale jeszcze o godzinie dziesiątej wieczorem to znaczy w trzy godziny po jego odejścia, jeszcze go nie było z powrotem. Fanfan i Lanoix za bardzo zaniepokojeni, aby mogli iść spać, wałęsali się wokół po pokładzie.

– Powiedz no Lanoix, co myślisz o tem? Nie trzeba przecież trzech godzin na zakup woreczka pieprzu?

– Oczywiście – odparł pomywacz, postrząsając głową. – Ale znałem pewnego człowieka, który powiedziawszy swojej żonie, że idzie kupić paczkę tytoniu, powrócił dopiero w dwadzieścia lat później.

– Poczekaj, tam idzie oficer, opowiem mu wszystko.

W kilku słowach powiadomił Fanfan Gouriadeca o niezrozumiałem zniknięciu kucharza. Marynarz zmarszczył czoło.

– Ten drab upija się gdzieś pewnie w jakiejś knajpce.

– O nie, pan Monpapa pije tylko wodę mineralną

--- Ale gdzież tkwi w takim razie?

– Ha, gdybym to wiedział...

– Wróćcie na ląd... nikt was nie zobaczy...  
sprowadźcie go tu!

Chłopcy zaglądali od jednego szynku do drugiego. O północy, nie natrafiwszy na żaden ślad powrócili na statek; Antoni Monpapa wpadł jak kamień w wodę.

\*\*\*

Podczas gdy Fanfan i Lanoix opowiadali o niepowodzeniu swoich poszukiwań, Filip Dambrun pożegnawszy się ze Scottem udał się do swojej kajuty. Ledwie przekręcił wyłącznik elektryczny, gdy na swojej poduszce zauważył jakiś pergamin.

Był to list werbunkowy... List werbunkowy, który ani na jotę nie różnił się od tych, które znaleziono przy zwłokach samobójcy z mostu Jena i nurka Walentego Mouflarda, z tą tylko różnicą, że na obecnym wypisano nazwisko Dambruna.

Filip był odważny, ale gdy wspomniał los wspomnianych ofiar, przeniknął go chłodny dreszcz. Natychmiast pospieszył do Scotta, ażeby go zawiadomić o groźnym odkryciu,

Ten potrząsnął głową i zabobonność odezwała się w nim na nowo, gdy Dambrun zawołał:

– Dziś, oprócz naszej załogi, nikt nie wchodził na pokład! To dowód, że nasi wrogowie mają swych wspólników wśród pańskich ludzi.

W kwadrans później, stanęli na międzypokładzie wszyscy, zaspani marynarze.

Każdy z osobna został przesłuchany przez Dambruna.

Ale na żadnego nie mogło paść podejrzenie.

Wszyscy byli dziećmi Bretanii, Gouriadec, który znał ich dobrze, ręczył za nich. Winowajcy trzeba było, zatem szukać chyba w personelu kuchni.

Personal ów składał się z Fanfana, Lanoix i pana Monpapa. Lecz Monpapa ulotnił się w niewyjaśniony

sposób.

Jeremjasz Scott powziął natychmiast podejrzenie.

– Ten jest szpiegiem – powiedział, trzęsąc się z złości.

Ody Fanfan usłyszał to oskarżenie, zaprotestował:

– Nie sądź pan tak! Z pewnością coś mu się przytrafiło... lecz nie jest on zdrajcą, to wykluczone.

Scott nie wydawał się przekonany, lecz cofnął się do kajuty, mrużąc coś pod nosem.

Gouriadec odprawił zebraną załogę i marynarze ułożyli się znowu do snu w swoich kojach.

Filip Dambrun był jak rażony piorunem. Niewyjaśniona była dla niego rola, którą w tej sprawie grał Monpapa. Wziął obydwu chłopców na stronę i rzekł:

– Wy znacie pana Monpapa tak samo jak i ja. Ma on dobroduszne tłuste oblicze, z którego promieniuje naiwność i uczciwość, ale gdy się zastanowicie, przyznacie, że jego postępowanie jest podejrzane.

Nie należy zawierzać pozorom. Wiecie tak samo dobrze jak i ja, że dramat, który się teraz toczy i który nie dobiegł jeszcze do końca, zaczął się na Wieży Eiffla. Nie byłem ani razu na wieży, żebym nie spotkał tam owego Monpapa.

– Bo chciał schudnąć.

– To dziecinny wykręt. Ten człowiek potrzebował pretekstu, iżby mógł dwa razy dziennie piąć się na szczyt wieży; jego anormalna tusza była mu w tym pomocna. Mojem zdaniem, robił on wszystko możliwe, ażeby ośmieszyć się i odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia.

Fanfan był wyraźnie podrażniony i przytupywał ze złością nogą. Juljusz Lanoix nie odpowiedział jednak ani słowa, potrząsnął wolno głową i przygryzł wargi. Podejrzliwość tkwiąca w naturze chłopca ujawniła się i gotów był sam podzielać przypuszczeń króla kolejowego i lotnika.

– No, nie denerwuj się Fanfan, to niema sensu! Lepiej popatrzeć prawdzie w oczy. Czy rzeczywiście



wiesz tak dokładnie, kim właściwie jest Monpapa?

– Tak, jest on rentjerem.

– Kto ci to powiedział?

– On sam.

– Ach tak! A więc gdyby ci powiedział, że jest synem króla Menelika, wierzyłyby i temu? Jedno jest niewątpliwe, że Monpapa za każdym razem, gdy zjawia nurka pokazywała się na wieży, tkwił w jakimś kącie. A tej nocy, kiedy umyślnie daliśmy się zamknąć, i on także, po zamknięciu bramy, spacerował wszędzie, jak u siebie w domu.

--- O tem nie pomyślałem nawet – zawołał Filip – musisz przyznać Fanfan, że jest to w najwyższym stopniu zagadkowe!

Fanfan wzruszył ramionami.

– Chodźmy lepiej spać! Nie mamy już tak wiele czasu na sen. To zawsze lepsze, niż gadać głupstwa.

Powróciwszy do swojej kajuty, Dambrun zamknął drzwi na klucz. Nim się wyciągnął na łóżku, zbadał przezornie rewolwer i schował go pod poduszkę.

Następnego wieczora, na krótko przed północą zawinął „Rekin” do ujścia Zatoki Umarłych.

Filip kazał przygotować łódź i wyszedł mocno zdenerwowany na pokład, wraz ze Scottem, Fanfanem i Lanoix.

Koło północy zdenerwowanie jego jeszcze wzrosło. Młody człowiek obawiał się przede wszystkim tego, iżby „Latający Holender” nie spóźnił się na umówione spotkanie.

Nagle jednak, z mgły wynurzył się czarny okręt.

Jeremjasz Scott rozkazał zarzucić kotwicę.

Łódka, do której wsiadł Dambrun ze swoimi towarzyszami, została spuszczone na morze, po stronie przeciwnej statkowi upiorów. Jeszcze omal nie dotknęła wody, gdy lotnik wziął się do wiosł. Wątku łódeczka zniknęła w ciemnościach nocy.

Dambrun wziął z sobą rewolwer. Fanfan i Lanoix także zaopatrzyli się w broń.

Gdy nasi trzej przyjaciele znaleźli się w cieniu statku upiorów, zauważyli łódź s trzema ludźmi w kapturach, która szybko płynęła w stronę Rekina".

– A więc udało się – rzekł cicho Lanoix – nie zauważyli nas i jak poprzednim razem, wyjechali po pana Scotta.

– Tak jest, udało się! – szepnął Dambrun.

– To jest łańcuch kotwicy. Przywiążcie silnie łódkę. Prędko! – komenderował.

Chłopcy usłuchali. Przymocowali łódkę do grubego łańcucha, który ginął w wodzie.

– Tak, a teraz czekajcie na mnie!

– Co pan chce zrobić?

– Wyspinam się na górę po łańcuchu.

– Sam?

– Tak... A gdybym nie powrócił, pojedziecie z powrotem na statek i módlcie się za moją duszę.

Fanfan aż podskoczył:

--- O, co to, to nie; będziemy panu towarzyszyli!

– Nie. zabraniam wam.

Lotnik chwycił za łańcuch i zniknął szybko z oczu Fanfana i Lanoix, którym strach zdławił gardło.

Łańcuch nie poruszał się już. Młody człowiek wspiął się już poza burtę i stanął na opustoszałym pokładzie.

Oczy jego usiłowały przebić ciemności. Mimo iż nie znał trwogi, ciarki przeszły mu po skórze. Zniszczony, rozpaczliwy wygląd statku, musiał przerazić najodważniejszego. Wydobył latarkę kieszonkową i ostrożnie oświetlił sobie drogę. Wszystko opustoszałe, wymarłe. Wszędzie zaduch zgnilizny. Otwarte drzwi wiodły ku ciemnym schodom.

Zeszedł w dół o kilka stopni i ujrzał promień światła.

Wtedy zgasił swoją latarkę.

Serce jego pod wełnianą kamizelką, biło tak mocno, że zdawało mu się, że słyszy jego spieszne uderzenia.

Wyszedł na międzypokład.

Stojąca na ziemi latarnia, rozjaśniła drogę bladym, zielonym światłem.

Nagle otwarły się drzwi kajuty i jakiś wysoki mężczyzna, ubrany w bryczesy i koszulę z okrągłym kołnierzem, podszedł do niego, mówiąc:

– Bravo! Jak widzę, wziął pan poważnie werbunek i zjawił się pan na pokładzie statku upiorów. Witam pana, panie Dambrun!

Gdy lotnik wszedł do kajuty kapitana Piotra Mause, od razu poznał w nim księcia Viact, narzeczonego Edyty.

Zmieszało go to do *tego* stopnia, że musiał przyzwać na pomoc całą siłę woli, by zachować spokój.

– Zechciej pan usiąść panie Dambrun. Niewiem, czy się nie mylę, ale pan wydaje się być bardzo podniecony.

Młody człowiek pominął to pytanie milczeniem.

Kapitan śmiejąc się, ciągnął dalej:

– Wiem bardzo dobrze, że zamiana jedne go świata na drugi nie odbywa się bez silnego wstrząsu nerwowego. Niechże pan naprzód odpocznie!

Dambrun z ciekawością oglądał starodawne przedmioty na biurku kapitana. Zwolna wróciła mu przytomność umysłu. Znajdował się bezwątpienia na statku tak zręcznie urządzonym, że wszystkich, którzy mieli na tyle odwagi, by go odwiedzić, musiało ogarnąć przerażenie.

Lecz on przybył tu po to, by wyswobodzić Edytę, i zdawał sobie sprawę, że tylko fortem zdoła przeprowadzić swój plan.

– Otrzymałem pańskie pismo werbunkowe – odrzekł możliwe pewnym głosem i jak pan widzi, pospieszyłem na wezwanie.

– To bardzo rozsądnie z pańskiej strony. Czemu buntować się przeciw zrządzeniom losu? Trochę wcześniej, czy później... Oszczędził nam pan niepotrzebnego trudu sprowadzenia go tutaj siłą. Postąpił pan rozsądnie, uprzejmie. Pozwoli pan sobie podziękować. Lekko ironiczny ton rzekomego Holendra począł Dambrunowi działać na nerwy. W tej chwili zastukał ktoś do drzwi

--- Proszę — rzekł spokojnie kapitan.

Na widok wchodzącego lotnik drgnął z przerażenia. Obszarpany marynarz, który wszedł do kajuty miał tak potwornie zniekształconą twarz, że pióro wzdryga się przed opisem.

Oblicze to, bez nosa i warg, szczyrzyło zęby, a z jamy ustnej dobywały się chrapliwie dźwięki, w nieznanym lotnikowi języku. Po chwili upiorny marynarz wyszedł.

Donoszą mi właśnie, że pan Scott nie chciał panu towarzyszyć... Ten Anglik jest zupełnie niewychowany... Ja dosyć często bywałem u niego, gdy zabłąkałem się na ziemię; mógłby mnie już zrewizytować. Dambrun mruknął:

— To straszidło, które tu było przed chwilą... co to było?

Pytanie, jak się zdawało, zaskoczyło Piotra Mause.

--- Mój marynarz — Dzielny chłopiec... jak i inni — Ten jest tu już długo.

— Lecz ta potworna głowa?

— Ach, zauważył to pan? Niech się pan uspokoi, po kilku już dniach przyzwyczai się pan i przestanie zwracać na to uwagę — Tak, naturalnie nie można jednocześnie być i przeminać... Znałem go jeszcze jako eleganckiego, ładnego chłopca, znanego zdobywcę rorc, a teraz — Zresztą, czy nie chce pan zwiedzić mojego statku?

— Chętnie — rzekł Dambrun i podniósł się.

Myśl by odnaleźć Edytę, powróciła mu energję. Gdy Piotr Maus wyprowadzał go z kajuty, namacał niepostrzeżenie rewolwer w kieszeni.

— Tutaj kajuta oficera, oraz kajuty pasażerskie.

— Ma pan czasem i pasażerów? — zapytał Dambrun, przystając.

— Rzadko. Ale już się zdarzało. Tak, dziwaków, których nie interesowało życie na pokładzie. Więc wysadzaliśmy Ich na otwartem morzu, gdzieś tam — wszystko jedno gdzie. Czy chce pan dla siebie wybrać kajutę?

– Dziękuję, będziemy mieli jeszcze na to czas i później – uciał lotnik, który coraz bardziej kipiał gniewem.

– Tak, istotnie czasu mamy aż nadto. Niech pan popatrzy, tu jest salka, w której przebywamy wieczorem i rozmawiamy o minionych zdarzeniach. Jest to zawsze mała rozrywka. Opowiadamy sobie o naszym przeszłym życiu. Są niektórzy między nami, którzy wiele mają poza sobą. Zobaczysz pan, nie będzie się pan tu nudził.

Filip nie mógł się już powstrzymać:

– A kobiety? Kobiet nie ma pan na statku?

Energiczny sposób mówienia Dambruna, podrażnił Piotra Mause. Zmarszczył czoło i oparł się ręką o ścianę. Dopiero po chwili odpowiedział:

– Kobiety?... Tak, czasem... gdy w toku podróży napotkamy ciała topielic, wyławiamy je naturalnie.

W mgnieniu oka skoczył lotnik na kapitana i chwycił go za gardło.

– Łajdaku! Mnie pan nie oszuka, ja przejrzałem pańską bezwstydną komedję. Niech mi pan odda Edytę!!!

Obaj mężczyźni tarzali się po podłodze w zacieklej walce. Filip czuł, jak pod wpływem wściekłości zdziesięciokrotniły się jego siły. Już klęczał triumfując na piersi przeciwnika, gdy nagle otrzymał silny cios w kark. Wydał rozpaczliwy krzyk i odskoczył... stało za nim czterech ludzi – czterech marynarzy potwornych jak tamten.

Potężnym uderzeniem pięści pchnął Dambrun jednego z nich na ścianę z desek, łamiąc mu żebra. Lecz w walce dotknęły jego policzka wyszczerzone zęby jednego z napastników... Przejęło go tak nieludzkie obrzydzenie, że stracił na moment przytomność. Gdy ją odzyskał, było już za późno. Nie mógł się poruszyć, gdyż sześć silnych rąk, przydusiło go do ziemi. I już związał go Piotr Maus, tak silnie, że więzy wrzynały się w ciało.

– Taki sam jak i inni – warczał kapitan. – Złościć się – to jest zawsze pierwsze! A więc zapomniał pan już, że jesteś umarły między umarłymi. Pokażcie no, wasze śliczne buzie, moje gołąbki, żeby ten pan zdał sobie z tego jasno sprawę.

Filip zamknął oczy, ale czuł ohydny oddech marynarzy tuż na swojej twarzy. Zrobiło mu się niedobrze, wpił w ciało paznokcie, by znowu nie zemdleć.

Kapitan przechadzał się przed nim w teatralnej pozie.

– Najpóźniej jutro, weźmie pana do roboty Wielki Admirał, wtedy nie będzie się pan już odróżniał od swoich towarzyszy. Zresztą, przyprowadźcie no szybko naszego nowego marynarza, którego pan Dambrun znał na ziemi pod nazwiskiem Samuela Vampa. Jestem ciekaw, czy go pozna.

Teraz wiedział Filip, że medjum również znajduje się na straszliwym statku. Rozpacz jego była bezgraniczna, gdy pomyślał że Edyta jest dla niego stracona, i że jeśli naprawdę znajduje się tutaj, wcześniej czy później stanie się łupem bestji rządzącej statkiem.

W tym momencie zabrzmiał przeciągły, okropny krzyk. Wszedł człowiek, wsparty na dwóch szkaradnie wykrzywiających twarze, **marynarzach**. Dambrun, ku swojemu przerażeniu, rozpoznał czarne oczy Vampa w twarzy, która nie miała w sobie jut nic ludzkiego.

Lecz teraz opuściły go siły – Za dużo już przeszedł... Zrobiło mu się ciemno przed oczami i zwałił się zemdlony na ziemię.

\*\*\*

Minęła godzina, od czasu gdy Dambrun udał się na statek umarłych. Fanfan i Lanoix w wielkim strapieniu i trwodze o jego życie, ujrzeni powracającą łódź z zakapturzonymi ludźmi.

Potem już nic więcej – Nic, tylko cisza i noc.

– Gdyby mu się powiodło, byłby już od dawna z powrotem – zauważył wreszcie Fanfan. – A jak ty

sądzisz?

W kilka minut później, dwaj przyjaciele wspięli się także na pokład. Nie porozumiawszy się ani jednym słowem, każdy z nich trzymał rewolwer w pogotowiu.

– Mamy iść dalej?

– Tak. lecz ostrożnie!

Księżyc wyjrzał z poza chmur i pokazał im rozpaczliwą pustkę przeklętego okrętu.

– Do licha! Wolałbym, żeby było ciemno.

– Pst! Ktoś idzie.

Obaj chłopcy ukryli się za dużym zwojem lin.

Kroki zbliżyły się.

Cień jakiś przesunął się koło nich i pojawił na oświetlone księżycem części pokładu.

– Słuchaj no Fanfan, jak na ducha jest on stanowczo za gruby! Zwróć uwagę na tę tuszę.

– Czyż nie jest to nasz Monpapa?

– No więc, kto miał rację? Teraz widzisz, że i on należy do bandy!

– Nie do wiary! Nie pojmuję tego!

– Nie będzie łatwo unieszkodliwić go. Ale jeśli wyda z siebie choć jeden dźwięk, zaduszę go i wrzucę do morza.

Niekształtna sylwetka wychyliła się za burtę, głowę oparła na dłoni.

W tej samej chwili, chłopcy złapali go za kołnierz.

– Ani słowa! Albo zlecisz w morze – rzekł Lanoix, z podniesioną pięścią.

Grubas odwrócił się.

– Ach – szepnął – jut jesteście?

Brzmienie jego głosu było tak naturalne i wesołe, że Fanfan puścił go z wolną, a ręka Lanoix opadła.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytał Lanoix władcym tonem sędziego śledczego.

– Ja?... Ja umarłem, moi kochani.

– Bez głupich żartów!

– Jestem umarły, przysięgam wam, a wy dwaj także nie żyjecie.

– My?

– Ależ naturalnie! Lecz nie zauważa się tego tak zaraz. Jeszcze dziś rano nie wierzyłem temu, lecz wreszcie musiałem się z tem pogodzić.

Fanfan spojrział na Lanoix. Albo Monpapa zwarzjował, albo, co było prawdopodobniejsze. chciał sobie z nich zakpić.

– Tu wszyscy są umarli – Jesteśmy w zaświatach, nie wiecie o tem?

– Czy nie zechciałby pan nam uprzejmie opowiedzieć, jakim sposobem ze sklepu, gdzie kupił pan pieprz, znalazł się pan aż tutaj?

– Ba, tego sam nie wiem.

– Oszuście! – krzyknął nań Lanoix. – Powrócił pan do swojej bandy. Przejrzałem cię nawy lot, zdrajco!

– Ależ co znowu, posłuchajcie mnie. Gdy wracałem już na „Rekina” z workiem pieprzu na plecach, (był to mały woreczek pięciokilowy), zauważyłem dwóch mężczyzn na kładce wiodącej z tylnego pokładu jachtu na molo. Zdawali się oni już opuszczać „Rekina” i skryli się przedemną. Chciałem odważnie przychwycić ich na gorącym uczynku, bo zdawało mi się że są to zwyczajni złodzieje, gdy w tem draby zauważywszy, że ich wysłodziłem, rzuciły się na mnie i zabiły mnie.

--- Co?

– Tak, dostałem cios pięścią między oczy i popadłem w omdlenie, z którego obudziłem się martwy.

Fanfan szturchnął w bok swego kolegę.

– Kto to panu powiedział, że pan umarł?

– Wszyscy ludzie tutaj... wszyscy, którzy są tu umarli. Po mnie nie widać tego jeszcze. Lecz inni mają całkiem nieprzyjemny wygląd... trzeba się do tego wprzód przyzwyczaić.

Fanfanowi i Lanoix rozjaśniło się w głowie. Naiwny Monpapa został uwięziony i w nieprzytomnym stanie przewieziono go na statek, gdzie załoga wzięła go sobie za przedmiot żartów.

– Czy nie widział pan miss Edyty Scott?



– O tak! Utonęła, biedna! Jest tutaj!...

– Panna Edyta jest tutaj?... Trzeba było nam to zaraz powiedzieć. Niechże mnie pan posłucha; powiedzieć panu prawdę? Pan wcale nie umarł.

– Ależ – umarłem z wszelką pewnością!

– Dostyc tych bredni! Czuje pan to sztuknięcie?

– Oj!

Teraz się pan przekonał chyba, że żyjesz. Znajduje pan się jak i panna Scott w niewoli u łajdaków, którzy są zdolni do wszystkiego. Oni tylko wmówili w pana, że pan umarł.

– Czy to możliwe?

– Lecz wobec tego, że się pan zorientował w sytuacji, poprowadzi nas pan... Czy widział pan pana Dambruna?

– Zaraz, niech sobie przypomnę! Widziałem skrepowanego człowieka, wleczonego do kajuty. Myślałem, że to jakiś opiorny umarły.

– To on napewno! Niech pan nas zaprowadzi do tej kajuty.

Monpapa, nie zdając sobie widocznie sprawy z niebezpieczeństwa, któremu sam lażł w paszczę, poprowadził młodych ludzi pod podkład. Tam wskazał drzwi, zaryglowane z zewnątrz.

Fanfan odsunął rygiel. W kajucie było ciemno. Monpapa potarł zapałkę. Dambrun związany i z zakneblowanymi ustami, leżał na podłodze.

Lanoix przeciął więzy nożem. Filip zerwał się na równe nogi.

– Gdzie jest panna Edyta? – szepnął Lanoix w ucho panu Monpapa.

Grubas wziął go bez słowa za rękę i pociągnął za sobą, za nim podążyli Fanfan i Dambrun.

Otwarli jedną z kajut.

Jakaś postać leżała na podłodze. Filip poruszył ją. Poczuj łagodne ciepło spętanego kobiecego ciała.

Młody człowiek chwycił ją w ramiona i nie namyślając się ani chwili rzucił się do drzwi.

Pierwszy, mimo swego ciężaru, stanął przy łańcuchu kotwicy, na jednym ramieniu trzymał bezwładne, niemal bez życia ciało Edyty, wolną ręką ujął za łańcuch i począł spuszczać się w dół. Za nim Lanoix i Fanfan. Monpapa chciał podążyć za nimi, lecz straciwszy równowagę wpadł z głuchym pluskiem do wody.

Stanąwszy w łódce, położył Filip nieprzytomne dało ukochanej kobiety na spodzie łodzi, podczas gdy Lanoix i Fanfan złowili i wyciągnęli z wysiłkiem grubego Monpapa, który jak boja pływał wokół łódki.

Filip wyciągnął knebel z ust na pół zaduszonej młodej dziewczyny i zwrócił na nią światło kieszonkowej lampki, by nie zranić jej przy przecięciu więzów.

Okrzyk przerażenia i zawodu wyrwał się ze wszystkich ust.

Kobieta, leżąca przed nimi, która otworzyła właśnie oczy, nie była Edytą.

Fanfan patrzył osłupiały i poznał w niej tajemniczą nieznajomą z Wieży Eiffla, Verinę Korsoff, przyjaciółkę „mężczyzny w niebieskich okularach”, kobietę, która rozmawiała z Samuelem Vampem.

Gdy Dambrun jak oszalały, na nowo chciał się wdrapać na przeklęty statek, rozległ się w ciemności szatański śmiech.

Łańcuch kotwiczny szczęknął zgrzytliwie i uniósł się w górę i „statek duchów” przepadł ze swoją zdobyczą w cieniach nocy.

– Proszę mówić! Natychmiast! Jut będę wiedział, jak panią zmusić do zeznań!

– Nie. Nie powiem nic, gdyż nie mam nic do powiedzenia.

W salonie „Rekina”, spróbowali Scott i Dambrun, poddać nieznajomą przesłuchaniu.

– Nie mogę nic powiedzieć – oświadczyła tajemnicza nieznajoma. – Panowie tracicie swój czas, próbując wydrzeć mi tajemnicę, która nie do mnie należy.

Przynajmniej jednak nie będzie nam pani chciała

wmówić, że Piotr Maus, którego pani tak dobrze zna, jest duchem.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Lepiej nie badajcie panowie, kim jest książę. Rozporządza on takimi środkami, przeciwko którym ani pan, ani policja całego świata, nic nie wskóra.

– To się jeszcze okaże. Tymczasem zatrzymam tu panią w każdym razie, jako zakładniczkę, aż do powrotu Edyty.

Verina boleśnie wzruszyła ramionami.

– Niech pan czyni, co pan uważa za stosowne. Jeśli panu zawadza moje życie, niechże mnie pan zabije i wrzuci do morza. Nikt na świecie nie zażąda od pana rachunku.

– Nie jesteśmy mordercami – jesteśmy ludźmi żądającymi sprawiedliwości. Statek upiorów i jego załoga nie czynią już na mnie najmniejszego wrażenia. Złoczyńca, który rządzi statkiem, skończy na szubienicy.

– Być może. Lecz wtedy miss Edyta będzie stracona. Zapanowało smutne milczenie.

Mr. Scott płakał.

Dambrun poczuł, że opuszczają go siły.

### Salon inż. Eiffla.

Po powrocie do Saint-Cloud, miliardier i lotnik zamknęli Verinę w jednym z pokoi willi.

Dambrun, który posiadał rozgałęzione stosunki, natychmiast udał się do prefektury policji i rozmowa jego z komisarzem trwała blisko trzy godziny. Statek upiorów istniał rzeczywiście i był, nie ulegało to już żadnej wątpliwości, pływającą kryjówką awanturnika w wielkim stylu.

Należało tedy jak najprędzej unieszkodliwić go i gdyby to możliwe, odzyskać skradzione dokumenty, bezcenne wprost dla obrony państwa.

Nieco uspokojony powrócił Filip do Saint-Cloud. Mr. Scott oczekiwał młodego człowieka, wielce wzburzony.

Przed chwilą otrzymał właśnie przez jakiegoś nieznanego pismo od kapitana Mause.

Tekst brzmiał następująco:

*„Ponieważ pan obawiał się wstąpić na mój statek, zdecydowałem się sam poszukać pana. Będę jutro wieczorem, z uderzeniem północy, w małym salonie na trzecim piętrze wieży Eiffla. Będzie to ostatnia dla pana okazja uzyskania wiadomości o losie pańskiej siostrzenicy. Ale zaznaczam, że czuję nieprzezwyjęzony wstręt do szpiclów i ajentaów policyjnych. Gdy by mi zatem sygnalizowano ich obecność na Wieży, nie mógłbym przelamać tego wstrętu i poprosiłbym wówczas pana o wybaczenie mi nieobecności. Ucieszy mnie także widok pana Dambruna, jest to sympatyczny i obiecujący młodzieniec. W nadziei owocnego porozumienia z miliardem". Jeremjuszem Scottem, proszę go, aby był przekonany o moim głębokim szacunku*  
*„P. M. “*

Lotnik zwrócił uwagę na to, że list pisany był na zwyczajnym papierze bez winjetki, a ton jego świadczył, że ten, kto go pisał, przestał już grać komedję.

– Pójdzie pan naturalnie na to rendez-vous?

– Tak, z panem.

– Słowo „miliarder" jest ujęte w cudzysłów. Ten drab chce od pana okupu.

– Ależ zapłacę wszystko, czego zażąda... Muszę odzyskać moją, kochaną siostrzenicę!

– Doskonale! Jutro pójdę do zarządu wieży i poproszę o pozwolenie skorzystania o północy z salonu pana Eiffla.

\*\*\*

Gdy Dambrun, następnego ranka uzyskał rzeczywiście pozwolenie, o które prosił, zapoznał go dyrektor Wieży Eiffla z szefem technicznych urządzeń, inżynierem Deraultem, szczupłym, młodym człowiekiem, który zwrócił na siebie uwagę lotnika, już za jego poprzednią bytnością na wieży.

Gdy obydwaj wyszli z biura zarządu, rzek inżynier:

– Przypuszcza pan chyba, że dokładnie znam Wieżę. Lecz od czasu, gdy tam na górze znaleziono powieszono-  
nego nurka, wydaje mi się Wieża zupełnie zmieniona.

– To pewne, że zorganizowana szajka zbrodniarzy wybrała ją jako miejsce schadzek. Jestem przekonany, że już dziś wieczorem przeżyjemy efektowny ciąg dalszy tej sprawy.

– Życzyłbym sobie tego! – mruknął inżynier. – W każdym razie bądź pan spokojny, dziś wieczorem ja także będę na górze i przyrzekam panu, że, jeśli zauważę coś szczególnego, postaram się dojść do sedna sprawy.

Młodzi ludzie pożegnali się.

Dzień był piękny i Wieża Eiffla rysowała się majestatycznie na lekko zachmurzonym niebie.

Dambrun spojrział na nią, przejęty zgrozą, gdyż ciągle myślał, że prawdopodobnie o północy, na szczycie tej Wieży, rozstrzygnie się los jasnowłosej miss Edyty.

\*\*\*

Kontroler Wieży Eiffla, który z własnej chęci zgłosił się do służby, towarzyszył późnym wieczorem mr. Scottowi Dambrunowi i Verinie Korsoff przy wchodzeniu na górę.

Czemu Anglik i lotnik zabrali ze sobą uwięzinną?

Prostu dlatego, że prosiła, by ukryta w jakimś kąciaku mogła przysłuchać się rozmowie z Piotrem Mausem i ponieważ przysięgła wystąpić w odpowiedniej chwili po to, aby uzyskać uwolnienie młodego dziewczęcia.

Dlaczego nie posłużyli się tym razem windą?

\*\*\*

Ponieważ w następstwie tragicznych wydarzeń, które w ostatnich czasach, rozegrywały się na terenie wieży, żaden z maszynistów nie dałby się być namówić do służby tej nocy w hali maszyn południowego filaru.

Wresz- cie wyszli na trzecią platformę. Miljarder wyjął z pugilaresu książęcy napiwek i wręczył go kontrolerowi który się natychmiast pożegnał by możliwie szybko zejść do oczekujących go w komorze północnego filaru, dwu stróżów nocnych. Miał on dopiero koło drugiej w nocy powrócić po nocnych gości.

Dambrun miał klucze i przeprowadził mr. Scotta i Verinę Korsoff przez przedpokój do salonu Eiffla.

Ukrył Verinę w łazience, której drzwi zostawił uchylone.

Scott usiadł na kanapie, lotnik koło niego na krześle. Do północy brakowało jeszcze dobrego kwadransa. Obu mężczyzn trapił niepokój czy Piotr Maus stawi się na schadzkę. Tego wieczora szczególnym lękiem przejmowała obecnych cisza panująca na Wieży.

\*\*\*

Z ostrożnością Indjan na ścieżce wojennej Fanfan i Lanoix, którzy także chcieli być obecni przesuwali się chyłkiem, na palcach, za inżynierem Dera ultem na czwartą platformę.

Udali się na takie miejsce, z którego można było oglądać wnętrze oświetlonego salonu. Inżynier kazał chłopcom cofnąć się o kilka kroków i stał teraz sam na swoim punkcie obserwacyjnym. Fanfan spojrział na swój zegarek na ręce, którego cyfry błyszczały w ciemności. Była północ. Nagle inżynier nachylił się. Zobaczył coś.

Tylko kilka sekund, poczem skinął na chłopców:

– Za mną! – rzekł energicznym głosem.

Wszyscy trzej zeszli na trzecią platformę i ukryli się za schodami dla służby.

– Jeśli nie posiada on skrzydeł – rzekł spokojnie Derault – musi wcześniej czy później przejść tędy.

Północ.

Zgrzyt... Cichy szmer... i zupełnie tak samo jak za pierwszym razem, z za pokostowanego na kolor drzewa środkowego filaru, wyłonił się nurek.

Scott i Dambrun podnieśli się. Nurek skinął na nich,

by usiedli na powrót.

Jakim cudem zjawił się ten człowiek w brązowym ubraniu, i w miedzianym hełmie nurka na głowie, nagle w tym salonie na wysokości trzechset metrów?...

Na to, mógłby w danym momencie oprócz nurka, jeszcze drugi człowiek odpowiedzieć, a mianowicie inżynier Derault.

Piotr Maus nacisnął guzik swojego hełmu i szybka zasłaniająca oblicze odskoczyła podobnie jak szkiełko zegarka.

--- Dobry wieczór, moi panowie rzekł dźwięcznym głosem. — Jestem zachwycony waszą punktualnością.

— Moja siostrzenica! — wybuchnął Anglik.

— Niech mi pan odda moją siostrzenicę!

— Nie chcę niecierpliwic dłużej wuja kobiety, która była oficjalnie mą narzeczoną. Miss Edyta żyje i doskonale się jej powodzi.

Twarz miliardera ożywiła się znowu.

— Odda mi ją pan? Zapłacę...

— Miss Edyta jest na moim statku. Lecz dobrowolnie. Nikt jej tam nie zatrzymuje. — Ależ tak, szanowni panowie! Mogliście już dziś wieczorem odzyskać miss Edytę, gdyby tego chciała. Ale właśnie życzyła sobie,żebym sam udał się na obecne spotkanie.

— Niech pan nie kłamie! Łajdaku!

— Tylko bez obelg — albo będę zmuszony przerwać rozmowę. Istotnie jestem szarlatanem, lecz wy przy mnie jesteście karłami, których mogę zniszczyć kiedy i jak zechcę. Radzę wam przeto, pozwólcie mi mówić bez przerywania mi.

Ten jego głos był tak zdecydowany, że nie tylko Scott, ale i Dambrun opuścił głowę.

Fałszywy nurek ciągnął dalej:

Urodziłem się pewnej burzliwej nocy. Wściekły łoskot wichru, pędził mnie odtąd po całym świecie, skroś rzezi i rewolucyj. Nie skłamałem, mówiąc, że jestem wyklęty od Boga... Nie jestem potępiony w zaświatach, lecz potępieńcem jestem jut tu, na ziemi.

Dambrunowi zdawało się, że z kryjówki Veriny Korsoff dochodzi go stłumiony płacz.

– Widziano mnie wszędzie, gdzie tylko płynęła krew, od Armenii aż po Ukrainę. Po trupach wiodła moja droga.

Zycie zawsze jeszcze stoi przedemną otworem, lecz poraz pierwszy czuję się znudzony. Czy nie miałbym już prawa do odpoczynku, wysłużony tyłu stronnictwom?... To serce twarde, którego bicia nie słyszałem dotąd, złagodniało przez zbliżenie się do czystego, słodkiego dziecka. Kocham miss Edytę... ona mnie kocha... Dlaczego nie miałbym prawa poślubić jej, skoro dopiero wczoraj prosiła mnie o to?

Filip podniósł się, mało brakowało, a byłby się rzucił na nurka, lecz ten stanął w pozycji obronnej i jednym spojrzeniem osadził go na miejscu.

– Jeśli pan zapomni się do tego stopnia, by podnieść na mnie rękę, na umię, który z taką ufnością przyszedłem tutaj, to ostrzegam pana, że staną się rzeczy straszne.

Mr. Scott zatrzymał Dambruna lęklwym gestem.

– Ile? Ile? Żeby nam pan oddał biedną Edytę?

Nurek rozsiadł się w fotelu.

– Poślubię Edytę przed Bogiem i przed ludźmi, pan zaś da jej sto milionów w posagu. Tylko za tę cenę ujrzy ją pan jeszcze.

– Ależ...

– Bez targów, zastrzegam! Szkoda na to pańskiego i mojego czasu!

Dambrun, który pasował się z sobą, by nie skoczyć do gardła awanturnikowi, powiedział wreszcie głosem drżącym ze złości.

– Pan pewnie zapomina, że i my mamy zakładniczkę. Kobietę, która bez wątpienia należy do pańskich wspólników.

– Verina – powiedział Maus i zaśmiał się. – Może pan ją zatrzymać... To natura niewolnicza, łatwo przywiąże się, może pan z niej zrobić lektorę, pannę do



towarzystwa, jeśli pan zechce, pokojówkę...

Nagle Verina stanęła przed nimi.

Nurek nie okazał po sobie zdziwienia, lecz podniósł się.

Kobieta, której wzruszenie dech zaparło, była prawie nieprzytomna.

Jak symbol nienawiści, szła wprost na Mausą.

– Powiem wam – powiem wam, kim jest ten człowiek – Myślicie, że to skazany przez Boga... to demon... to...

Światło raptownie zgasło.

Meble zwały się z hałasem, walczone w ciemności.

Dambrun wyjął rewolwer, zapalił latarkę kieszonkową i ujrzał, jak jakiś drugi nurek który niewiadomo skąd się zjawiał, unosił za sobą Verinę. Rzucił się za nim. Lecz drzwi zamknęły się automatycznie i oparły się atakom lotnika.

Gdy się odwrócił, kapitana już nie było i tylko mr. Scott, zrozpaczony płakał bezradnie.

\*\*\*

Inżynier, Fanfan i Lanoix ciągle jeszcze na swem stanowisku obok schodów, usłyszeli nagle jakiś szmer. Zapalili lampki kieszonkowe, rzucili się naprzód i przeszukali platformę. Lecz nie ujrzeli nic nadzwyczajnego. Nagle usłyszeli głośny stuk kroków kogoś biegnącego do schodów prowadzących na czwartą platformę.

Dambrun, który wreszcie otworzył drzwi salonu i przedpokoju, pędził bez tchu.

– Czy czego nie zauważyliście?

– Nie.

– A więc są jeszcze na górze – Spieszcie! Żywo!

Na posadzce trzeciej platformy odzywały się głuche stąpnięcia.

– Tędy – zawołał Lanoix – i rzucił się naprzód.

Dobiegli do windy.

Do odgłosów dołączyły się wołania i ciche jęki.

– Na pomoc! Na pomoc!

Derault zdenerwowany w najwyższym stopniu, przyklął na ziemi, poczem nagle podniósł się i z tryumfem krzyknął donośnie.

– Teraz wiem już wszystko... Wykryłem wreszcie tajemnicę!

### Trójkątne drzwi zapadowe.

– Zaświećcie latarki, przygotujcie broń – półgłosem wydał rozkaz inżynier.

Kłęcząc na podłodze, usiłował otworzyć małe trójkątne drzwi zapadowe położone na prawo od wyjścia z windy. Lecz ponieważ drzwi pozbawione były antaby, za pomocą której można je było łatwo podnieść, inżynier wciskając kopce palców za ich brzeg, musiał uczynić znaczny wysiłek by je otworzyć. Wreszcie drzwi podniosły się.

Z ciemnego otworu dochodził szum wody znajdującej się w zbiorniku położonym niżej.

Promień światła padł na Verinę, która z twarzą zakrwawioną, wisiała na szczeblu drabiny wchodzącej w wodę. Derault zeszedł niżej i w kilka sekund później powrócił z cudzoziemką, krwawiącą silnie z rany na czole.

Była bliska omdlenia.

Dambrun i Fanfan ułożyli ją na podłodze, podczas gdy inżynier zostawiwszy klapę drzwi otwartą mówił cicho jakby sam do siebie:

– Gdy wrzucili tu kobietę, musieli uciec schodami. Jaka szkoda, że nie zwróciliśmy na nie uwagi!

Verina Korsoff otworzyła oczy:

– Potwór – rzekła z trudem. – Pan Damhrun nie pomylił się. On jest...

W tej chwili wszyscy czterej wydali jeden krzyk. W odległości kilku metrów od nich, stał nurek, i z zupełnym spokojem przyglądał się im. Rzucili się na niego, lecz Lanoix upuścił swoją lampkę i zaległa

zupełna ciemność.

Fanfan miał właśnie zaświecić swoją latarkę, gdy nagle krótki, głuchy krzyk wdarł się w ich uszy. Obejrzel się.

Dwaj inni nurkowie uciekali szybko. Verina charczała. Aż po rękojeść tkwił sztylet w jej piersi.

– Oświetlić platformę!... Oni pozostawiają mokre ślady... możemy iść za nimi – wołał Derault, wskazując na posadzkę.

Ślady prowadziły wyraźnie na schody, ale po kilku stopniach znikły nagle.

Ścigający, zatrzymali się, zdumieni

Nagle inżynier powziąwszy jakąś myśl, wyrwał Fanfanowi z ręki latarkę i oświetlił górne żelazne belkowanie. Jak potworne pająki snujące sieć pięli się nurkowie, obejmując sztangi rękoma i nogami coraz wyżej po rusztowaniu, nie zwracając zgoła żadnej uwagi na rozwierającą się pod nimi przepaść.

Gdy wspięli się już tak wysoko, te promień lampy nie dosięgał ich, Derault zarządził:

– Fanfan i Lanoix powrócą do nieszczęsnej kobiety, zamordowanej przez tych łajdaków. Dambrun pójdzie ze mną. Tej nocy, jestem tego pewien, wieża Eiffla, wyda nam wreszcie swe tajemnice!

Wyszędłszy na pierwszą platformę, Derault był przez chwilę niezdecydowany co czynić, poczem pociągnął swego towarzysza ku schodom, wiodącym zachodnim filarem.

Zeszedłszy do stóp wieży, inżynier otworzył kratę i wraz ze swym towarzyszem pobiegł do południowego filaru. Otworzywszy drzwi, weszli do sali maszyn. Tu ukryli się w ciemnym kącie.

Nagle dobiegł ich niewyraźny szelest.

Derault wskazał palcem żelazną drabinę, która prowadziła między filary, podtrzymujące wiązanie dachu i kesony tworzące południowy filar wieży.

Lotnik nie miał pojęcia, że filary były puste i mieściły w swoim wnętrzu szczeble, tworzące drabinkę, którą

ślusarze w razie potrzeby mogli wchodzić z dołu, na wysokość około dwustu metrów. W tym momencie, można było zauważyć powyżej, na drabinie, dwie ludzkie sylwetki – dwóch nurków – schodzących w dół. Derault i Dambrun wstrzymali oddech, aby tylko nie spłoszyć bandytów.

Stanąwszy na ziemi, obaj nurkowie podeszli do wejścia do hali maszyn, otworzyli drzwi i zniknęli je znowu za sobą.

Lotni chciał się za nimi nucić, ale inżynier powstrzymał go.

Upłynęło kilka minut.

Wreszcie zdecydował się Derault, udać się za nimi.

Poszedł w głąb sali. W ścianie, może dwa metry nad podłogą, jakieś drzwiczki podobne do drzwiczek pieca piekarskiego, zwróciły, całą jego uwagę.

– Tędy droga! Ja wpełzną pierwszy do środka. Drzwi te prowadzą do podziemnego, tunelu pod jezioro na Polu Marsowem. Możemy do niego dotrzeć łatwo, prześlizgnąwszy się tędy.

Derault przyniósł drabinę, wszedł na nią i otworzył małe drzwiczki. Chociaż nie bez pewnego wysiłku, zdołał się w końcu wcisnąć w rodzaj wąskiego tunelu, w którym niebawem zniknął. Z pomocą tych samych gimnastycznych sztuczek, Dambrun podążył za nim.

Powoli, na czworakach czołgali się naprzód, pogrążeni w zupełnych ciemnościach.

Lodowata wilgoć przejęła ich do szpiku kości,

– Teraz znajdujemy się dwa metry pod poziomem jeziora – rzekł Derault, którego głos brzmiał niezwykle w tej cieśni.

Ręce i nogi grzęzły im w kleistym szlamie. Mimo to posuwali się niepowstrzymanie naprzód. Jak długo trwała już ich wyprawa? Może około kwadransa. Nagle Derault zatrzymał się i zapalił swoją latarkę. Znajdowali się w czworobocznej ubikacji z cementowanymi ścianami. W murze znowu znajdowały się drzwi.

– Tu jest piec, którego komin może pan zauważyć

nad wodą – objaśnił inżynier.

Już tego pieca nie będą więcej używali...

– Co? Wieżyczka nad wodą?...

– ... jest kominem tego pieca!... Ale co mnie zastanawia, to fakt, że to przejście tu, do Sekwany, jest mi zupełnie nieznane. Nie znajdzie go pan oznaczonego na żadnym planie.

Zgięty w pół zniknął Derault w sztolni, w jednej ręce trzymając lampkę, w drugiej rewolwer.

– Ah! A więc mamy świeże ślady kroków tych panów. Chodź pan za mną, sądzę, że tym razem dojdziemy do celu.

Posunęli się jeszcze sto metrów.

Gdy wtem inżynier przystanął i nachylił się nad szlamistym gruntem:

– Niech pan spojrzy! Widzi pan chyba wyraźnie ślady zwykłych kroków?

– Tak! ślady obuwia.

– Zupełnie słusznie... Ale niech pan postąpi trzy kroki naprzód. Teraz odciski nie są już te same. Wyglądają jak ślady jakiegoś przedpotopowego potwora.

– Cóż to ma znaczyć – mruknął lotnik. Zdaje mi się, że wiem, co to znaczy...

Droga stała się jeszcze uciążliwsza i ukazało się czarne bajoro.

– Te nowe ślady pochodzą od butów ołowianych, które nasi nurkowie przechodząc zostawili tutaj i za powrotem przywdziewali na nowo. Rozumie pan teraz, panie Dambrun?

Te draby znikły tu w wodzie, gdy zwierzyły niebezpieczeństwo.

– Ależ to wprost fantastyczne! Lecz ostatecznie muszą znowu wyjść na wierzch, gdy wyczerpie się powietrze w ich przenośnym rezerwoarze?

– Niekoniecznie. Przejście, które pod wodą ciągnie się jeszcze dalej, powinno kończyć się w łożysku Sekwany. Rozumie pan teraz, jakim sposobem

nieszczęsny Walenty Monfflard ujrzał topielca z mostu Jena, prowadzonego przez dwu nurków. Nurkowie przenieśli go tędy, aby go ukryć przed ludzkim okiem.

– Cóż pocniemy teraz?

– Musimy niezwłocznie zawrócić. Zatrute powietrze, tu na dole, zaczyna mnie już dusić.

Zatrzymali się w wycementowanej ubikacji pod kominem.

Derault otworzył drzwiczki pieca. Specyficzny odór spaleniska uderzył w nich, dławiąc ich.

– Ohydne!... Spójrz pan... Tutaj palono zwłoki ofiar... Oto napół zwęglone kości...

Podniósł z podłogi żelazny pręt i zaczął grzebać w przerażających szczątkach.

– Tu widzę dwie czaszki. W tym piecu spalono zwłoki dwu ludzi.

– Chodźmy stąd! – prosił Dambrun – muszę odetchnąć świeżym powietrzem, inaczej nie ręcę za siebie...

Ale gdy ukląkł by dostać się do kanału prowadzącego do hali maszyn, ręce jego, nurzające się w szlamie, natrafiły na strzęp tkaniny, którą wyciągnął.

– To bluzka jednej z ofiar, – widzi pan?

W wewnętrznej kieszeni znajdował się pakiet napół zgniłych papierów. Na resztkę przemokłej książeczki wojskowej, widniało jeszcze wyraźnie nazwisko. Moufflard, Izydor, Euzebjusz, Walenty, rok 1906.

Bez słowa, porozumiawszy się spojrzeniem, Dambrun i Derault zeszli jeszcze raz niżej i obszukali grunt.

Tym razem wyciągnęli kamizelkę i jeszcze drugą marynarkę. W bocznej kieszeni znaj dowwała się biała etykieta z nazwiskiem krawca i klienta. Klientem był: Karol Smith, nieszczęśliwy samobójca z mostu Jena.

Anglik a po nim nurek, zostali obnażeni spaleni tu, w tym piecu.

Z papierami Moufflarda i marynarką biednego Smitha, powrócili obydwaj mężczyźni tunelem do hali maszyn. Długo i chciwie wdechali chłodne powietrze

nocy.

Derault reasumował swoje odkrycia:

– Mamy tu do czynienia z bandą przestępców o wyjątkowej zręczności, których planów jeszcze na razie nie mogę przejrzeć. Draby mają swoją kryjówkę w pobliżu wieży. Przyjmijmy nawet, że pod łożyskiem Sekwany. Aby dostać się na szczyt wieży, bez niebezpieczeństwa napotkania kogoś na schodach, włożą między kesony belkowania, które kończy się w południowym filarze i po wewnętrznej drabinie dosięgają dwustu metrów wysokości. Dotarłszy do szczytu drabiny – jest to prawie pośrodku między drugim a trzecim piętrem – wspinają się aż do schodów, które prowadzą na trzecią platformę...

Lecz dlaczego zatrzymują nawet na szczycie wieży, swoje ciężkie, niewygodne skafandry?

– Gdyż są nieprzemakalne. Pan prawdopodobnie nie wie, że zbiornik, który znajduje się pod trójkątnymi drzwiami zapadowemi i stanowi część hydraulicznej maszynerji dźwigu. Jest pięć metrów głęboki i zajmuje prze strzeń czterech metrów kwadratowych, – oraz że na dnie tego olbrzymiego akwarjum o dwudziestu tysiącach litrów, może się ukryć większa ilość ludzi. Ludzie ci trzymają się drabiny która schodzi aż na dno basenu. Naturalnie, wszystko możliwe tylko w tym wypadku, jeśli ubrani są w strój nurka.

– Lecz ten, który w naszych oczach wynurzył się nagle w salonie pana Eiffla? Jak się ten zdołał tam dostać?

– Ah! To prawda! Drab ten, który z pewnością jest hersztem bandy, w moich oczach wyszedł z wydrążonego, pokostowanego na kolor drzewa filaru, który w salonie wznosi się od podłogi do sufitu. Słyszał pan chyba także rodzaj zgrzytu?

– Tak.

– Podczas gdy pan zatrzymał się po przeciwnej stronie, człowiek ten otworzył drzwiczki znajdujące się w jednym z kesonów i wszedł niepostrzeżenie do

pokoju. To co pan usłyszał, był to zgrzyt rygla. Nie domyślając się, że zauważyłem go z czwartego piętra przez okienko, otworzył on drzwi, wyszedł raźnie z pustej jamy, i zamknawszy za sobą na powrót tę kryjówkę, odsunął się od niej i stanął nagle przed nimi.

– Chodźmy stąd teraz wróćmy do reszty. Mam nadzieję, że nie przytrafiło im się w międzyczasie nic złego.

Obydwaj opuścili południowy filar, pobiegli do zachodniego i wpadli na schody, zdjęci nagłym lękiem.

Verina dyszała ciężko. Życie uciekało z niej. Niezdolni powstrzymać pochodu śmierci, Fanfan, Lanoix i Scott, próbowali bez skutku, wydobyć z umierającej jakieś zeznania.

Nagle oczy jej otworzyły się szeroko, jej piękne czarne oczy, już szkliste, i kobieta w malignie agonii poczęła mówić:

– ... byłam młoda... życie, życie... księżę... księżę mnie kocha... żeni się ze mną, a później krew... krew... wszędzie krew...

Nachylony nad Veriną Fanfan, choć choć wzruszony, wbijał w pamięć słowa, które wymawiała:

– Krew... czerwoni przechodzą... więzienie... mają mnie zabić... boję się... mają mnie zabić... Nie zrobiłam nic złego... nic złego... Nikt mnie nie ocali... Chyba on... on jeden mnie ratuje... Kocham go, bo mnie ratuje... Życie moje należy do niego... do niego... tak bałam się umrzeć...

Wtem iskierka świadomości błysnęła w źrenicach majaczącej Veriny, słowa jej stały się wyraźniejsze:

– To niktzemnik... Odpędźcie go!... Chce bym cierpiała, tak jak kazał cierpieć innym.

– Gdzie on jest teraz – zapytał Fanfan – gdzie on jest? Niech pani powie, zaklinam panią!

Kobieta otwarła znowu oczy.

Derault i Dambrun którzy nadbiegli w tej chwili, nachylili się nad umierającą.

Verina uczyniła rozpaczliwy wysiłek i wargi jej



drgnęły:

– Czarna barka na rzece... blisko... mostu...

Westchnęła po raz ostatni, wąska nitka krwi wyciekła z jej ust i głowa opadła na ramię.

Verina Korsoff umarła.

Nie tracąc czasu na opowiadanie o wynikach własnych poszukiwań, inżynier zawołał:

– Ta kobieta była ich współniczką... Mówiła o czarnej barce. Jest taka od dawna blisko mostu Jena. Tam znajduje się kryjówka bandytów... Tam tkwi klucz całej zagadki.

Zgasili lampy i szybko schodzili po schodach.

Gdy zeszli na drugie piętro, Derault zaprowadził swoich przyjaciół na środek platformy i powiedział:

– Teraz niema już żadnej wątpliwości. Brakowało mi ostatniego ogniwa w łańcuchu zagadek. Udzieliła mi go ta nieszczęsna kobieta. To w czarnej barce kryje się zbrodnicza banda, która od miesiący kręci się po wieży. Pan Dambrun i ja znamy drogę, którą udają się fałszywi nurkowie do tej barki. Spieszmy tam wszyscy, ażeby żaden z bandytów nie umknął nam.

I party pragnieniem ukarania straszliwej szajki, Derault z lotnikiem skierował się ku schodom, a za nimi w milczeniu szli Scott, Fanfan i Lanoix, który wieszował inżynierowi tak zręcznego rozwikłania tajemnicy.

„Czarna barka na rzece, blisko mostu" wybełkotała w ostatniej chwili przed śmiercią Verina Korsoff.

Umarła nie kłamała. Fanfan i Lanoix znali bardzo dobrze tę cichą barkę rybacką, której nikt nie podejrzewał i koło której swego czasu znaleziono ciało desperata.

Stali bez ruchu na moście, dość oddaleni od barjery, aby nie dać się ujrzeć, i nie spłoszyć bandytów.

Nagle wyścigowe auto nadjechało z wielką szybkością, lecz zupełnie bez hałasu i zatrzymało się nad brzegiem rzeki, na lewo od mostu.

Uwaga! – szepnął Dambrun.

Trzy postacie wstępowały po schodach, prowadzą-

cych w górę od brzegów Sekwany.

W chwili gdy trzy postacie dosięgały ostatniego stopnia, inżynier i lotnik z rewolwerem w dłoni zagrodzili im drogę.

– Ręce w górę albo strzelam! – krzyknął Derault.

Dwaj z tych ludzi, którym opuszczone ronda kapeluszy zakrywały twarze, uczynili krok naprzód, mrużąc coś z gniewem, gdy trzeci zatrzymał ich, mówiąc z ironją:

– A więc jesteście panowie, i uzbrojeni od stóp do głowy! Verina Korsoff wygadała się bezwątpienia, kobiety są tak gadatliwe.

Filip tym razem nie mógł się powstrzymać i schwycił kapitana za gardło z taką siłą, że ten zachwiał się.

– Pan zaprowadzi nas do miss Edyty, albo zabiję cię jak psa!

Piotr Maus wyswobodził się.

– Niech pan posłucha – rzekł – jeśli zależy panu na siostrzenicy Jeremjasza Scotta, pozwoli nam pan udać się w swoją drogę.

– Pan jeszcze teraz drwi z nas?

– Nigdy nie mówiłem bardziej serjo. Nie przypuszcza pan chyba że udałem się na ląd i zaryzykowałem wolność, nie wydawszy wprzód odpowiednich rozkazów załodze okrętu. Jeśli jutro wieczorem do północy nie powrócę na pokład, mój kat chiński, wyrafinowanie okrutny, oszpeci piękną twarz Edyty w ten sposób, że ujrzawszy ją, nie będzie się pan mógł powstrzymać od krzyku zgrozy. Przypomnij pan sobie wygląd Samuela Vampa. My fabrykujemy śmierć serjami... Już jest późno, chodźmy, usuńcie się panowie...

Piotr Maus nagle jakby wyolbrzymiał, wydawał się potwornym demonem zła.

Wszyscy, nawet Derault, który pienił się ze złości, zrozumieli, że ten człowiek nie kłamał i że los Edyty był w jego rękach. Lufy rewolwerów pochylały się wdół.

– Do auta! – rozkazał kapitan swoim ludziom.

Poczem odwracając się, rzeki:

– Zobaczą pana jeszcze, panie Scott, i zakończymy sprawę ugodowo. Och! Nie bez żalu opuszczam tę wieżę, i tę skromną barękę, gdzie przeżyłem interesujące godziny. Do widzenia, panowie!

I jednym susem wskoczył do auta, które potoczyło się cicho w stronę Passy.

### Burza.

Gdy Dambrun nazajutrz kończył w prefekturze polici opowiadanie o tragicznej nocy na wieży Eiffla, telefon z ministerstwa dał znać, że okręt -widmo znajduje się na pełnym morzu przed Quiberon.

Dowiedziawszy się o tem Scott gorączkowo jął dyktować sekretarzowi telegramy do Bresta w związku z nową ekspedycją swojego jachtu i po kilka godzin potem o zachodzie słońca „Rekin” ze zwykłą załogą, pomnożoną o pokaźną ilość agentów bezpieczeństwa, wyruszał z portu Brest, i nie oddalając się zbytnio od brzegu, pruł szybko fale ku południowi.

O świcie morze było zupełnie spokojne, lecz z zachodu nadciągała chmura czarna jak atrament, która zdawała się olbrzymieć z minuty na minutę.

Gouriadec spoglądał nieufnie na tę chmurę i mruczał coś pod nosem, poczem zeszedł zapukać do drzwi kabiny kapitana Le Frocha. Ów po dobrze przespanej nocy, zawołał wesoło:

– Proszę.

Gouriadec wszedł szybko i próbował powiadomić kapitana o grożącym niebezpieczeństwie.

Kapitan próbował bagatelizować sprawę, lecz Gouriadec energicznie mu przerwał:

– Sądzę, że najlepiej pan zrobi, kapitanie, wstając natychmiast. Jest już zapóźno, by myśleć o dobiciu do jakiegoś portu i jeśli się nie mylę, za pół godziny burza nas weźmie w tany.

--- Tak pan myśli, Gouriadec?

– Jestem tego pewny.  
– W takim razie bądź pan tak dobry i przysuń mi pantofle.

– Oto są kapitanie.

– A po drodze, proszę, niech pan powie panu Monpapa, żeby mi przysłał czekoladę...

Gouriadec, wzruszając ramionami, wyszedł z kabiny i powrócił na pokład.

Zaczął padać drobny deszcz pędzony wiatrem, który wciąż przybierał na sile. „Rekin” jak korek tańczył na falach. Rozkazy Gouriadeca mieszały się z rykiem wichru i łoskotem fal uderzających o statek. Nagle potworny bałwan, większy od innych, wzniósł się na horyzoncie... Załoga patrzyła z przerażeniem, gdy przewalił się przez pokład małego statku. Okropny trzask! Jak gdyby potężna dłoń władcy mórz, schwyciła „Rekina” i gniotła go jak orzech w wściekle zaciśniętej dłoni.

– Wszyscy na pokład! – krzyczał Gouriadec. – Na pokład!

Zbiegli się marynarze. Przyszedł także, zataczając się jak pijany, Mathurin le Broch z kapitanem Jackiem, zieloną papugę na ramieniu, która wbiła szpony w wełnę kurtki marynarskiej.

Nagle pod uderzeniem fali jeden z masztów pękł i zwałił się na pokład. Odłamek drzewa ugodził Gouriadeca w głowę, który padł.

Okręt w najkrytyczniejszej chwili pozba wiony był dowódcy, zdolnego wydawać rozsądne rozkazy!

Aż tu nagle zabrzmiały słowa komendy, wołanej nosowym głosem:

– Ster na prawo!

To był „kapitan Jack”.

Tak, kapitan Jack, papuga-żeglarz, która przypominała sobie dawne słowa słyszanej komendy.

– Ster na prawo! – powtórzyła papuga – A że Mathurin le Froch miał sam słaby głos przyłożył megafon do dzioba papugi, aby sternik dobrze słyszał

komendę.

Okręt, posłuszny sterowi, dokonał zwrotu i pruł szybko wzburzone fale. Był uratowany.

Burza przeszła. Wzburzone morze uspokoiło się, ale mgła gęsta zalegała przestwór.

W mgle zaznaczyły nagle kontury statku – widma, oddalonego o milę angielską od „Rekina”.

Scott kazał wywiesić białą flagę na znak pokojowych zamiarów.

Ale z upiornego statku nie odpowiedziano na sygnał. Cóż to znaczyło? Czy Piotr Maus, chroniąc się przed grożącym mu niebezpieczeństwem, umknął, zabrał ze sobą nieszczęśliwą Edytę?

Całą godzinę sygnalizowano, lecz nie było odpowiedzi nawet na głos syreny. Statek upiorów powoli oddalał się, płynąc na pełne morze.

\* \* \*

Dambrun, Scott, kilku marynarzy i policjanci, wsiedli do łodzi, która ich zawiodła pod sam statek – widmo.

Jak za poprzednimi odwiedzinami, pokład był pusty: nie było na nim nic prócz strzępów lin i żagłów.

Policjanci wstępowali na pokład.

Dambrun, który ich wyprzedzał, krzyknął nagle:

– Krew! Co tu krwi!...

Tu odbyła się walka, twierdził jakiś marynarz.

– Chodźmy do kajut!

Wszędzie opuszczenie wszędzie ślady walki, plamy krwi...

Kabina Piotra Mause była zamknięta na klucz. Dambrun wywalił drzwi, wsparłszy się o nie plecami.

Na biurku leżała kartka papieru z dobrze znanym nagłówkiem. Lotnik schwycił ją.

Była datowana z poprzedniego dnia i zawierała tylko słowa:

*„Miss Scott będzie moją sześćdziesiątą trzecią ofiarą!”*

Filip krzyknął przerażony i podążył dalej.

Stał naprzeciw przerażających czarnych skrzyń.

Mimo szcurów zbiegających się ze wszystkich stron, młody człowiek parł naprzód między trumny. Nagle przystanął. Wieko jednej było uchylone. Z biciem serca pochylił się Dambrun nad otwartą skrzynią i oświetlił ją latarką. Okrzyk zdziwienia wyrwał się z jego ściśniętego gardła.

Ujrzał nie nieboszczyka owiniętego w całun, lecz schodki żelazne, wiodące w dół.

Bez wahania opuścił się w głąb i dostał się do rodzaju tunelu o żelaznych ścianach, stąd do komory maszyn. W środku stał potężny motor elektryczny.

I nagle Dambrun zrozumiał.

Teraz mógł już sobie wytłumaczyć nagłe zanurzenie „Latającego Holendra” w morzu. Okręt ten, cały z żelaza, sztucznie zamieniony w widziadło morskie, był osadzony na *wielkiej łodzi podwodnej!* W głębi tego drugiego, stale niewidocznego statku, zbierała się załoga gdy Piotr Maus uważał to za potrzebne.

Tam tyli ci okaleczeni bandyci, z których składała się załoga fantastycznego podwójnego statku. Z latarką w ręku przeszukiwał Dambrun systematycznie każdy kącik, gdy nagle doleciał go przeraźliwy śmiech.

Krew zastygła mu w żyłach. Odwrócił się.

Jakiś człowiek z okropnie zniekształconą twarzą, w łachmanach, patrzył na niego błyszczącymi oczyma i śmiał się szczerząc zęby a ust bez warg.

– To pan, panie Dambrun! Brawo! Brawissimo! Pan także weźmie udział w partyjce! – krzyczał Samuel Vamp, skacząc dokoła lotnika. – Przygotowałem już wszystko, wszystko obmyśliłem wszystko! Piotr Maus fabrykował tylko pół-śmierci, lecz ja nie zadowolę się połową.

– A więc to pan, panie Vamp?... Zlituj się pan! Powiedz, gdzie jest Edyta?...

– Edyta? Oh, już odeszła! Tamten także... A teraz na pana kolej! Potańczymy!

Dambrun zmiarkował, że medjum było obłąkane. Zimny pot zrosił mu czoło. Mimo to próbował

dowiedzieć się czegoś o Edycie. Edyta umarła, nieprawdaż?

– Edyta, Piotr Maus, wszyscy, wszyscy... Czy wie pan, co się znajduje w trumnach tam w górze? Nie? Ja wiem. W jednych jest dynamit, proch, kule, granaty; w innych whisky, rum i kokaina. Ha, ha! To jest interes! To wszystko było dla Ameryki. „Statek upiorów” napędza strachu, nieprawda? A więc, naprzód marsz!... Lecz tym razem, koniec! Włożyłem lont do trumny z dynamitem, w kieszeni mam zapaliki... Tak, panie Dambrun, z tego fałszywego statku duchów uczynię prawdziwy. Niech pan prędko wykupi bilet jazdy. Jeszcze minutka, a potem jazda pełną parą!

Instykt samozachowawczy odezwał się w lotniku. Dambrun rzucił się na Vampa i schwycił go za gardło:

– Tego pan nie robi, Vamp. Trzeba pomścić zmarłą! Pan także musi się zemścić za straszliwe cierpienia, które zadano panu. Czy jest pan zupełnie pewny, że Piotr Maus nie żyje?

– Najzupełniej pewny – odpowiedziało medjum, w którego oczach mignął błysk przytomności.

– A Edyta?

– Edyta? Marynarze zaśpiewali jej „czarną trojkę... ” trojkę skazańców... W Tobolsku oznacza to dla więźnia śmierć... Przypomina pan sobie tę pieśń, którą usłyszeliśmy w pańskim mieszkaniu, nim mnie porwali ludzie Felina na plaży w Deauville? A gdy się słyszy tę pieśń...

– A więc... umarła?...

– Prawdopodobnie... Gdy ją po raz ostatni widziałem, leżała blada i sztywna na górze, na tylnym pokładzie.

Dambrun puścił obłąkanego i pobiegł z powrotem do komory z trumnami.

Policjanci właśnie tam wtargnęli.

– Za mną! – krzyknął Dambrun. I pociągnął ich na pokład. W świetle latarki ujrzał tam dwie postacie, leżące bez życia.

Jedną z nich był Piotr Maus, z czaszką rozłupaną ciosem siekiery; drugą Edyta Scott skrupowana sznurem.

Policjanci przecięli jej więzy. Dambrun pochylił się nad leżącą i zawołał radośnie:

– Żyje! Żyje!

I porwał ją w ramiona i uniósł do łódki, która natychmiast odpłynęła ku „Rekinowi”. Edyta mającyla w objęciach lotnika. Nagle straszliwa eksplozja rozdarła ciemności nocne, blask oświetlił fale i wysoko strzeliły płomieniste języki. Potem cisza. Noc, bezksiężycowa noc, nieprzenikniona ciemność.

Vamp urzeczywistnił swój plan. Fałszywy okręt duchów, był od tej chwili naprawdę umarły, umarły na zawsze.

### Opowiadanie Piotra Mansa.

Biedna Edyta, dopiero rankiem następnego dnia odzyskała zmysły, podczas gdy „Rekin” powracał do Brestu. Gdy otworzyła oczy i ujrzała przy sobie wuja, zdawało się jej, że przebudziła się z okropnego snu. Powoli wróciła jej świadomość wypadków, które przeżyła.

Gdy czuła się dobrze na tyle, by móc odpowiadać na stawiane jej pytania, sprowadził Scott Dambruna i komisarza policji.

Gdy młoda dziewczyna ujrzała Filipa, na twarzy jej odmalował się tak promienny wyraz szczęścia, że król kolejowy, chociaż nie był znawcą ludzi, zdał sobie sprawę z uczuć, jakie żywi jego siostrzenica dla młodego człowieka. Gdy Dambrun wyraził swą radość, że Edyta odzyskała siły po niedawnych wzruszeniach, komisarz policji poprosił dziedziczkę Jeremjasza Scotta o dokładne wyjaśnienie wypadków, jakie rozegrały się od momentu porwania jej z pokładu „Lewiatana”.

Czytelnik znajdzie w następujących wierszach steno-  
grafowane zeznanie, tak jak następnego dnia doszło ono



do biura policji w Paryżu.

– Ponieważ tego owego wieczora naprawdę miałam silny ból głowy, przeprosiłam moich przyjaciół, poszłam na pokład i położyłam się na leżaku. Pogoda była wspaniała, rozkoszowałam się samotnością, gdyż wszyscy pasażerowie o tej porze siedzieli przy kolacji. Nagle, wcisnął mi ktoś do ust knebel; zaczęłam się bronić, wyrwałam go i krzyknęłam, o ile dokładnie pamiętam, krzyknęłam głośno. Dwa żelazne ramiona otoczyły mnie i czułam, jak mnie niesiono i przerzucono za burtę. Lodowata woda zamknęła się nademną, zaszumiało mi w uszach i straciłam przytomność.

– Czy zauważyła pani osobę, która ją wrzuciła do wody?

– Nie. W tym momencie nie byłam zdolna do spostrzeżeń. Lecz później, uprzytomniłam sobie, że był to ten sam Chińczyk, którego złapaliśmy na podsłuchiwanie pod drzwiami naszej kabiny.

– Kiedy odzyskała pani przytomność?

– W chwili, gdy dwaj mężczyźni zanieśli mnie do otwartej trumny; krzyknęłam głośno ze zgrozy...

– Więc ci łajdacy myśleli, że pani umarła?

– Nie. To co uważałam za wieko trumny, w rzeczywistości było drzwiami, które kryły wąskie żelazne schody. Schodami temi schodziło się do właściwego statku, który znajduje się pod czarnym żaglowcem.

– Do łodzi podwodnej?

– Tak, tak było. Jakkolwiek napół przytomna, zrozumiałam wszystko, gdy usłyszałam krótkie rozkazy w jakimś obcym języku, i poczułam, jak okręt zanurza się w morzu.

– Kto wydawał te rozkazy?

– Człowiek, który... który... był moim „narzeczonym”, i którego znałam tylko pod nazwiskiem „książę Vixit”. Ludzie, będący w jego służbie, byli tak przeraźliwie oszpeчени, że nie mogłam znieść ich widoku i ukrywałam twarz w dłoniach, gdy zjawiali się

w mojem pobliżu.

– Czy ów rzekomy książę Vixit powiedział wreszcie, czego żąda od pani?

– Tak. Chińczyk, który oprócz księcia był jedynym nieoszczeconym na statku – zaprowadził mnie ponownie na górny statek. Zaraz potem otwarły się drzwi kajuty i stanęłam naprzeciw księcia Vixit. Był on ubrany jak marynarz z siedemnastego wieku. Stałam – milcząc naprzeciw człowiekowi, który mnie więził, a on się pierwszy odezwał:

– Wybacz mi pani, Edyto, ale nie miałem wyboru. Kocham panią, kocham panią namiętnie i wreszcie wybiła godzina, w której zostanie pani moją żoną. Zabrałem ze sobą na pokład, chociaż wbrew jego woli, zacnego pastora. Ten godny szacunku człowiek jeszcze dziś połączy nas ślubem.

Zaprotestowałam tak energicznie, że książę Vixit na chwilę zmieszał się, a potem rzekł brutalnie:

– Umówiłem spotkanie z panem Scottem, a ponieważ przepisy religijne i tradycja są dla mnie święte, spodziewam się, że osiągnę jego zgodę na nasze małżeństwo.

Książę wskazał mi krzesła, poczem ciągnął dalej:

– Powiem pani wszystko... wszystko... Pani powinna stać się towarzyszką moich przygód życiowych, i nie chcę nic ukrywać przed panią. Okręt, na którym znajdujemy się, nie jest tworem fantazji, a jego marynarze nie są umarli. Ja zaś nie jestem ani księciem Vixit ani holenderskim kapitanem Piotrem Mausem. Nazywam się Iwan Felin, tak mi się zdaje, lecz zupełnie dokładnie nie wiem tego, gdyż przyszedłem na świat na pokładzie statku emigranckiego i nie znałem nigdy swoich rodziców.

Moje życie to tragiczny romans. W wieku, w którym u was dzieci nie chodzą jeszcze do szkoły, byłem już chłopcem okrętowym. Do dziś dnia zachowały się na moich plecach blizny od uderzeń liną, którymi mnie wówczas dosyta raczono. Gdy miałem dziesięć lat,

okradłem kasę okrętową i uciekłem. Wędrowałem od Port-Said do Marsylii, i od Marsylii do Meksyku. Byłem marynarzem, palaczem okrętowym, mechanikiem. Nie cofałem się przed niczem, aby zarobić na życie, a przetrzymałem wszystko, bo nie traciłem nadziei, że wybiję się na wierzch. I udało mi się.

Podczas wojny byłem dostawcą armji w Rosji.

Po rewolucji bolszewickiej, nowy rząd niedowierzał mi. Niemniej zostałem wysłany do Tobolska, jako komendant miasta i dyrektor więzień. Niewypowiedziane okropne więzienia podziemne pełne były ofiar moich poprzedników. Na widok, tych nieszczęśników groza mną owładnęła. Są to marynarze, których pani widziała tu przedtem i którzy są w mojej służbie.

Między więźniami znajdowała się wdowa po księciu Sergjuszu Brozałow, dawna tancerka, której sędziwego męża zamordowano w Petersburgu.

Kazałem przyprowadzić tę kobietę.

Padła mi do nóg, błagając litości.

Rozumiałem, że ta młoda i piękna kobieta może mi oddać cenne usługi, więc przyrzekłem jej życie i wolność, jeśli będzie moim szpiegiem w więzieniu. Ta kobieta pokochała mnie gorąco, mówię to bez chępliwości, i przez nią wiedziałem o wszystkim, co tylko pomyśleli więźniowie.

W tym czasie byłem przedmiotem zamachu, którego o mało nie przypłaciłem życiem. Szpieg, którego pani dobrze zna, gdyż jako „medjum” wkradł się do domu pani wuja, ugodził mnie w pierś wyostrzoną ością rybią poczem udało mu się zbiec. Przez miesiąc byłem między życiem a śmiercią, pielęgnowany dzień i noc przez tamtą kobietę, która nazywała się Verina Korsoff i którą naturalnie wypuściłem z więzienia.

W czasie mojej choroby, członkowie moskiewskiego rządu, którym nie spodobały się tortury, jakie stosowałem względem więźniów, postanowili przenieść mnie do Leningradu, gdzie miałem pilnować klejnotów skonfiskowanych.

– „To opowiadanie Felina” – rzekł komisarz do Edyty – pokrywa się w zupełności z wiadomościami, jakie posiada o nim dyrekcja policji. Niech pani chwilę odpocznie. Był bym pani niezmiernie wdzięczny, gdyby pani po odzyskaniu Bił, zechciała dalej ciągnąć swe opowiadanie.

Po chwili milczenia rozpoczął komisarz:

Pani opisała nam właśnie, jak Iwan Felin został wysłany do Leningradu, by tam pilnować klejnotów.

– Tak. I ciągnął dalej swoją osobliwą opowieść:

Ponieważ stanowisko, które tam objąłem, nie podlegało żadnej kontroli, pewna grupa ludzi usiłowała mnie go pozbawić. Odsunięto mnie pod pozorem przywłaszczenia sobie klejnotów, a ponieważ wiadano, że władam wieloma językami, powołano mnie do biura propagandy Sowietów zagranicą, które w tym czasie rządzone było przez zacieklego fanatyka.

Człowiek ten kazał zbudować według planów jakiegoś młodego uczonego, cztery wielkie okręty staroświeckiej konstrukcji, z żelaza i hermetycznie uszczelnione, gdy tylko zamknęło się wiodące na schody drzwi zapadowe. Każdy z tych okrętów był zbudowany na wielkiej łodzi podwodnej. Na jednym z nich, mam w tej chwili zaszczyt mówić z panią.

– A więc istnieją – rzekł komisarz jeszcze trzy takie okręty jak tamten, który dziś w nocy widzieliśmy, jak szedł na dno. To wyjaśnia równoczesne pojawianie się "statku-widma" w rozmaitych, nieraz znacznie od siebie oddalonych punktach globu.

Edyta skinęła głową.

– Tak ten łajdak wtajemniczył mnie we wszystko. Te okręty miały na celu wzbudzenie przestachu w ludności nadbrzeżnej i przez to ułatwienie przemytnictwa. W jednym z tych okrętów grasował po morzach sam Felin, ale poczuwszy się panem statku, jął popełniać zbrodnie na swój własny rachunek, dążąc do zdobycia jak największego majątku. Ten, niezwykle fantazją obdarzony łotr zamyślał stać się tajemniczym

władcą świata. Statek widmo, w którego istnienie nikt w świecie nie wierzył, był dlań schronem nieuchwytnym i bezpiecznym, zapewniającym mu możliwość zjawiania się, gdzie chciał i znikania w stosownej chwili. Niezliczone były zbrodnie Felina, a załoga ślepo słuchała jego rozkazów okrutnych.

– A kradzież dokumentów w ministerstwie czy także była sprawką bandy Felina?

– Tak, Przypominam sobie, że mi wspomniał o tej kradzieży, dodając, że dokumenty, znajdują się jeszcze dotychczas w jego posiadaniu. Ponieważ wiedział, że bolszewicki rząd moskiewski ściga go jako zdrajcę, zatrzymał dokumenty przy sobie, aby je móc sprzedać jakiemu innemu mocarstwu europejskiemu.

– Felinę osądzono więc w Rosji jako zdrajcę?

– Zerwał on z Moskwą stosunki, a w powierzonym mu statku szmugło wał alkohol i kokainę do Ameryki w nadziei zrobienia milionów, Toteż, gdy w Moskwie zamiarkowano, że Felin nie wypełnia swoich obowiązków, rząd sowiecki nakazał trzem innym okrętom wędrującym po morzach pochwycić byłego dyrektora więzień w Tobolsku i dostawić go do Rosji żywego lub umarłego. Dwa razy na pełnym morzu starł się statek, którym dowodził zdrajca, ze ścigającymi go bolszewickimi przeciwnikami. Dwukrotnie przyszło do walki i za każdym razem udało się Felinowi zwyciężyć i statki sowieckie zatopić.

– Zatem oprócz okrętu, na którym panią znaleźliśmy, istnieje jeszcze tylko jeden Jedynej podobnej konstrukcji?

– Tak jest, tylko jeden.

– A kradzież w Deauville?

– Była dziełem Felina przy pomocy szajki międzynarodowych bandytów i „statku upiorów”, który w tym celu odważył się przepłynąć Kanał La Manche. W tej sprawie został zresztą sam Felin oszukany, opowiedział mi bowiem, że prawie nic nie dostał ze zrabowanych dwudziestu pięciu milionów.

Wreszcie, w zakończeniu swego opowiadania, wyznał mi Felin, co następuje:

"Przez Verinę Korsoff dowiedziałem się, że Samuel Vamp wszedł w służbę Jeremjasza Scotta, Miljarder wierzył w duchy i postanowił spędzić noc w salonie inżyniera Eiffla na wieży, aby wywołać ducha Walentego Moufflarda. Wówczas zdecydowałem się pojawić osobiście. Wyznaczyłem wujowi pani spotkanie na otwartym morzu, a Samuelowi Vampowi nie omieszkałem przed zniknięciem ukazać na chwilę mej twarzy przez szybki hełmu. Fałszywe medium poznało natychmiast, z kim ma do czynienia i uległo mi całkowicie. Jeremjasz Scott miał siostrzenicę. Korzystając ze znanej legendy zamierzyłem poślubić tę dziedziczkę miljardera. I oto wszystko, Edyto, Tylko jednego pani nie wie, że sam złapałem się we własne sidła. Kocham panią... Przez wszystkich przeklęty, nie mam już nikogo na świecie, który by żywił do mnie sympatię, ponieważ Verina Korsoff zmarła wśród tragicznych okoliczności, zabita przez moich ludzi w chwili, gdy chciała mnie zdradzić, z zazdrości o panią. I tylko już pani miłość może opromienić moje życie.

Cofnąłem się ze wstrętem, a on mówił dalej:

– Musi mnie pani poślubić, Edyto, lub też oddam panią w ręce swego kata Chińczyka z więzień w Tobolsku, którego potworne okrucieństwo upodabnia żywych do umarłych!

Zdrętwiałam cała na myśl o oczekujących mnie torturach i, o ile pomnę, padłam na kolana, błagając tego człowieka o łaskę.

Ale mnie nie słuchał, i ująwszy, za ramiona wywlókł na pokład. Był już dzień. Dwóch ludzi stało na pokładzie, jakby oczekując na nas. Jednym był Chińczyk, a drugim jakiś sympatycznie wyglądający staruszek, w czarnym ubraniu i w czarnym okrągłym kapeluszu i z grubą księgą pod pachą. To był pastor.

– Musi mnie pan! poślubić, Edyto! -- powtórzył Felin, – a jego wielebność Samuel Elliot udzieli nam

ślubu na miejscu.

Sporzałam na duchownego załzawionemi oczyma, lecz ten odezwał się śmiało po angielsku:

– Mogę udzielić ślubu tylko za zgodą obu stron.

– Połączy nas pan węzłem małżeńskim, lub zabiję pana jak psa!

– Może mnie pan zabić, krew moja spadnie na pańską głowę.

– Lecz ta kobieta zgadza się być moją! Nieprawdaż, Edyto? Powiedz „tak”, powiedz „tak”, albo...

Chińczyk przysunął się już ku mnie, dobywającą z rękawa coś w rodzaju długiej brzytwy.

Ale w tejże chwili skoczył ku mnie pastor i zasłonił mnie sobą. Wówczas Felin wyciągnął sztylet i pchnął nim starca w pierś. Nie wydawszy jęku pastor osunął się na pokład.

– Widzi pani, te się nie cofnę przed niczem. Biada temu, kto roi się ośmieli w czemkolwiek sprzeciwić! A więc, czy mnie pani zechce poślubić?! Raz... dwa...

Resztę świadomości poczułam, że mnie zaczęli wiązać.

Nagle usłyszałam przerażony okrzyk Felina i Chińczyka. Na horyzoncie nagle zamroczonym, ukazał się jakiś statek o wysokich masztach, który pędził ku nam z taką szybkością, że wkrótce nas dognał.

Za chwilę pokład „Latającego Holendra” wypełnił się marynarzami, którzy wyglądali jeszcze bardziej upiornie niż załoga naszego statku. Do Felina podbiegł jakiś człowiek, wysoki i chudy, w którego bladej, woskowej twarzy oczy błyszczały jak żarzące się węgle. Krzyknął Felinowi kilka słów do ucha, a ten pochylił głowę; poczem nieznajomy jednym uderzeniem siekiery rozplatał mu czaszkę. Felin upadł przy mnie, a ja straciłam przytomność...

– To już wszystko, co nam pani może opowiedzieć?

– Wszystko, panie komisarzu.

– Bezwątpienia – odezwał się Dambrun – okręt ów, który pannie Scott w jej oszołomieniu wydał się

takim olbrzymem, nie był niczem innym, jeno statkiem ścigającym Felina z rozkazu Moskwy.

– Nie miałam gorączki... Statek, który ujrzałam, nie był podobny do „Latającego Holendra”. A załoga, która wówczas wtargnęła na nasz pokład, nie składała się z marynarzy z tego świata!

Komisarz dał Dambrunowi dyskretny znak, aby nie przeczył młodej panie, będącej jeszcze widocznie pod wpływem swych gorączkowych majaczeń.

Wszyscy opuścili kajutę i powrócili na pokład „Rekina”, który zwolna wjeżdżał do portu w Breście.

### Czarna barka.

Zaledwie Fanfan, Lanoix i gruby Antoni Monpapa dotknęli stopami stałego lądu, złożyli uroczystą przysięgę, że nigdy w życiu nie wsiądą na statek. Mieli po uszy sensacyj morskich! Gdy Mathurin le Froch usłyszał tę przysięgę, podszedł ku nim i oświadczył melancholijnie:

– Ja także porzucę żeglarstwo, moi kochani. Przejdę na emeryturę i będę tylko rozpamiętywał swoje przygody. Oddaję komendę kochanemu Gouriadecowi, a sam kupuję folwarczek i będę hodował króliki.

– Jakto, kapitanie? – zawołał Fanfan – będzie pan mógł wyżyć bez morza?

– Zabiorę z sobą widokówki morskie. Morze jest wspaniałym żywio-łem, ale kołysze nieco za mocno.

Przybywszy do Paryża, Dambrun i policjanci natychmiast udali się do prefekta policji, aby mu złożyć relację z wyprawy „Rekina”.

Z uwagą odczytano kopję zeznań Edyty Scott, poczem szef policji bezpieczeństwa zawiadomił Dambruna, że policjanci rozstawieni na straży wokół czarnej barki przytrzymali jakiegoś nieznanego, który sprawia wrażenie nienormalnego człowieka.

Mimo znużenia, lotnik wskoczył natychmiast, z urzędnikami śledczymi do najbliższego auta, i kazał



zawieść na Quai d' Orsay, naprzeciw Wieży Eiffla. Przybywszy na miejsce, zeszli szybko spadzisty brzegiem do barki i otwarli drzwi kajuty.

– Ręce do góry! – krzyknęli czuwający w kajucie dwaj policjanci, mierząc z rewolwerów we wchodzących.

– A to co znowu?! Nie poznajecie nas?

– Ach, to panowie? Doskonale żeście przybyli.

– A więc jednego z bandytów zdołaliście pochwycić!

– zagadnął Dambrun agentów.

– Tak. Ale groźnie on nie wygląda. Naszem zdaniem nadaje się raczej do szpitala warjatów niż do więzienia.

W przyległej kajucie, do której policjanci otwarli drzwi, siedział jasno-włosy i jasnobrody mężczyzna, jeszcze w młodym wieku. Mężczyzna ów kreślił coś w brudnym notesie.

Filip Dambrun przyjrzał mu się ciekawie. Ubranie więźnia było mocno zaniedbane, ale przecież miał on w sobie owo „coś”, co wzbraniało widzom uważać go za pospolitego człowieka.

Jeden z policjantów podszedł ku niemu i dotknął go w ramię.

Mężczyzna odwrócił się.

– O co panu znów chodzi? – spytał spokojnym głosem. – Mam w tej chwili o wiele ważniejsze sprawy na głowie niż odpowiadać na wasze bezsensowne pytania.

– Ale będzie pan chociaż tak uprzejmy i poda nam swe nazwisko? – zapytał Dambrun, uchylając kapelusza.

Grzeczność lotnika, jak się zdawało usposobia więźnia przychylniej.

– Moje nazwisko?... Ono jest zupełnie nieznanne. Jestem wynalazcą, a pan wie jak opłakany jest los wynalazków w naszych czasach.

– Aha mamy więc przed sobą znakomitego Franciszka Jacobusa – pomyślał Filip, podczas gdy więzień ironicznie mówił dalej:

– Pana znam zresztą. Jest pan lotnikiem i mieszka pan w Saint Cloud. Nie próbuj mi pan przeczyć: gdy kogo raz ujrzę, pamiętam go tak dokadnie, jakbym nosił ze sobą jego fotografię.

– Ale ja także znam pana – odrzekł szybko Dambrun. – Jest pan cudzoziemcem i nazywa się Jacobus.

Słaby uśmiech rozjaśnił oblicze wynalazcy.

– Czyżbym w końcu stał się przecież bardziej znany, niż sądziłem?

– Stanie się pan wkrótce ogólnie znany, mogę pana o tem zapewnić.

– Wybaczcie mi, panowie, ale przeszkadzacie mi w pracy.

– W więzieniu będzie pan miał dość czasu do pracy!

– krzyknął jeden z inspektorów, któremu czelność wynalazcy zaczęła już działać na nerwy.

– W więzieniu? Sprawy zaszły zatem już tak daleko?... Przypuszczałem to....

– Momencik! – wtrącił się Dambrun. – Pan chce odgrywać rolę męczennika, ale to się panu nie uda. Jest pan, być może, wynalazcą, ale w naszych oczach nie czem innym jak przestępcą. Pański wspólnik, Iwan Felin, wyznał nam przed śmiercią, że pan jest w głównej mierze odpowiedzialny za jego zbrodnie.

Jacobus zbladł.

– Feljn? – wyjąkał – Felin nie tyje?

– Tak.

– Jest pan tego zupełnie pewien, panie Dambrun? Zwróćcie panowie uwagę na moje słowa. Już raz był Felin dla wielu ludzi umarłym, a przecież powrócił!... Należy on do tych, którzy zawsze powracają, i zawsze w momencie, gdy się ich najmniej spodziewa.

Lotnikiem wstrząsnął zimny dreszcz.

– Widziałem go leżącego z rozplataną czaszką na pokładzie jego własnego statku. Tym razem został już unieszkodliwiony na zawsze.

Wynalazca wpatrzył się uważnie w Dambruna, i gdy

wyczuł prawdę w jego słowach, pochylił z wolna głowę.

– Możecie być panowie spokojni. Pozbawiony mego jedyne go obrońcy, znajduję się całkowicie w waszej mocy. Ale mam do was jeszcze ostatnią prośbę. Chcę wam pokazać do czego byłem zdolny. Jeżeli mi pozwolicie, przepędzę wraz z moimi strażnikami jeszcze jedną noc na tej barce, a wówczas, rano, dowiedziecie się o wszystkim. A muszę dodać, że wiem, gdzie się znajdują skradzione dokumenty z ministerstwa marynarki i że się zobowiązuję wam je zwrócić.

Nim odpowiedział Jacobusowi, naradził się Dambrun z inspektorem i postanowili pozwolić wynalazcy jeszcze jedną noc przepędzić w tej czarnej barce: nie chcieli pominąć żadnego środka, który by mógł im wyjaśnić tajemnicę i dopomóc do odzyskania skradzionych dokumentów.

### Władca cieniów.

Następnego dnia, postanowił Jeremjasz Scott ze względu na rolę jaką odgrywał w całej historii statku upiorów, przyłączyć się do gromadki, która miała spędzić noc na czarnej barce.

Wyprawa składała się z prefekta policji, kilku inspektorów, Filipa Dambrun i króla kolejowego.

Jacobus pozdrowił uprzejmie wchodzących.

– Poinformowano mnie, że chce pan przed nami dożyć obszerne zeznanie – zaczął prefekt policji. – Jesteśmy tu zatem, aby pana przesłuchać. Czy przyznaje pan, że jesteś konstruktorem owych czterech statków, które wszędzie, gdziekolwiek się pojawiły, szerzyły śmierć i zagładę?

– Jestem twórcą owych statków. W ciągu półtora roku zbudowano je wedle moich wskazówek i pod moim kierownictwem.

– Czy pańskim także pomysłem była budowa tajemnego przejścia do południowego filaru Wieży

Eiffła?

– Nie, panie prefekcie... Ten projekt był dziełem mego mistrza i przyjaciela, Iwana Felina. Było dla nas konieczne posiadanie tajemnego dostępu do Wieży.

– W jakim celu?

– Na pokładzie okrętu, którym Felin dowodził, dokonałem sensacyjnego wynalazku. Dla jego zużycowania była nam niezbędną Wieża Eiffła.

– Na czym polega pański wynalazek?

Jacobus milczał i tylko na jego ponurej twarzy pojawił się lekki uśmiezek.

– Stworzyłem życie! – odezwał się wreszcie powoli i z namysłem. – Czyż Paryżanie nie widzieli niedawno, na Placu Zgody, statku upiorów?

– Był pan może sprawcą tego zjawiska?

– Tak jest, ja to zdziałałem.

– To znaczy, był pan w stanie wywołać tego rodzaju masową sugestię?

– Nie było mowy o sugestji...

– Chciałby pan nam zatem wmówić, że jest pan zdolny wskrzeszać zagasłe życia?

– Mogę tak czynić. Budzę umarłych... ponieważ rozporządzam nieskończoną władzą. Pan Dambrun powiedział mi wczoraj, że ujrzał Iwana Felina z rozplataną czaszką na pokładzie jego statku. Otóż panowie, pomimo wszystko pozwalam Bobie w to wątpić.

– Czemu?

--- Ponieważ widziałem Iwana Felina dzisiaj rano.

– Tutaj?!

--- A otóż i on, moi panowie...!

Dambrun i Jeremjasz Scott krzyknęli, prefekt policji i jego ludzie cofnęli się zdumieni.

Iwan Felin we własnej osobie wynurzył się z głębi. Był zupełnie spokojny i spoglądał ironicznie na policjantów. Nagle oczy jego roziskrzyły się gniewem. Dobył rewolweru i wymierzył go w obecnych.

Huknęły strzały.

Nie były to jednak strzały Felina, lecz policji.

Ale kapitan statku upiorów nie poruszył się – tylko śmiech jego nabrał jeszcze bardziej złowrogiego wyrazu. Po chwili kapitan cofnął się znowu w głąb i zniknął.

– Dokąd umknął ten człowiek?! Gdzież on jest?! – krzyczał prefekt policji.

Jacobus wyjął z pod marynarki niewielką czarną kasetkę.

– Tutaj.

– Tutaj.

– ?!

– Tutaj mogę wszystko uwięzić, wszystko!... Konserwuję życie w puszkach... Jestem gotów objawić zresztą, w jaki sposób. Otóż, wynalazłem niewidzialne promienie projekcyjne, które nazwałem czarnymi promieniami. Zapomocą małego aparatu do zdjęć, mogę sfilmować pokryjomu pana Dambruna czy pana Scotta, pp. X. czy Ypsilon. W laboratorium usuwam następnie całe tło, tak, że rysuje się tylko postać. Nadaję jej jeszcze naturalne barwy, poczem mogę ją wyświetlić z pełną plastyką, obojętne w jakim miejscu w ogrodzie ozy pod dachem. Dla projekcyj na znaczne odległości mam większe aparaty. Były one ukryte na Wieży Eiffła w skrzyniach, złożonych na dnie rezerwuaru wodnego. Nocą skierowałem projekcję na miasto, które ujrzało statek widmo.

Tak w moim aparacie więzę życie. Chcecie panowie może przyrzeć się innym przykładom?

Z oddali wynurzył się statek upiorów, aby po chwili pograć się w falach. Później ukazał się sam Dambrun, zamyślony, z głową opuszczoną na piersi. Wreszcie przyszła kolej na Edytę, trzymającą w ręce parasolkę, dokła- dnie tak samo jak wówczas, gdy ją Dambrun ujrzał w parku w Saint Cloud.

– Zauważcie panowie, otóż wówczas zdarzyło mi się raz jeden palnąć głupstwo! – zaśmiał się wynalazca – „sfotografowałem” miss Edytę w pewne słoneczne

południe i później kazałem jej z parasolką w ręce spacerować o północy przed oniemiałym panem Dambrun. Ostatecznie, każdy może popełnić błąd! A że owej nocy na schadzce w Saint Cloud sztylet Samuela Vampa nie trafił w Felina, mnie także macie do zawdzięczenia. Vamp usiłował zakłuć tylko widmo.

Nagle Jacobus zmienił ton głosu i rzekł:

– Skradzione dokumenty znajdziecie panowie w szczelnie salutowanej szkatułce, na dnie Sekwany, w miejscu gdzie, schodzi drabina spuszczonej do wody we wnętrzu zbudowanej przez nas rury.

I znowu wywołał Jacobus obraz Piotra Mause.

Cień Felina nachylił się i jakby obejmował wynalazcę.

– Ależ naturalnie!... Idę do ciebie, stary przyjacielu!...

I zanim mu zdołano w czemkolwiek przeszkodzić, włożył do usta małą pigułkę i szybko rozgryzł.

W okamgnieniu zesiniał i osunął się na ziemię.

Z zaciśniętej dłoni zmarłego wyjęto strzaskaną szklaną kasetkę, wypełnioną jakimś różowym płynem. Wezwani później chemicy stwierdzili, że Jacobus zniszczył podstawową tajemnicę swego wynalazku.

\*\*\*\*

Jacobus dotrzymał przyrzeczenia. Dzięki jego zeznaniom wyjaśniły się ostatnie ciemne punkty sprawy statku upiorów.

Pomimo tego, pozostawała jeszcze ostatnia wątpliwość, mianowicie ów tajemniczy, przez Edytę Scott opisany statek, który napadł na „Latającego Holendra”, i którego załoga, wedle wyrażenia młodej panny, pochodziła nie z tego świata.

Prefekt policji stanął na stanowisku, że okrętem był bliźniak „Latającego Holendra”, którego kapitan otrzymał rozkaz pochycenia i unicestwienia byłego dyrektora więzień w Tobolsku. Za taką hipotezą przemawiało wiele okoliczności.

Ale mr. Scott nie podzielał zapatrywania policji.

Bogaty Anglik był przekonany, że istnieją siły,

których jeszcze nie znamy, i że owym statkiem, był dopiero prawdziwy statek upiorów.

Znaleziona obok zwłok Felina siekiera, zdaniem rzeczoznawców pochodziła istotnie z dawnych czasów. Ten fakt oczywiście utwierdził mr. Scotta w jego zdaniu. Ze wszystkich tajemnic „Nurka z Wieży Eiffla” jedna jedyna sprawa owego drugiego statku pozostawała nadal niewyjaśniona.

Ocean ukrył tę tajemnicę.

\*\*\*

Prefekt policji zarządził, aby sprowadzono nurka, któryby wydobył skrzynkę z dokumentami ministerstwa marynarki. – Jeremjasz Scott i Dambrun pożegnali się serdecznie z policją i odjechali samochodem do miasta.

Na jednej z przecznic, w chwili gdy samochód musiał przystanąć na chwilę, przebiegł obok nich jakiś sprzedawca gazet, wykrzykując na cały głos najświeższą sensację:

*Olbrzymi krach w Nowym Jorku!*

Mr. Scott poprosił Dambruna o kupno dziennika i jął czytać najnowsze telegramy. Natychmiast wpadła mu w oczy wiadomość, ogłoszona tłustym drukiem na naczelnem miejscu:

*„Bank Jonatana Bennetta zawiesił wypłaty. Jak słychać, straty banku sięgną wysokości pięćdziesięciu miliardów. Pociągną one za sobą katastrofę wielu wybitnych finansistów”.*

Scott zbladł. Drżącymi wargami wyjąkał:

- Ja takie... jestem zrujnowany...!
- Zrujnowany?! – wykrzyknął Dambrun radośnie
- pan jest rzeczy-wiście zrujnowany?!
- Cały mój majątek był złożony w banku tego łotra. Już nie jestem więcej królem kolejowym! Już nie jestem bogaty!

I z ciężkim westchnieniem pograżył się Jeremjasz Scott w swoich myślach. Ale lotnik objął go radośnie.

Był szczęśliwy: mógł na koniec bez upokorzenia  
poślubić ukochaną Edytę.